KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 9/107 1956



• «La Culture» • Revue mensuelle •

J. MIEROSZEWSKI : **DIALOG**

A. UZIEMBŁO : **JAK NIEGDYŚ...**

ANKIETA "KULTURY"

ANTYSEMITYZM POLSKI

SPIS RZECZY





ARCHIWUM POLITYCZNE

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

KRONIKA KULTURALNA

KSIĄŻKI



KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień-Septembre 1956

INSTYTUT  LITERACKI

KATASTROFA GÓRNICZA W MARCINELLE

Wśród setek zabitych w katastrofie kopalni węgla w Marcinelle (Belgia) znajdują się również górnicy polscy. Redakcja „Kultury" przekazuje 1.000 franków belgijskich na Fundusz Pomocy dla rodzin ofiar.



NAGRODA LITERACKA "KULTURY"

Przypominamy, że termin nadsyłania prac na Nagrodę literacką „Kultury" za rok 1956 upływa dnia 31 października 1956.



DALSZE WPŁATY NA DOM "KULTURY"

Janusz Swienczyc-Wiland, Toronto, Ont. (Kanada)	1.000 fr.
Stanisław Stelmach, New Britain, Conn. (USA), ponownie ..	1.000 "
Wincenty Radkowski, Chicago, Ill. (USA), ponownie	3.500 "
Stanisław Kowalewski, Trenton, N.J. (USA), ponownie	1.000 "
Z. Balko-Niwski, South Yarra, Vic. (Australia), ponownie ..	1.000 "
Adam Uziembło, Monachium (Niemcy), ponownie	3.000 "
Janusz Poray-Biernacki, Londyn (Anglia)	3.000 "
Michał K. Pawlikowski, Berkeley, Calif. (USA)	1.750 "
Jerzy Roszkowski, Philadelphia, Pa. (USA), ponownie	1.500 "
A. Zieliński, Kaniama, Katanga (Kongo Belg.)	1.000 "
H. Kunowska, Elizabeth, N.J. (USA)	400 "
Wiktor Chmielewski, East Victoria Park, W.A. (Australia) ..	40.000 "

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France

Dialog

Kilka uwag o charakterze ogólnym. W początku lipca, w czasie zjazdu Pen-Clubów widziałem się kilkakrotnie z członkami delegacji krajowej. Rozmawiałem z wszystkimi z tą różnicą, że z pewnymi panami mówiłem pięć minut a z innymi pięć godzin.

Ponieważ w pewnych kołach emigracyjnych panuje pogląd, iż rozmowy tego typu są równoznaczne z ,,zejściem z platformy niepodległości'' — pragnę przy tej sposobności jeszcze raz podkreślić że w mojej opinii obowiązkiem dziennikarza jest rozmawiać z każdym. Rozmawiałem z p. Brandysem, chętnie pomówiłbym z Gomułką, dałbym wiele za możliwość dłuższej rozmowy z p. Chruszczowem.

Może najbardziej charakterystycznym rysem tego dialogu był fakt, że my wiedzieliśmy o nich wiele — oni o nas, dosłownie nic. Dopiero na tle tej przerażającej ignorancji stają się zrozumiałe takie zjawiska jak biuletyn ,,Kraj'' i artykuły o emigracji spotykane czasami na łamach pism krajowych. Owe dysproporcje występują jeszcze jaskrawiej na polu literatury. My znamy Brandysa od ,,a'' do ,,z'', nie wyłączając ,,Obrony Grenady''. Natomiast Brandys o literaturze emigracyjnej nie wie nic.

Jerzy Zawieyski zwierzył mi się, że pewien wybitny krytyk emigracyjny powiedział mu, że na obczyźnie po roku 1939 powstało dziesięć arcydzieł literatury polskiej. ,,Czy to jest i pańska opinia?'' — dopytywał się z wyraźnym niedowierzaniem. Uspokoiłem go, że tylu arcydzieł nie możemy, niestety, zaprezentować Krajowi. Ale czyż literatura składa się z arcydzieł? Literatura to są dobre książki. Na emigracji napisano i wydano kilkanaście dobrych książek — dobrych ,,by any standards'' — jakby powiedział Anglik.

Pewne ustroje czułyby się zagrożone u samych podstaw, gdyby obywatelom pozwolono rozczytywać się swobodnie w ,,Transatlantyku'' Gombrowicza. Jest coś upakarzająco żenującego w tym fakcie. Moi krajowi rozmówcy wskazywali z dumą,

że dziś prasę francuską czy angielską można kupić w każdym kiosku w Warszawie. Jeżeli tak jest, to gdzież tu logika? Czy „Transatlantyk" Gombrowicza czy „Koniec „Zgody Narodów" Parnickiego groźniejsze są niż „The Times"?

Skłonny jestem przypuszczać, że pobyt na Zachodzie ułatwił naszym gościom dostrzeżenie pewnych zagadnień w właściwej perspektywie. Przekonali się, że problem Polaków zagranicą nie sprowadza się do konwentykli przedwojennych partii politycznych, którym p. Arski poświęcił tyle czasu, papieru i farby drukarskiej. Można pokpiwać z emigracyjnych partii, rządów i odwiecznych prezesów. Można liczyć na powrót do Kraju jeszcze jednego premiera czy jeszcze jednego znużonego życiem i sobą samym polityka. Ale identyfikować jednych lub drugich z emigracją oznaczałoby widzieć drzewa a nie dostrzegać lasu — na wzór p. Arskiego.

W moim przekonaniu, żaden rząd w Warszawie na dłuższą metę nie może sobie pozwolić na „luksus" ignorowania siedmiu milionów Polaków zagranicznych. Administracja warszawska, przyjmując „wojnę" z emigracją jako element stały, musiałaby tym samym zrezygnować z realnej poprawy stosunków z Zachodem.

Jakie jest wyjście z tej sytuacji i czy w ogóle jest jakieś wyjście?

Punktem rozpoznawczym numer jeden musi być stwierdzenie, że rząd warszawski nie dysponuje i nigdy nie będzie dysponował środkami przymusu w stosunku do Polaków zagranicznych. Praktycznie biorąc, pozostaje więc tylko jedna droga — to jest rozmowy, negocjacje i ewentualny kompromis. Czy to jest możliwe i osiągalne?

W czerwcu i w lipcu br. rozmawiałem z dziesiątkami Polaków z Kraju. Nie tylko z pisarzami i nie tylko z intelektualistami.

Pewną rewelacją były dla mnie opinie wyrażane przez ludzi zajmujących bardzo różne stanowiska — dotyczące reakcjonizmu szerokich warstw społeczeństwa. Jeden z moich informatorów społeczny przekrój współczesnej Polski zobrazował w następujących słowach: „po jednej stronie mamy procentowo nieliczną grupę komunistów — po drugiej ciasną, nacjonalistyczną reakcję. Między tymi dwoma biegunami jest „masa do wzięcia" potencjalnie reakcyjna".

Inny rozmówca z Kraju, z którym rozmawiałem na temat Poznania, oświadczył wręcz: „partia nie może iść zbyt daleko na drodze liberalizacji ponieważ każdy centymetr terenu odstąpiony przez partię jest natychmiast okupowany przez reakcję".

Jeżeli tak jest — zauważyłem — liberalizacja nie jest demokratyzacją tylko zamianą reakcji lewej na reakcję prawą.

Osobiście, nie miałem nigdy wątpliwości, że przedziwna współpraca pomiędzy partią komunistyczną a „wodzem" Bolesławem Piaseckim, poczęta w epoce kwitnącego stalinizmu, sta-

nowi klasyczny przykład sojuszu reakcyjnych totalizmów. Katolicyzm p. Piaseckiego został właściwie sklasyfikowany przez władze Kościoła. Politycznie rzecz biorąc, nie chodzi o jego wątpliwy katolicyzm lecz o jego niewątpliwy faszyzm. Dziś, ten przytajony faszyzm pracuje z stalinowską reakcją z dwóch przyczyn : po pierwsze obie reakcje łączy wspólna nienawiść do demokracji — po drugie Piasecki sądzi, że w razie nagłej ,,zmiany warty'' on zostanie na placu i sięgnie po władzę.

Gdyby tylko komuniści, względnie ich bliscy sympatycy, wysuwali pogląd, że liberalizacja posunięta zbyt daleko niesie z sobą niebezpieczeństwo prawicowej reakcji — można by przejść nad tym do porządku jako nad zwykłym manewrem taktycznym. Oczywiście i wówczas należałoby postawić pytanie czy jest dozwolone tłumić wolność w obawie, że gdy się ludziom da wolność staną się faszystami i oenerowcami. Ale to jest zagadnienie odrębne i nie rozważajmy go w tej chwili.

Muszę jednak stwierdzić, że podobne obawy — ku mojemu zdumieniu — wysuwali w rozmowach ze mną ludzie od samego początku negatywnie ustosunkowani do komunizmu. Według ich opinii nacisk totalizmu komunistycznego nie budzi w masach reakcji demokratycznej, liberalnej lecz przeciwnie hoduje w ludziach nastroje nacjonalistyczno-prawicowe. Jeżeli tak jest, to polski komunizm spełnia dziwną historyczną misję !

Mimo, że w powyższej sprawie opinie moich rozmówców były dość wyrównane byłoby błędem wysuwać z nich jakiś generalizujący wniosek. Niemniej sądzę, że należy, niestety, przyjąć za wysoce prawdopodobne, że świadomych, przekonanych demokratów w współczesnej Polsce jest stosunkowo niewielu. Nie każdy kto domaga się wolności jest demokratą. Iluż jest takich, którzy dziś domagają się wolności, jutro poszliby na barykady a pojutrze oddaliby głos na Piaseckiego czy innego ,,Führera''.

Komuniści prowadzą dziwną politykę. Komunizm może przecież istnieć wyłącznie w dwóch formach — jako tak zwana ,,dyktatura proletariatu'', albo w ramach państwa demokratycznego. W państwie prawicowej dyktatury komuniści mogliby tylko liczyć na szubienicę i obóz koncentracyjny. Mimo to szukają zawsze sojuszników wśród wrogów demokracji choć — jak historia uczy — wychodzili na tym fatalnie. Komuniści wytworzyli błędne koło. Tłumią wolność by nie tracić gruntu na rzecz prawicowej reakcji. Gnębienie wolności dynamizuje z kolei skrajny nacjonalizm, który jest naturalną pożywką ,,Führer-principialistów''.

Jeżeli wyłączyć pewnych dygnitarzy z emigracyjnego teatru cieni — to można przyjąć, iż 7 milionów Polaków zagranicznych stanowi w chwili obecnej najbardziej demokratyczny człon naszego narodu. Czytelnikowi w Kraju może się wydać dziwne, że z jednej strony uważam Polaków zagranicznych za przekonanych demokratów, z drugiej zaś strony do reprezentowania tych Polaków zgłaszają pretensje Rady Trzech i inne instytucje, któ-

rych związek z demokracją jest raczej luźny. Odpowiedź jest prosta. Nikt się tymi panami nie interesuje. Gdyby jutro jeden z nich ogłosił się królem polskim i wielkim księciem litewskim również nie byłoby protestów i fakt ten w niczym nie wpłynąłby na demokratyzm emigracji.

O demokracji powiedziano setki rzeczy mądrych i wzniosłych. Ale dopiero na Zachodzie przyswoiliśmy sobie przekonanie, że istnieje tylko jedna prawdziwa wolność to jest wolność demokratyczna. Wszystko inne nie jest wolnością choćby się nią mieniło. Bo tylko wolność demokratyczna jest wolnością dla wszystkich. Polacy stawiają znak równania między wolnością a niepodległością. Ale to jest ujęcie fałszywe. Polska rządzona przez oenerowskiego ,,Führera'' mogłaby być państwem niepodległym i suwerennym ale w tej Polsce nie byłoby wolności ani dla mnie ani dla setek tysięcy moich rodaków.

Na tle obrazu sytuacji w Kraju demokratyzm Polonii zagranicznej nabiera specjalnej wagi. Miliony Polaków na Zachodzie wrastają w tradycje ustroju demokratycznego. Być może, że Polsce przyjdzie kiedyś sięgnąć do tego rezerwuaru polskiego, zachodniego demokratyzmu.

Postawiliśmy pytanie czy jest rzeczą możliwą — choćby z teoretycznego punktu widzenia — rozpatrzyć możliwości pewnej normalizacji stosunku emigracji do Kraju. Rozważając ten problem trzeba zacząć od punktów nienadających się z natury rzeczy do rozwiązań kompromisowych. Polacy zagraniczni nie zrezygnują nigdy z ustroju demokratycznego w Polsce. Ustrój demokratyczny nie przesądza politycznego pionu rządu. Rząd demokratycznie wyłoniony może być lewicowy, prawicowy, koalicyjny — z udziałem, lub bez udziału komunistów.

Jeżeli obecny ustrój w kraju będzie ewoluował w kierunku uznania zasady wielopoglądowości politycznej — jeżeli liberalizacja zacznie z czasem przekształcać się w demokratyzację — wówczas zarysuje się możliwość unormalizowania stosunku emigracji do Kraju.

Do czasu, gdy artykuł ten ukaże się w druku i dotrze do czytelnika sytuacja w Polsce może ulec poważniejszym zmianom. W moim przekonaniu państwa komunistyczne, z Rosją włącznie, weszły w fazę długofalowych przeobrażeń. Będzie jeszcze wiele liberalizacji i deliberalizacji. Poznań skompromitował licznych speców i uczonych komunistologów, którzy uporczywie głosili, że w państwie totalistycznym powstanie czy bunt nie są rzeczą możliwą. Państwa komunistyczne chowają w zanadrzu jeszcze nie jedną niespodziankę, którą zadziwią zachodnich komunistologów. Do wieczora dwudziestego wieku jeszcze daleko.

Może znajdzie się Czytelnik, który powie, że mój artykuł jest przedwczesny. Po co zastanawiać się nad problemem normalizacji stosunków emigracji z Krajem skoro nie wiadomo czy sprawa będzie aktualna w najbliższym okresie?

W rzeczywistości sprawa jest aktualna już dziś. Ponieważ

w stosunku do Kraju nie mamy żadnej polityki tylko wiązankę sloganów i pobożnych życzeń — władze warszawskie przejęły inicjatywę w swoje ręce i podejmują próbę normalizacji na własny rachunek i na własnych warunkach. Inicjatywy i propozycje krajowe spowodowały kompletny chaos po tej stronie barykady. Ludzie nie wiedzą jak postąpić — czy odrzucić często nęcące propozycje — a jeżeli odrzucić, to dlaczego?

Liberalizacja vulgo ,,odwilż'' spowodowała również nagłą zmianę w proporcji poziomów. Dopóki prasa krajowa była tylko narzędziem propagandy komunistycznej — na tle jej beznadziejnej jałowości — każdy druczek emigracyjny wydawał się arcydziełem. Konkurowanie z tygodnikami kulturalnymi i periodykami krajowymi było łatwe, gdyż przed-odwilżowa prasa była w pełni zrozumiała tylko dla specjalistów. Obecnie sytuacja uległa dużej zmianie. Prasa, a w szczególności tygodniki krajowe stały się bardzo interesujące. Poczytność tych tygodników na emigracji wzrasta w oszałamiającym tempie. Innymi słowy pojawił się groźny konkurent.

Ofensywa kulturalna reżymu podjęta została w chwili, kiedy etaty literackie ,,Free Europe'' uległy już pewnej stabilizacji. Okazało się jednak, że poza tym rynkiem jest bardzo wielu pisarzy, którzy w większości wypadków walczą z trudnościami materialnymi. I ta grupa pisarzy znalazła się pod najgwałtowniejszym obstrzałem.

Byłoby błędem całe zagadnienie sprowadzać do momentów natury finansowej. Jest oczywiste, że każdy autor piszący po polsku, chciałby być czytany nie tylko przez publiczność emigracyjną ale i krajową. Największy rozgłos osiągnięty na emigracji nigdy nie wyrówna cywilnej śmierci pisarza w Kraju. Niemniej, momenty finansowe odgrywają w tych sprawach poważną rolę. Pisarz czynnie związany z ,,Free Europe'' prędzej odrzuci propozycję druku w Kraju powodowany troską o swoją pensję, posadę i pozycję. Pisarz nie związany z instytucjami amerykańskimi ma inną sytuację, ponieważ najczęściej nie ma nic do stracenia.

W jakim kierunku idą owe warszawskie propozycje?

Proponuję by dla jasności obrazu ująć je w następujący schemat:

1. Pisywanie reportaży, esejów, omówień literackich itd. do tygodników i periodyków krajowych;
2. Krajowe wydania książek napisanych i ogłoszonych drukiem przed wojną;
3. Krajowe wydania książek, napisanych i ogłoszonych drukiem na emigracji;
4. Krajowe wydania książek napisanych na emigracji — dotąd drukiem nie ogłoszonych.

Odrębny dział stanowią projekty licznych antologii — jak ,,literatury dwudziestolecia niepodległości'', ,,prozy emigracyj-

nej'', ,,poezji emigracyjnej'' — oraz zbiorowy tom najmłodszych poetów emigracyjnych.

Do grupy omawianych propozycji należy również drukowanie korespondencji pisarzy krajowych na łamach pism emigracyjnych.

Na marginesie trzeba dodać, że pisarzy emigracyjnych rozpracowuje się indywidualnie. W pewnych wypadkach powyższe metody budzą wiele zastrzeżeń. Znam w Londynie pisarza emigracyjnego, którego zainteresowani panowie odwiedzają dwa razy tygodniowo, proponując mu przedruk jego tomu poezji w Kraju, równocześnie zachęcając go do pisania krytyk i esejów w krajowych tygodnikach literackich. Zainteresowani panowie obiecują wypłatę honorarium w funtach, tu w Londynie, po bardzo korzystnym kursie przeliczeniowym, tłumacząc, że za funty można daleko wydatniej pomagać rodzinie niż przelewając honorarium w złotych na matkę czy brata w Kraju.

Najbardziej nieustępliwi są ci pisarze, którzy — jak dotąd — nie otrzymali żadnych propozycji. Ale przykład z ,,Free Europe'' może w tym wypadku napełnić otuchą władze warszawskie. Znamy pisarzy, którzy ,,Free Europe'' dosłownie mieszali z błotem, a dziś są jednymi z najlepiej płatnych współpracowników tej instytucji.

Rozważając ten cykl niełatwych zagadnień Zespół redakcyjny ,,Kultury'' doszedł do następujących wniosków.

Wychodzimy z założenia, że emigracja z przymusowej staje się dobrowolną. Powrót do Kraju nie wiąże się dziś z perspektywą więzienia czy łagru. Jeżeli ktoś z przyczyn osobistych wraca do Polski, jesteśmy gotowi uszanować tę decyzję, pod warunkiem, że jest powzięta uczciwie i jawnie.

Emigrant wracający do Kraju przestaje być emigrantem. Może zajmować się polityką, sprawami gospodarczymi czy literackimi, ale w Kraju, nie na emigracji. Repatriantom odmawiamy kategorycznie prawa do ,,podwójnego obywatelstwa''. Cat-Mackiewicz — by sięgnąć po najbliższy przykład — może być dziś publicystą czy politykiem krajowym — nie może być jednak równocześnie publicystą krajowym i emigracyjnym.

Stanisław Mackiewicz jest krajowym korespondentem, wydawanego w Londynie pisma pn. ,,Tygodnik''. ,,Tygodnik'' nie ma jednak debitu w Kraju. Innymi słowy, ,,Tygodnik'' nie jest rozpowszechniany w Polsce, ale artykuły p. Mackiewicza są rozpowszechniane na emigracji. To są klasyczne metody ,,konia trojańskiego'', którym należy się energicznie przeciwstawić.

Następny punkt dotyczy wycieczek i czasowych wyjazdów do Kraju.

Według opinii Zespołu — nie powinni odwiedzać Kraju w żadnym charakterze ludzie należący do emigracyjnej elity (tej bez cudzysłowu) politycznej, naukowej czy artystycznej. Jeżeli bowiem wybitne jednostki ze świata emigracyjnego zaczęłyby odwiedzać Kraj — udokumentowałoby się przekonanie, że warunki

w Polsce dojrzały do likwidacji emigracji politycznej. Reżym dąży od dawna do tego, by emigrację przemianować w opozycję, czasowo przebywającą na obczyźnie, w nowy Front Morges.

Bardzo chętnie zrezygnowalibyśmy ze statutu emigracyjnego, gdyby w Polsce istniały możliwości walki politycznej w charakterze opozycji. Gdyby w Kraju można było podjąć polityczną walkę o przywrócenie ustroju demokratycznego — wówczas obowiązkiem naszym byłoby powrócić. Ale, jak wiemy, w Polsce nie ma tych możliwości a opozycja, tak jak ją pojmuje demokrata, uważana jest za działalność anty-państwową.

Wycieczki wybitnych jednostek, których nazwiska powszechnie są znane emigracji, byłyby wodą na młyn polityki reżymowej pogłębiając chaos i dezorientację.

Nie jesteśmy natomiast przeciwni, by Kraj odwiedzali emigracyjni dziennikarze jeżeli zachowane zostaną pewne warunki.

Czytelnik gotów jest w tym miejscu posądzić nas o niekonsekwencję. Ale niekonsekwencja jest tylko pozorna i w dużej mierze wypływa z emigracyjnego pomieszania terminów, pojęć i wartości. Obowiązkiem dziennikarza jest zdobyć informację wszystkimi dostępnymi, a dozwolonymi środkami.

Weźmy przykład pierwszy z serii. Jeżeli do Warszawy jedzie korespondent choćby tak poważnego, światowego pisma jak „The Times" — to jego podróż jest tylko fragmentem normalnych zawodowych czynności dziennikarskich. Jeżeli jednak do Warszawy jedzie Graham Greene to już jest w pewnym stopniu manifestacja polityczna.

Jeżeli do Polski pojedzie na dwa tygodnie dziennikarz emigracyjny p. Iksatowicz i po powrocie z Kraju ogłosi serię udokumentowanych, rzetelnych reportaży — można przyjąć, że jego podróż mieści się w ramach zawodowej działalności dziennikarskiej. Oczywiście, że ostateczna ocena takiej wycieczki zależeć będzie od tego co p. Iksatowicz napisze. Ocena dziś jest tym łatwiejsza, że nasza wiedza o Kraju pozwala na rozróżnienie plew propagitki od ziarna autentycznej informacji.

Każdy jednak przyzna, że co innego jest, gdy do Kraju na wycieczkę wyjedzie p. Iksatowicz — a co innego, gdy gościem reżymu podejmowanym i fetowanym będzie pisarz rangi Wańkowicza. W pierwszym wypadku będzie to epizod bez większego znaczenia i konsekwencji, w drugim, manifestacja polityczna, której reżym nie omieszka wykorzystać.

Mechanik samochodowy z Chiswick może bez przeszkód pojechać do Warszawy by odwiedzić swą rodzinę. Jego wizyta w Kraju będzie wydarzeniem ściśle prywatnym i anonimowym. Ale Mieroszewski, Gombrowicz czy Giedroyc nie mogliby po Polsce podróżować prywatnie i incognito. W sumie, nie powinni wyjeżdżać ludzie, którzy dzięki swej pozycji umożliwiliby reżymowi ukucie kapitału politycznego z ich pobytu w Kraju.

Rozważając zagadnienie drukowania w Polsce — należy rozróżnić druk książek i współpracę w czasopismach. Istnieje w tej

sprawie deklaracja Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Zespół ,,Kultury'' nie podpisał tej deklaracji i zaprotestował publicznie przeciwko jej postanowieniom. Uważamy, że każdy autor polski ma prawo drukować swoje książki w Kraju, ale muszą być spełnione pewne warunki. W pierwszym rzędzie wydanie krajowe winno być zgodne co do joty z oryginałem. Nie można akceptować żadnych skreśleń, redakcyjnych ,,komentarzy'', czy wstępów.

Nie jesteśmy również przeciwni pisywaniu autorów krajowych do pism emigracyjnych i pisywaniu pisarzy emigracyjnych do prasy krajowej. Ale i tu muszą być wpierw spełnione pewne warunki.

Uważamy, że pisarze emigracyjni nie powinni niczego drukować w periodykach krajowych dopóki pisarze krajowi nie zaczną publikować swych utworów w prasie zachodniej i na łamach pism emigracyjnych. Mamy oczywiście na myśli pisarzy a nie propagandyntów typu pp. Arskiego, Mitznera-Szeląga czy Kuśniewicza. Ci panowie nie są bowiem ani pisarzami ani dziennikarzami i wyjęci z wody marksistowskiej propagandy staliby się natychmiast martwymi żerami.

Ciernistym zagadnieniem jest honorarium. Zdajemy sobie sprawę, że wysuwamy rozwiązanie nie popularne, ale nie zawsze można pogodzić ,,popularność'' z wymogami wyższego rzędu.

W opinii naszego Zespołu autorzy emigracyjni w żadnym wypadku nie powinni przyjmować honorarium w dewizach — to znaczy w funtach, frankach czy dolarach.

Dlaczego?

Przyczyn jest wiele — najważniejsze można sformułować następująco: Zapas dewiz w Kraju jest bardzo mały. Brak dewiz uniemożliwia zaopatrywanie bibliotek, czytelni uniwersyteckich itd. w książki i w prasę Zachodu. Z tej samej przyczyny cofa się przyznane stypendia naukowe. To są rzeczy powszechnie znane i w prasie krajowej szeroko omawiane.

Autor emigracyjny, pobierający honoraria w dewizach w opinii szerokich mas czytelniczych w Kraju byłby tym, którego reżym kupił za cenne dolary czy funty.

Mielibyśmy dwa typy książek polskich autorów; pisarzy uprzywilejowanych, przebywających bezpiecznie zagranicą i pobierających honoraria w funtach i w dolarach — oraz pisarzy drugiej klasy, którzy mieszkają w Polsce i otrzymują honoraria w złotych. Jest oczywiste, że rozwój po tej linii doprowadziłby w konsekwencji do odwrócenia sytuacji. To nie pewni pisarze krajowi byliby pupilami reżymu, tylko pewni pisarze emigracyjni byliby kosztownymi pupilami reżymu.

U dna sprawa jest jasna. Leży w naszym interesie by czytelnicy w Kraju mieli jak najszerszy dostęp do polskich książek napisanych na Zachodzie. Ale honorarium nie płacą czytelnicy tylko ,,Czytelnik''. Różnica kardynalna i zasadnicza.

Więc jakie jest wyjście?

Zespół „Kultury" uważa że dopuszczalne jest przekazywanie honorariów krajowych przez pisarzy emigracyjnych na rzecz ich rodzin w Polsce, mimo że pełną niezależność pisarza emigracyjnego, w oczach opinii krajowej i emigracyjnej, mogłoby tylko gwarantować przekazanie przez niego krajowych honorariów na rzecz bezspornie publicznych celów w Polsce, jak na przykład na odbudowę Biblioteki Narodowej.

Jesteśmy dalecy od organizowania terroru, ale sprawę tę oceniamy jako tak ważną, że postanowiliśmy zamknąć łamy „Kultury" dla tych autorów emigracyjnych, którzy przyjmą dewizowe honoraria za druk swych książek w Polsce.

By uniknąć wszelkich niejasności dodajmy jeszcze jeden punkt. Zasada nie pobierania honorarium w dewizach dotyczyć musi — w naszej opinii — zarówno książek napisanych przed 1939 rokiem jak i po tej dacie. Istotą rzeczy jest zapłata a nie data napisania książki.

Winniśmy wszelkimi dostępnymi środkami wzmacniać nasz udział w opiniotwórczym procesie Kraju, ale z postawy niezależnej.

Przeżywamy trudny okres i dziś bardziej niż kiedykolwiek indziej byłoby wielkim ryzykiem opierać się na przewidywaniach. Dlatego powyżej sformułowane postulaty Zespołu „Kultury" dotyczą wyłącznie sytuacji obecnej. Nasze stanowisko w tych sprawach może ulec liberalizacji lub też przeciwnie usztywnieniu — zależnie od dalszego rozwoju wypadków.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Ankieta "Kultury"

Jednym z głównych zadań polskiej emigracji politycznej winno być wywieranie wpływu na społeczeństwo w Kraju. Już ten wzgląd byłby wystarczający abyśmy dołączyli się do głosów krajowych publicystów walczących z antysemityzmem, otoczonym do niedawna stalinowskim murem milczenia.

Dochodzą też inne względy: możemy na uchodźtwie otwarcie wskazywać na antysemityzm Kremla i na niebezpieczeństwo wykorzystania antysemityzmu przez pewne kliki polskich komunistów w rozgrywce z prądami liberalnymi, podczas gdy publicyści krajowi mogą sobie tu pozwolić jedynie na nieśmiałe aluzje.

Mieszkając i pracując od szeregu lat na Zachodzie, wiemy skądinąd ile polski antysemityzm przyniósł szkody sprawie polskiej zagranicą. Ponowny wzrost antysemityzmu w Polsce mógłby oddalić od nas nawet najbardziej oddanych przyjaciół.

Wszystkie te względy sprawiają, że postanowiliśmy zwrócić się do szeregu przedstawicieli polskiego życia na uchodźtwie, prosząc ich o krótkie wypowiedzi w tej sprawie. Nie narzucając im żadnej sztywnej formy, pragnęlibyśmy uzyskać naświetlenie następujących zagadnień:

— Psychoanaliza polskiego antysemityzmu.

— Dlaczego antysemityzm wydaje się związany z reakcją, czy typu faszystowskiego, czy stalinowskiego?

— Jakie sfery w Polsce mogłyby najskuteczniej przeciwdziałać wzrostowi antysemityzmu i jakimi środkami?

— Czy istnieje antysemityzm w polskim życiu emigracyjnym i jak się przejawia?

— Jakimi środkami może przyczynić się emigracja do zwalczania antysemityzmu?

Odpowiedzi na tę ankietę będą drukowane w „Kulturze". Chętnie będziemy widzieli również wypowiedzi naszych Czytelników na ten temat.

Od endeków do stalinistów

Od czasu pogromu w Kielcach z 4 lipca 1946 roku, przez blisko dziesięć lat nikt w prasie polskiej nie poruszał kwestii antysemickiej. Gdyby nie opowiadania Żydów emigrujących z Polski do Izraela, gdyby nie niespokojne głosy przyjezdnych Polaków, można by było sądzić, że antysemityzm przestał być w Polsce problemem.

Od kwietnia 1956 ukazała się jednak w polskich dziennikach i tygodnikach cała seria niezmiernie alarmujących artykułów o przejawach antysemityzmu w Polsce. Cytuje się niewiele faktów, ale są one przerażające.

— Pomnik poległych powstańców warszawskiego ghetta został ohydnie zbeszczeszczony (pogadanka Gustawa Kadena w radio warszawskim z 13.6.1956).

— Groby żydowskie są celowo grabione i profanowane. Oto co pisze o tym Jerzy Broszkiewicz w ,,Przeglądzie Kulturalnym'' z 7.6.1956 :

> ,,W Polsce są hieny. Żerują na cmentarzach. Nie na wszystkich jednak cmentarzach żerują z równą swobodą, bo chociaż żydowskich pozostało najmniej, to jednak najchętniej żerują na nich właśnie i wiodą ku końcowi dzieło w takiej chwale rozpoczęte niegdyś przez ludzi z SS, własowców, szaulisów czy eneszetowców. Czasem nawet hieny rozpoczynają rzecz od nowa. Oto na przykład na żydowskim cmentarzu we Wrocławiu znajdują się groby, które uległy dewastacji *dopiero po 45 roku*. Są to groby Lassale'a i historyka Graetza...''

— Są fakty groźniejsze jeszcze. Antysemityzm przenika do szkół, często popierany przez nauczycieli. Antoni Czałbowski opowiada, w ,,Trybunie Ludu'' z 6.6.1956, o tej małej Helence, którą nauczycielka uparcie przezywa ,,Hindą''. Podczas przerwy, jej koleżanki i koledzy — *siedmioletnie dzieci* — otaczają ją kołem i przedrzeźniają chóralnie : ,,Hin-da-Ży-dó-wa, Hin-da-Ży-dó-wa''. A oto inny przykład ,,ghetta ławkowego'', które od-

żywa w Polsce w jedenaście lat po rozbiciu bram kacetów, przytoczony przez Broszkiewicza w cytowanym powyżej artykule :

„Jest jedna na całą klasę dziewięcio i dziesięciolatków. Siedzi sama w swojej ławce — żadna z koleżanek i żaden z kolegów nie chcą z nią sąsiadować. Raz tylko doszło do jawnego okrucieństwa, krzyków, obrzucania grudkami ziemi i kamykami. Uciekła swym prześladowcom. Dopiero w domu wybuchła wielkim płaczem. Nie chciała jednak zdradzić „za co". Nie naskarżyła też nauczycielom „kto". Być może — ze strachu. Scena nie powtórzyła się zresztą. Na co dzień pozostała już tylko obcość, złe słowo, szarpnięcie za włosy, kpina. Prześladowcy być może wiedzą, że należy unikać krzyku i bicia — a może po prostu ktoś im tak doradził, ktoś dojrzały, mądry i rozsądny, ktoś... „taktowny". Wystarczą przecież drobne, małe ciernie. Na pewno wystarczą, jeśli tylko kłują dostatecznie często".

O udziale nauczycieli w tym prześladowaniu dziecka żydowskiego i zatruwaniu duszy dziecka polskiego pisze Kaden w cytowanej powyżej pogadance :

„W jednej ze szkół warszawskich nauczycielka, przynosząca wstyd swojemu zawodowi, sadza małą dziewczynkę na oddzielnej ławce, wyjaśniając klasie że uczyniła tak ponieważ dziewczynka jest Żydówką..."

— W „Po Prostu" z 20.5.1956 ukazały się wstrząsające „Kartki z Pamiętnika" Hanki Szwarcman. Młoda dziewczyna, Żydówka, wraca po wojnie do Polski z Francji gdzie spędziła całe dzieciństwo. Nie ma „semickiego" wyglądu i dlatego może na każdym kroku, wśród znajomych i kolegów, napotyka się na antysemickie wypowiedzi. Życie jej jest zatrute „pozostałościami kanibalizmu i średniowiecza".

Przez dziesięć lat „żelazna zasłona" była zasłoną kłamstwa. Komunistyczna propaganda walczyła z rasizmem — w krajach w które godził sowiecki imperializm. Oburzenie krajowych „liberałów" skupiało się na sprawie murzyńskiej w Ameryce, na segregacji rasowej w Południowej Afryce. O rasizmie rodzimym wolano nie pisać — nie śmiano pisać. Łgarstwo propagandzistów „socjalistycznego kraju" trafiało tu zresztą na podatny grunt. Nawet polscy liberałowie i demokraci, nawet Polacy, którym antysemityzm jest najbardziej obcy i wrogi, skłonni są do przemilczania spraw, które wydają im się zbyt wstydliwe. Jak przyznać przed sobą samym, że antysemityzm polski przetrwał okupację hitlerowską, że widok największej masowej zbrodni w historii świata nie spowodował masowego odruchu solidarności Polaków w stosunku do ludności żydowskiej? Polski liberał i chrześcijanin chwyta się jak deski ratunku znanych epizodów ratowania żydowskich przyjaciół czy żydowskich dzieci przez Polaków, którzy czynili to z narażeniem życia. Ale przecież te *wyjątkowe* epizody (dowodem ich rzadkości jest liczba Żydów

którzy przeżyli wojnę) nie wyrównują biernej odpowiedzialności, która ciąży na narodzie polskim za wyniszczenie trzech milionów ludzi... Nie byłem w Polsce pod okupacją hitlerowską, ale z opowiadań naocznych świadków, Polaków i Żydów, znam epizody bardziej ohydne od biernego przyglądania się ,,jak Hitler likwiduje problem żydowski w Polsce''. Myślę o szantażach, myślę o ,,przechowywaniu'' Żydów, którzy płacili za to miliony, myślę o szklankach wody, które Polacy sprzedawali za złote monety Żydom wywożonym z Holandii w ,,pociągach śmierci'', myślę o wyczynach ,,granatowej policji'' w getcie, myślę o ,,akcjach'' N.S.Z.... Jednym z ulubionych argumentów polskich antysemitów są opowiadania o tym jak Żydzi radośnie witali wejście wojska sowieckiego na ziemie wschodnie. ,,Wymachiwali czerwonymi płachtami, Panie, krzyczeli, Panie, ot drańs two, Panie''. Trudno chyba o bardziej naturalną reakcję. Przecież ta biedna, od lat prześladowana, ale utrzymująca się przy życiu ludność żydowska *była skazana na śmierć,* gdyby zamiast czerwonej armii wkroczyło do ich miasteczka wojsko niemieckie. Trudno się dziwić radości z jaką witali, nie ustrój, nie ludzi, a cud, który miał im uratować życie... Że wywiezieni razem z Polakami do sowieckich łagrów, Żydzi ginęli tam razem z Polakami, tak jak razem z Polakami ginęli w Oświęcimiu, to już inna sprawa... Trudno się w każdym razie dziwić, że jeśli antysemityzm polski przetrwał okupację hitlerowską, pod którą już nie chrześcijańska, ale zwykła ludzka reakcja winna go była zlikwidować doszczętnie, to okupacja sowiecka mogła go tylko podjudzić. Tym razem znajdowali Polacy *pretekst* : znaczny procent Żydów, lub osób żydowskiego pochodzenia, wśród dygnitarzy partyjnych, w U.B. Zastanówmy się jednak. Czy pewne skłonności ludności żydowskiej, w kraju, w ciągu ostatnich stu lat przynajmniej, tradycyjnie antysemickim, do partii, do ustroju, który teoretycznie likwiduje całą kwestię antysemicką, nie jest zrozumiała? Tłumaczono skłonność Żydów do komunizmu ich logicznym, filozoficznym temperamentem, połączonym z głodem doktryny uniwersalnej. Interpretacja ta nie jest może pozbawiona słuszności : podobne względy kierują innych Żydów ku katolicyzmowi. W każdym razie wydaje się absurdem oskarżanie o ,,kolaboracje'' tych właśnie obywateli polskich, których ,,kolaboracja'' z komunizmem wytłumaczalna jest względami samozachowawczymi : mniej by Żydów pociągał komunizm, gdyby była ich nie odtrącała Polska przez tyle lat. A zresztą kto najgłośniej operuje tymi zarzutami? Ideowi koledzy tych ludzi, którzy z oenerowców czy falangistów stali się nietyle ,,kolaborantami'', co agentami komunistycznego reżymu. Dość mamy przykładów obrzydliwego pochlebstwa wobec komunistów ze strony polskich ,,narodowców'' i rodzimych antysemitów, abyśmy mogli uznać ten argument.

Z artykułów, ogłoszonych ostatnio w prasie polskiej na temat antysemityzmu, wynika sprawa bardziej sensacyjna. Wiele

z nich zawiera aluzje, które — trudno na pozór zrozumiałe — nabierają, kiedy się je zestawi, dość groźnej wymowy. Nie ma bowiem artykułu, w którym by nie wspominano o skłonnościach antysemickich w ramach partii komunistycznej. Aluzje są dyskretne, autorzy robią je mimochodem, ale powtarzają się one tak często, że trudno nie przywiązać do nich wagi, trudno nie podejrzewać że wymowa ich przekracza dozwolone ramy.

Jerzy Broszkiewicz pisze w ,,Przeglądzie Kulturalnym'' z dnia 7.VI. :

> ,,Nie mogę zaręczyć że cień antysemityzmu nie przekroczył progu żadnego z komitetów partyjnych''.

I dalej :

> ,,Fakt przenikania do szeregu partii każdej myśli, każdej tendencji sprzecznej z założeniami podstawowymi ruchu robotniczego, wrogiej zasadom i prawom komunistycznej moralności ... może stać się jedynym naprawdę groźnym niebezpieczeństwem. ... Zdarzają się wypadki, kiedy partyjni ulegają presji obcych i wrogich tendencji, kiedy... pod hasłami narodowej jedności dokonuje się... przemytu tendencji obskuranckich, nacjonalistycznych, średniowiecznych...''

Albo ten ustęp, z polemiki po artykule Hanki Szwarcman w ,,Po Prostu'' :

> ,,Mamy w Polsce do czynienia z potrójnym nacjonalizmem ukształtowanym historycznie — uczucia antyniemieckie, antyrosyjskie i antyżydowskie. Dwa pierwsze objawy tego nacjonalizmu uwzględnione są w propagandzie, w wychowaniu dzieci, młodzieży... *Natomiast o Żydach... tu obowiązuje przemilczenie*''. (Podkr. nasze).

Ignacy Krasicki nie waha się w ,,Dzienniku Polskim'' (24 V. 1956) wskazać na przyczyny tego ,,przemilczenia'', pisząc że ,,tragiczne zbrodnie'' które wynikały z ,,kultu osobowości'' (trudno dziś o bardziej czytelny eufemizm) rzucają ponury cień na kwestię antysemityzmu i że jednym z zasadniczych elementów ,,beriowszczyzny'' (inna odmiana eufemizmu) był obrzydliwy akompaniament antysemicki tylu procesów...

Podobnie Arnold Słucki w ,,Przeglądzie Kulturalnym'' z 12. kwietnia :

> ,,Czy sprawa lekarzy nie mogła stać się swoistym preludium do tego rodzaju swoistych mistyfikacji o daleko szerszych społecznych konsekwencjach ? Nie należy tych spraw przemilczać. Antysemityzm — powiedział Bebel — to socjalizm dla głupich. Należy zastanowić się czy pod skrzydłami beriowszczyzny nie wypróbowywano odmiany komunizmu dla durniów''.

A Stanisław Jerzy Lec formułuje tę samą myśl jeszcze bardziej bezpośrednio (,,Przegląd Kulturalny'', 10.V.) :

„August Bebel powiedział: Antysemityzm to socjalizm głupców. Czy będziemy jeszcze musieli mówić: Antysemityzm to komunizm głupców?"

Edmund Osmańczyk („Świat", 20.V.) daje wyraźnie do zrozumienia, że istnieje grupa antysemicka wśród komunistów:

„Nie jest postępowym ten kto szanuje Z.S.R.R. i naszą Partię, ale toleruje wokół siebie i w sobie jakieś uprzedzenia rasistowskie, konkretnie — w naszych warunkach — antysemickie".

Przed próbą bliższej analizy tych aluzji, przejdźmy do innych informacji o antysemityźmie w łonie partii komunistycznej, które nie mogą się oczywiście ukazać w prasie polskiej. Według Seweryna Białera, byłego urzędnika centralnego komitetu polskiej partii komunistycznej, który sam jest pochodzenia żydowskiego i uciekł niedawno z Polski, pierwsze czystki antysemickie miały miejsce w partii na przełomie 1953 i 1954 roku. Następujące osobistości pochodzenia żydowskiego zostały wówczas zwolnione z zajmowanych stanowisk: Oskar Kluski, dyrektor sekcji zagranicznej K.C., Artur Starewicz, dyrektor sekcji propagandy K.C., Teodora Feder, jego zastępca, Stefan Staszewski, dyrektor departamentu prasowego K.C., Leon Kasman, redaktor „Trybuny Ludu" — i wiele innych. Silne tendencje antysemickie przypisuje się w szeregach partii i armii Rokossowskiego. Faktem jest że, mniej więcej w tym samym czasie, *kilka tysięcy* oficerów pochodzenia żydowskiego zostało przeniesionych w stan spoczynku, bez żadnego wytłumaczenia oficjalnego. Kazimierz Witaszewski, prawa ręka Rokossowskiego, który był jego podsekretarzem stanu w ministerstwie obrony narodowej i dyrektorem wychowania politycznego wojska, uchodzi za gwałtownego antysemitę. Został on niedawno mianowany generałem i stoi obecnie na czele U.B. Opowiadają na jego temat następujące zdarzenie. Na zebraniu w warszawskiej Akademii Dzierżyńskiego (akademia wojskowa wychowania politycznego), Witaszewski krytykował Hilarego Minca i jego politykę gospodarczą, robiąc kilka razy aluzję do jego pochodzenia żydowskiego. Podczas dyskusji, jeden z oficerów zaprotestował, mówiąc że można atakować politykę gospodarczą Minca, ale że nie widzi co ma do tego jego żydowskie pochodzenie. Witaszewski zażądał od śmiałka danych personalnych, myśląc że wchodzi tu w grę „żydowska solidarność". Okazało się że oficer ten nie jest Żydem, a postawa jego zyskała poklask sali.

Rokossowski i Witaszewski uchodzą za przeciwników „nowego kursu" w Polsce, za „twardych" (jak ich nazywa prasa francuska), podobnie jak Ochab i Wiktor Kłosiewicz, zarządca syndykatów, nowy członek biura politycznego, którzy również mają opinię antysemitów. O Ochabie opowiadają, że na wiecu partyjnym w Łodzi ktoś z publiczności przekazał mu kartkę z zapytaniem (zwyczaj ustalony po XX Kongresie): „Dla-

czego najlepsze stanowiska w partii, rządzie i administracji zajęte są przez Żydów?" Ochab rzekomo surowo zgromił anonimowego interpelanta za antysemityzm, mówiąc że jest on sprzeczny z ideologią komunistyczną, ale dodał charakterystycznie że ,,rząd dokona rewizji obsadzenia szeregu stanowisk".

Ochab jest szczególnie niepopularny w kołach partyjnej inteligencji — zwłaszcza wśród pisarzy i artystów. Nie ukrywał on nigdy swego niepokoju i niezadowolenia z obrotu jaki przybrała ,,odwilż" w Polsce. Otóż wśród pisarzy i dziennikarzy, którzy pierwsi i najodważniej zaczęli walczyć o większą wolność, nie brak Żydów. Umysły prymitywne — czy wywodzą się z faszyzmu czy ze stalinizmu — zawsze podejrzewały Żydów o mroczne tendencje liberalne. Nie gdzie indziej jak w ,,Życiu Warszawy" z 31 maja czytamy to rewelacyjne zdanie, przedstawione jako opinia pewnego odłamu polskich antysemitów: ,,*Żydów charakteryzują ciągoty do burżuazyjnego liberalizmu*". Jakiż to antysemita może się dziś w ten sposób wyrażać, jeśli nie antysemita stalinowski? Jak widać hasło ,,Żydokomuna" zastępuje się hasłem ,,Żydoliberalizm".

Reasumując: liczne świadectwa, które dochodzą do nas z Polski, pozwalają zrekonstruować następujący obraz sytuacji. Grupa ,,stalinowska" w łonie polskiej partii komunistycznej, przeciwna reformom i jakiejkolwiek zmianie obecnego stanu rzeczy, jest w znacznej mierze antysemicka. Antysemityzm jest platformą, na której jakikolwiek rząd Polski może uzyskać poklask najbardziej zacofanej części społeczeństwa. Porzucając, z polecenia Kremla, dotychczasową politykę terroru i będąc w ten sposób zmuszonym szukać nieco szerszego oparcia w ludności, reżym poświęca bez wahania szereg ludzi, którzy mu byli oddani: Żyd jest zawsze i wszędzie idealnym kozłem ofiarnym. Ponieważ autentyczne tendencje liberalne są reprezentowane wewnątrz Partii przez sfery intelektualne, wśród których nie brak ludzi żydowskiego pochodzenia, stalinowcy przygotowują sobie może w ten sposób grunt do rozgrywki z ,,liberalną" opozycją.

Rozumowanie to jest tym bardziej prawdopodobne, że antysemityzm polskich stalinowców odzwierciadla antysemityzm ich moskiewskich mocodawców. Ochab uchodzi za człowieka posiadającego zaufanie Chruszczowa. Otóż przypisuje się ogólnie na Zachodzie Chruszczowowi tendencje antysemickie. Zachodnia opinia była poruszona faktem, że raport Chruszczowa nie zawierał potępienia zbrodni dokonanych w epoce stalinowskiej przeciw Żydom. Sam komunistyczny organ amerykański ,,Daily Worker", zawierał w nr. z 6 czerwca 1956 następujące zdanie:

> Wyrażamy również nasz niepokój w związku z faktem, że wśród długiej listy zbrodni wspomnianych w przemówieniu brakuje tych które pełniono przeciw kulturze żydowskiej i przeciw żydowskim twórcom kulturalnym".

Wiadomo także że pewne koła zachodnie — zwłaszcza wśród

socjalistów, kilkakrotnie interweniowały w tej sprawie w rozmowach z sowieckimi przywódcami i że Chruszczow zbył te interwencje twierdzeniem że antysemityzm nie istnieje w Z.S.S.R. Szwajcarska ,,Neue Züricher Zeitung'' z 16 czerwca przytacza taką rozmowę między czołowym socjalistą, brytyjskim Hugh Gaitskell i Chruszczowem podczas wizyty ,,B. i K.'' w Londynie, oraz dyskusje między Chruszczowem i delegatami francuskiej S.F.I.O. w Moskwie. Zapytany o los Żydów w Z.S.S.R. Chruszczow miał stwierdzić, że żydowscy intelektualiści odegrali ważną rolę podczas rewolucji i że otrzymali dlatego ważne stanowiska w partii i w administracji. Było to potrzebne wówczas, z powodu braku rosyjskich sił intelektualnych. Ale warunki się zmieniły od tego czasu. Bolszewizm uformował swych własnych administratorów i inteligentów i nie potrzebuje już polegać na intelektualistach żydowskich. Chruszczow oświadczył wreszcie, że same żydowskie organizacje kulturalne nie przywiązują żadnej wagi do swej własnej kultury i że życzą sobie jak najszybszej ,,rusyfikacji'' dwóch milionów Żydów zamieszkujących Z.S.S.R. Już te oświadczenia zawierają sporą dozę antysemityzmu, chociażby podświadomego. Teza głównej roli zagranej przez Żydów podczas rewolucji październikowej — jest ostatecznie tezą ,,Czarnej Sotni''. Ale Chruszczow wyraża się w sposób o wiele bardziej bezpośredni w ,,demokracjach ludowych'', niż w rozmowach z zachodnimi demokratami. Podczas posiedzenia Centralnego Komitetu Polskiej Partii Komunistycznej po śmierci Bieruta, Chruszczow rozmawiał łaskawie w kuluarach z delegatami klepiąc ich po ramieniu. Oto kilka jego wystąpień w sprawie żydowskiej : (przeglądając listę delegatów) : ,,Macie tu za dużo Abramowiczów''. Albo, w charakterze przyjacielskiej rady ,,starszego braciszka'' : ,,Jeśli macie do wyboru między Kowalskim i Rosenblumem, i jeśli Kowalski nie jest zupełnym kretynem i draniem, a Rosenblum geniuszem, wybierajcie zawsze Kowalskiego''...

Antysemityzm sowiecki jest zresztą znany w Polsce. W czerwcu 1956, zorganizowano zbiorową wycieczkę P.G.R.'ów do Z.S.S.R. W ostatniej chwili, skreślono z listy delegatów wszystkich Żydów, nawet dygnitarzy.

Wykorzystywanie antysemityzmu przez komunistów nie jest w Polsce nowością. Wiadomo dziś że pogrom w Kielcach w roku 1946 został sprowokowany przez lokalnych urzędników — rosyjskich wówczas — U.B.

W świetle tych danych, polskie artykuły które cytowaliśmy, z zawartymi w nich aluzjami do skłonności antysemickich w polskiej partii komunistycznej, nabierają specjalnego wyrazu.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat, tradycyjny, głęboki antysemityzm polski nie stracił w niczym na natężeniu. Ale — jak mówi jeden z polskich dziennikarzy — *obowiązywało milczenie.* Dopiero na skutek ,,odwilży'' — i to już dobrze zaawansowanej — od kwietnia 1956 — zaczęto znów w Polsce mówić o anty-

semityzmie. Ciekawy zbieg okoliczności — organy prasowe i dziennikarze, którzy pierwsi zabrali głos na ten temat, są ci sami, którzy pierwsi odważyli się walczyć na łamach polskiej prasy o szeroko pojętą liberalizację.

Muszą oni zdawać sobie sprawę, że ta liberalizacja jest zagrożona przez stalinistów, przez ,,kacyków'', zarówno przez wszystkich administratorów na uprzywilejowanych stanowiskach — jak przez odwieczną polską kołtunerię. Czują oni że właśnie na tym odcinku — żydowskim — może powstać alians pomiędzy stalinistami i kołtunerią. I dlatego korzystają z obecnej atmosfery, aby ostrzec nas przed tą podwójną groźbą. Na skutek tragicznej ironii losu, antysemityzm, który tyle złego wyrządził i Polsce i Polakom, staje się znów aktualnym niebezpieczeństwem, i może być wykorzystany przez dzisiejszych oprawców Polski, tak jak był wykorzystany przez wczorajszych.

K.A. JELEŃSKI

Fragmenty z dziennika

Środa.

Po powrocie do Buenos Aires zmieniłem tryb życia. Wstaję około 11-ej, ale golenie odkładam na później — bo bardzo nudzące. Śniadanie, złożone z herbaty, pieczywa, masła i dwóch jaj, w parzyste dni tygodnia na miękko, w nieparzyste na twardo. Po śniadaniu zabieram się do pracy i piszę póki chęć zaprzestania roboty nie zwalczy we mnie niechęci do golenia. Gdy nastąpi to przesilenie, golę się z przyjemnością. Ogolenie skłania do wyjścia na miasto, idę więc do kawiarni Querandi, róg Moreno i Peru, na kawę z rogalikami i lekturą La Razon.

Wracam do domu aby jeszcze popracować, ale te godziny poświęcam pracy zarobkowej dla tutejszej prasy, lub też, dosiadłszy mego Remingtona, załatwiam korespondencję. Pykam przy tym z mej fajki Dunhill, albo z mej BBB Ultonii. Palę tabaco Hermes para pipa. Po 8-ej wychodzę do restauracji Sorrento na kolację, a potem program zmienia się zależnie od okoliczności. Późną noc przeznaczam na czytanie książek, które, niestety, nie zawsze są takie jakich bym pragnął.

Kupiłem na wyprzedaży sześć koszul letnich po bardzo niskiej cenie.

Czwartek.

Kupa gazet z Kraju, przesłanych mi przez Giedroycia. ,,Nowa Kultura'', ,,Życie Literackie'', ,,Przegląd Kulturalny'', ,,Po prostu''... Przeglądam. Ludzie nowi. Nieznane nazwiska: Lapter, Bartelski, Toeplitz, Bratny — co to za osoby? Recenzje z książek, o których nic nie wiem, napomknięcia o zdarzeniach przeze mnie niezasłyszanych, fraszki o niezrozumiałej aluzji, starcia i spięcia w których się nie orientuję — jak gdybym nocą podkradł się pod mury wielkiego obozowiska i łowił dochodzące odgłosy. Co to za wrzawa? W Polsce ongiś byłem cudzoziemcem,

ponieważ moja literatura była egzotyczna i odpychano ją — dziś znowu błąkam się na peryferiach.

Przerzucam te pisma i chciałbym dowiedzieć się co *na prawdę* tam z nimi się dzieje. Tymczasowość tego co piszą ni ulega wątpliwości : nie wyłowiłem ani jednego tekstu, ani jed nego autora, o których można by powiedzieć, że tu rozpoczyn się istotna praca duchowa, stanowcza, świadoma, nieoportunis tyczna, na długą obliczona metę. Ale nie idzie o to, co piszą Chciałbym zajrzeć im do głów : co myślą ? Zrozumieć, co z nim się stało ? Czy jest możliwe takie zduszenie słowa, że ono niczym się nie zdradzi ?

Na tych niezbyt ciekawych szpaltach pełno obrachunków z tytułu dziesięciolecia Polski Ludowej, takie tam bilansy jak z każdej innej produkcji — obliczają swoje tomiki poetycki i jaka była wydajność fabryki prozy. Gdybym ja, tak z boku na niewidziane, na oślep prawie, zrobił im bilans dziesięciolecia Wsłuchując się nie w ich słowa; w ich głos.

Piątek.

Stwierdźmy naprzód, że przeszli przez dwa olbrzymie doświadczenia : wojnę i rewolucję. I powiedzmy, że o tyle tylko mogą oni dzisiaj być kimś, coś przedstawiać, coś tworzyć, o ile te doświadczenia weszły im w krew. Albowiem przestali być ludźmi z roku 1939 — są modelami 1956. Jeżeli, utraciwszy tamtą rzeczywistość, nie przyswoili sobie dostatecznie nowej, jeżeli nie są, dość intensywnie, ani tym ani tamtym, to czymże są ? Niczym.

Mnie właśnie się zdaje, że oni swojego życia nie przeżyli

Ich nieprzeżycie wojny. — Ktoś w tych gazetach powołuje się na Adolfa Rudnickiego — on miał powiedzieć, że literatura powojennej Polski nie zdołała wyczerpać należycie tematyki wojennej, że z tej otchłani piekielnej nie wydobyto wszystkiego co by się dało, o człowieku. To prawda, że nie wiele wydobyto Ale czy piekło nadaje się do eksploatacji ?

Ci pisarze, między innymi i przede wszystkim Rudnicki, zabrali się do ciał torturowanych sądząc, że niebotyczność cierpienia dostarczy im jakiejś prawdy, moralności, przynajmniej nowe wiedzy o naszych granicach. Niewiele znaleźli, co by okazało się płodne i twórcze. Odkryli, jak Borowski, że jesteśmy bezdennie nikczemni. Ależ, jeśli wszyscy jesteśmy nikczemni, nik nie jest nikczemny — pojęcie to hańbi tylko wtedy, gdy służy do odróżniania człowieka od człowieka. Odkryli, że kultura ta pięknoduchowska estetów i intelektualistów, jest tylko pianka — to mi przedpotopowa rewelacja i dosyć dziecinna ! Opisując ową nieludzkość wołali w moralizatorskim tonie o ludzkoś (Andrzejewski) — lecz od takich księżowskich kazań nic się ni zmienia ani w tym, kto je wygłasza, ani w słuchaczu. Żenujący

kontrast pomiędzy górą krwawego cielska a nikłością tego do niej komentarza, który właściwie, pomimo iż obfity w wykrzykniki, nie potrafił wymyślić nic ponad *pia desideria* zawarte już w wypowiedziach Ojca św., a mianowicie, że ludzie nie powinni być źli, tylko dobrzy. Proust więcej znalazł w swoim ciasteczku, w swojej służącej i w swoich hrabiach, niż oni w dymiących przez lata całe krematoriach. I nic dziwnego, że w końcu ten dym gryzący stał się im kadzidłem dla nowej dyktatury, podkadzali nim swoje wyzwolenie w nowym, stalinowskim, reżymie (zapominając o dymach Kołymy). Nastąpiło oswojenie piekła i wprzągnięcie go w konstruktywną pracę polityczną.

Wcale nie uważam, żeby ich impotencja artystyczna wobec wojny była wstydem; wręcz przeciwnie, to było do przewidzenia. Dlaczego się tak dzieje, że żołnierz idzie na front, doznaje okropności, sam nią się staje, a potem wraca do życia cywilnego jakby nigdy nic... taki właśnie, jakim był przed wyruszeniem? Zdarzają się dawki za silne. Tych organizm nie przyjmuje. Dlatego, gdybym był towarzyszem-prezesem ich Związku Literatów w tych dniach powojennych, zaleciłbym wyjątkową ostrożność w traktowaniu tematów demonicznych, nadmiernie olbrzymich — a przynajmniej wyjątkową chytrość. Jeśli Proust z hrabiów wydobył więcej, to dlatego że wśród hrabiów mógł poruszać się i czuć swobodnie, a i ciasteczko go nie przerastało — ale te cztery miliony zamordowanych Żydów to Himalaje! Zakazałbym tej typowo polskiej naiwności, która mniema, że tylko na szczytach jest coś do odkrycia. Na szczytach nie ma nic, śnieg, lód i skała — natomiast wiele jest do zobaczenia we własnym ogródku. Gdy zbliżasz się z piórem w ręku do gór milionowej męki, ogarnia cię lęk, szacunek, zgroza, pióro drży w dłoni, a twoje wargi nie stać na nic oprócz jęku. Ale jękami nie robi się literatury. Ani pustką à la Borowski. Ani ,,sumieniem'' à la ksiądz Andrzejewski.

Oczywiście — to dotyczy nie tylko literatury. Także przeciętny polski inteligent nie był zdolny przeżyć wojny do dna. Ale w tych warunkach jedynym rzetelnym podejściem do sprawy byłoby nie wysilać się na przeżywanie czegoś, co przeżyć się nie da, a właśnie zapytać, dlaczego takie przeżycie jest nam niedostępne. Polak bowiem bynajmniej wojny nie doświadczył. Doświadczył jedynie tego, że wojny nie da się doświadczyć — mówię, doświadczyć w pełni, wyczerpać — i tego że wraz z pokojem powraca natychmiast inny wymiar, ten normalny. Tak postawione zagadnienie miałoby przynajmiej tę zaletę, że nie ubezwładniłoby ich na czas pokoju pod względem myślowym, moralnym, uczuciowym — znając pojemność swojej natury ci ludzie łatwiej odnaleźliby równowagę.

Jednakże stosunek ich do wojny został sfałszowany. Ujęto to w trybie konwencjonalnym: ,,wielkie'' przeżycie, więc trzeba z niego wyciągnąć wielkie wzruszenie i wielką naukę. Kto ich nie wyciągnie, jest podły. Ponieważ nikt nie mógł wyciągnąć,

więc wszyscy poczuli się podli, a, gdy poczuli się podli, wpad w lekkomyślność. A przecież można było im powiedzieć: wiedz że wojna nie jest ani odrobinę straszniejsza od tego, co się dziej w twoim ogródku, w dzień pogodny. Jeżeli wiesz, co w ogól się dzieje, w świecie i w życiu, dlaczego tamto cię przeraża A jeśli nie wiesz, dlaczego upierasz się, aby taką wiedzę właśni mieć o wojnie?

Nie trzeba powyższych uwag rozumieć, jako cynizm — bo tu pragnie się jedynie stwierdzić, że istnieją zjawiska do których dojście na najkrótszej drodze jest niemożliwe; można przybliży się do nich tylko via cały świat i via natura ludzka w jej naj bardziej zasadniczych aspektach.

Ich nieprzeżycie rewolucji. — A zatem cóż przedostało się z wojny do ich świadomości — co zostało sformułowane? Jakaś luźna myśl o ,,okropności'' i nieco kulawego, moralizatorskiego patosu.

W rzeczywistości ukończenie wojny zastało ich przewróconymi, ogłupiałymi, wypróżnionymi. Byli jeszcze zdolni do rozmaitych akcji zbiorowych, brali udział w organizacjach, ale to dlatego, że chwytali się czegokolwiek aby się utrzymać, aby się ruszać, miotał nimi instynkt walki i życia — ale byli ogłuszeni. I na tę pustkę w nich spadł marksizm. Marksizm, wyobrażam sobie, spadł na nich zanim zdołali całkowicie przyjść do siebie to jest do siebie z czasów przedwojennych. Toteż myślę, że oni nie przeżyli rewolucji, ponieważ nie mieli czym jej przeżywać. Gdyby marksizm osiedlił się w Polsce samorzutnie, stopniowo, przezwyciężając opory... ale on został na kraj nałożony, jak się nakłada klatkę na odurzone ptaki, jak się nakłada ubranie na człowieka nagiego.

Z chwilą gdy znaleźli się w klatce, wszelka polska dyskusja z rewolucją stała się niemożliwa. Dotyczy to także tajnego dialogu duszy indywidualnej z marksizmem — gdyż Polak był zupełnie nieprzygotowany do stawienia czoła temu naporowi. Nasza kultura tylko z pozoru była indywidualistyczna. Kiedyż to dla Polaka indywidualizm byś czymś innym niż popuszczaniem pasa czyż kiedykolwiek zabłysnął nam jako cnota i trudny obowiązek wierności wobec siebie samego? Jak mogły skutecznie przeciw stawić się Marksowi dusze, wychowane na Mickiewiczu, Sienkiewiczu i Żeromskim? Kiedy ich spętano, już było za późno aby mógł się zorganizować świadomy indywidualizm polski — więc oni, pozbawieni broni intelektualnej, niepewni swej racj moralnej, walcząc w pojedynkę, raczej opędzali się bezładnie ni walczyli, odrzucali to, nie przyjmowali do wiadomości. Wniosek paradoksalny, ten, że w krajach burżuazyjnych Zachodu, w Francji lub we Włoszech, marksizm jest nieskończenie głębie przeżywany. Podczas gdy w Polsce jest on tylko systemem społecznym, w którym się żyje — którego się nie przeżywa Polska — jeden z krajów najmniej marksistowskich świata.

Środa.

Wracając do tych gazet z Polski, które leżą tutaj na półce — a więc, moim zdaniem, oni tam, w Kraju, zaledwie są... są tylko do pewnego stopnia... jakąś słabowitą, wstępną egzystencją.

Aby nie być gołosłownym. Oto pewne charakterystyczne symptomy tego ich niedoistnienia w nowej rzeczywistości.

Jak przeżyli lud, proletariat? Mówię o inteligencji. Przecież ten proletariusz naraz wylazł na scenę i w czołowej roli; więc ten inteligent powinienby, choćby ze strachu, silniej odczuć tę obecność...

Oczywiście w ich gazetach proletariusz jest akurat taki jak na afiszu, krzepki i promienny. Jeżeli przed wojną nasza ,,wyższa sfera'', tak przecież zagrożona ową bezdenną w Polsce i dziką niższością, nie zdobyła się w tym przedmiocie na nic oprócz papieru, zapisanego filantropią, społecznikostwem i żeromszczyzną, to teraz stosunek inteligencji do ludu stał się uniżony i gładko wyklepany oficjalnym frazesem. Zrozumiałe. Logiczne. Ale... nieoficjalnie? W ich poezji, metaforze, w języku, w sposobie czy raczej w tonie ich myślenia szukam ech intensywnego przeżycia niższości, jako siły stwarzającej — wszakże, gdyby to w nich tkwiło, musiałoby jakoś się objawić. Ale nic. Jakby ich wyobraźnia zasnęła.

Ich nieodczuwanie ludu — jego chociażby (to jest im dozwolone) piękności i jego poezji. Wprost niesamowite, a nawet gorszące! Rewolucja sfałszowała i spłyciła ich stosunki z proletariatem, redukując je do ,,konstruktywnej współpracy'', gdy w rzeczywistości to tragiczne ale twórcze zmaganie się potęg. Cóż, w myśl rewolucji, czynić ma inteligent z robociarzem, z chłopkiem? Budować wspólnie fabrykę? Oświecać go? Stwarzać wspólny front partyjny? Ależ techniczna współpraca to nie żadna osobista styczność — w takim zaś osobistym zetknięciu wybuchnie zaraz nieporozumienie, niechęć, nieufność, wstręt, strach, wybuchnie starcie, gdyż te dwa piętra świadomości — wyższe i niższe — są sobie obce i wrogie, i wyższość może się zetknąć, zespolić z niższością tylko poprzez gwałt i walkę. Otóż, według mnie, nigdy kontakt inteligencji polskiej z warstwą niższą nie był tak nieosobisty — tak wyłącznie techniczny — czyli martwy, czyli duchowo nietwórczy. Nie mam na uwadze, powtarzam, ich urzędowego myślenia, tego co piszą pod dyktandem. Twierdzę, że nawet po cichu i po kryjomu nie nawiedzają ich takie myśli. Kogóż z nich, znużonych, olśni piękność takiego starcia sfer? Że jest wspaniałe, gdy wyższa świadomość dopada niższej jak ptak drapieżny? A może wspanialsze jeszcze, gdy niższość dopuszcza się gwałtu na wyższości? Przezwyciężywszy moją abominację do poezji rymowanej, przeczytałem ich wiersze i utonąłem w konstruktywnej nudzie — nie natrafiłem ani na jeden akcent, który by mnie wyprowadził na pole tych napięć.

Zanotujmy przeto: w Polsce Ludowej nikt naprawdę, *o-* *biście,* nie przeżywa ludu. Proletariat im się przejadł. Stra wrażliwość.

Piątek.

Dziś przysiadł się do mnie w kawiarni obleśny facet i op wiadał, że chce posiąść dwunastoletnią dziewczynkę i że ona ta że by chciała... i przeklinał władzę, państwo, ustrój społeczn prawo, księży, cywilizację, kulturę. Przeklinał cicho, rzewn melancholijnie, dłubiąc brudnym palcem w uchu i patrz w sufit.

Kolacja w Crillonie z Rodriguez Feo. Byli też Virgil i Humberto. Rodriguez Feo jest redaktorem niezłego miesięc nika literackiego „El Ciclon" w Habanie. Przyjechał z wizyt Wszyscy są Kubańczykami. Dziwny gatunek! Są inteligent i zorientowani, ale nie są zrobieni z gliny, tylko z wody. Ruch ma, mieniąca się, przeciekająca płynność.

Wracając do domu, myślałem o Polsce i o tamtejszyc moich kolegach po piórze. Czasem wydaje mi się, że powinienе myśleć o nich z większą skromnością. A jednak ta pewnoś że ja bardziej od nich *jestem*... nie pozwala na żadne ustępstw O hierarchii między nami stanowi nie talent, rozum, wartoś moralne, a przede wszystkim to: silniejsze, bardziej rzeczywis istnienie.

Jestem sam. Dlatego bardziej jestem.

Niedziela.

Złości mnie, gdy czytam ich prasę, że i w dziedzinie sztu okazali się tak niemrawi. Zdumiewające, że choć rewoluc wstrząsnęła podstawami ich bytu, w tych pismach literacki nic się nie zmieniło. Świat się zawalił, ale światek — ten arty tyczny — pozostał nienaruszony. Mam tu ten kiepski Parn z przedwojnia taki jak był — tylko kolor inny. Dociekliwe ro ważania „O istocie poezji", lub też o malarstwie, konkurs nagrody, recenzje... i ten jest „czołowym prozaikiem", tamt „świetnym poetą".

Irytujące gdy widzisz, że po trzęsieniu ziemi w domu two ostało się akurat wszystko najlichsze i najsłabiej utwierdzon Czegóż można było spodziewać się po rewolucji (gdyby ona sta się przeżyciem)? Przynajmniej, że nastąpi jakieś krótkie spię z rzeczywistością, że przez chwilę chociażby będą musieli zajrz w ślepia tej meduzie.

Jest faktem — faktem, czyli nieubłaganą potęgą przed k rą trzeba się ugiąć — że wierszy się nie czyta. Że nikt praw nie jest w stanie odróżnić dobrego obrazu od złego. Że wyśc tych koni to jest, przepraszam, rozmaitych zziajanych pianistó czy innych wirtuozów, ubiegających się o pierwszeństwo, ma

akurat tyleż wspólnego ze sztuką co wyścigi końskie. Że muzea są czymś arcymartwym i przyprawiającym o ból głowy. Ja umyślnie nie chcę dziś sięgać do korzenia tych absurdów, wymieniam je tylko. Czyż nie można było oczekiwać, że fikcje, śmieszności i głupoty sztuki zostaną przez rewolucję przyparte do muru i że estetykę będą oni budować na faktach, a nie na iluzjach, ani na konsenansach, ani na tradycjach?

Jak pogodzić się, na przykład, z tym że Wyspiański jest ogłoszony narodowym naszym dramaturgiem i poetą, jeśli w narodzie nie ma stu osób które by jako tako znały jego dzieło? Jak twierdzić, że Słowacki lub Mickiewicz zachwycają, gdy nie zachwycają? Dlaczego mówicie, że żyje wśród was Kasprowicz, gdy znacie go tylko z katalogów bibliotek? Zdawałoby się, że tam gdzie sens społeczny sztuki wybija się na pierwszy plan, takie pytania powinny być postawione. Ale one w dalszym ciągu są nieprzyzwoite. Gdyby w Kraju ogłoszono mój artykuł „Przeciw poetom" z *Kultury,* stałby się on artykułem co się zowie rewolucyjnym — ale przecież taką rewolucję powinna była dawno przeprowadzić wasza rewolucja. Trzeba było podejść do sztuki brutalnie, zniszczyć jej mity, zrewidować ten niemożliwie przestarzały język jej akolitów i glosatorów, ustalić ją w tym czym jest — wówczas można by rzeczywiście ruszyć nieco naprzód. Pytacie zakłopotani, jak się zabrać do tego? Ależ bardzo proste! Przestańcie kłamliwie twierdzić, że „sztuka zachwyca", powiedzcie zgodnie z prawdą, że wprawdzie sztuka nieco od czasu zachwyca, lecz że, przede wszystkim ludzie zmuszają się wzajemnie do tego aby ich zachwycała. Zmuszają się? Dlaczego? Jak? Po co? Gdzie indziej pisałem o tym — ale zauważcie, że już samo takie postawienie sprawy wyrywa was z kręgu sztucznej adoracji, fikcyjnej wartości i anachronicznej liturgii.

Czyż rewolucja nie stworzyła klimatu dla takiego realizmu? Czyż nie jest on zgodny z duchem marksizmu — mam na myśli nie pomyloną marksistowską teorię sztuki, a właśnie ducha — wszakże takie ujęcie, jak najbardziej dialektyczne, ukazuje wam doznanie artystyczne jako coś powstającego „między" ludźmi? I dla Polaka taki realizm byłby wielką zdobyczą, stworzyłby nasze własne podejście do sztuki, wyodrębniłby nas od Zachodu, doprowadziłby nas do estetyki zgodniejszej nie tylko z życiem, ale i z naszą naturą.

Zamiast tego — cóż? Nie dokonano niczego. Zażądano aby sztuka była „dla mas", co równa się żądaniu aby była płaska. Zażądano aby była dla mas, ale nie zreformowano stosunku mas do sztuki. Pozostała nadal „zachwycająca". Zbiurokratyzowano artystę, zachowując nietknięte jego kapłaństwo oraz cały ten kościół i wszystkie w nim nabożeństwa. Ba! Dodano jeszcze jeden absurd niepośledniego formatu. W społeczeństwach zachodnich burżuj ze średnim wykształceniem mniema, że on rzeczywiście może wchłonąć fugę Bacha lub obraz Rafaela. Lecz Demokracja Ludowa uważa, iż także kmiotek lub robociarz,

mając ,,dusze wrażliwe na piękno'', mogą wczuć się w son
Szopena — jakoż prowadzi się ich na koncert i na tej kultural
sesji ,,przeżywają''... jak wszystko tam się przeżywa, ani
jotę bardziej. Co za szmira !

I znów : wiem, rozumiem, że nic nie było do zrobienia g
królował Żdanow. Ale do dziś nie widzę żadnej poszlaki, któ
by wskazywała, że choćby tylko możliwość takiej rewizji ta
kiełkuje.

Poniedziałek.

Nowy stos pism przysyła Giedroyc — te są już z ostatnic
miesięcy, marzec, kwiecień.

Po mowie tow. Chruszczowa i rewelacjach XX Zjazd
Nowy etap i zmiana kursu. Są uszczęśliwieni i dumni.

Ale znów te artykuły, wiersze, listy do redakcji, komentar
wyglądają jakby były pisane przez jedną i tę samą osobę. O
chylenia są nieznaczne. Jeden temat niepodzielnie króluje : X
Zjazd i nowy kurs.

Przede wszystkim rzuca się w oczy, że oni zawsze są ni
wolnikami jednego tematu. Temat tam nie rodzi się spontanic
nie, nie bywa znaleziony na własną rękę, stworzony, odkryty -
jest zawsze zadany.

Mimo to jest wzruszające widzieć, jak cieszą się porcją życi
którą im przydzielono.

Ale jeśli chodzi o ludzi w Polsce, nielicznych, którzy ch
żyć na serio — i chcieliby może dokonać czegoś powszechn
ważnego to jest nie lokalnego, lecz na miarę świata... ci bę
musieli zbyć uśmieszkiem jubel i balik dozwolonej swobody.

Wtorek.

Przeczytałem co napisałem powyżej o proletariacie i sztuc
Jakież to będzie nieprzekonywujące dla tych, którzy mnie n
rozumieją, którym wymyka się mój sens. Takich jest legio
Oby mieli ucho dość wyrobione aby ich ostrzegło, że to n
są zwiewne kaprysy — raczej ukazanie drogi trudnej, bo n
podobłocznej ale po ziemi.

Wracam do mego punktu wyjścia : oni swojego życia n
przeżyli. Tak, to dlatego ja jestem wobec nich taki wyniosł
zarozumiały, lekceważący — nie mogę po prostu uznać, że
ludzie na moim poziomie. Otóż, zważywszy, że nie spadła
mnie ani dziesiąta część tego co im się dostało i że, gdy oni krw
wili, ja wałęsałem się po kawiarniach w Buenos Aires, uczu
takie — przyznaję — nie bardzo jest w porządku. Bardziej chy
byłaby wskazana pokora i podziw. A jednak to zimne lekcew
żenie jest we mnie tak silne, że nie mogę go ukryć w tym dzie
niku, gdzie chciałbym nie zanadto kłamać.

Jak śmiem ich lekceważyć ? I to lekceważyć tak okrutn

że nawet ból i klęska tych ludzi, przecież mi bliskich, stają się mniej ważne? Nie umiem tego sobie wytłumaczyć inaczej jak tylko, że doznaję ich istnienia mniej silnie... nie, nie z powodu odległości czy długotrwałego rozstania. Przestali być dla mnie kimś. Przestali być czym byli, a nie skonkretyzowali się dostatecznie w żadnym nowym istnieniu. Są niewyraźni. Zamazani, Niepełni. Embrionalni.

Komunizm? Antykomunizm? Nie, to zostawmy na razie na boku. Nie idzie o to abyście byli komunistami, lub anty... idzie o to, żebyście po prostu byli. Być — to nieprawdaż, minimalny postulat który przedkładam polskiej inteligencji, polskiej świadomości. Będziecie musieli nieźle się wysilić w latach nadchodzących, aby przejść od pół-egzystencji do egzystencji, i nie wiadomo czy się to uda. Póki co, przyjaciele, życie wasze równie jak śmierć nie będą miały pełnej wagi. A to prawo do życia i śmierci będzie musiał zdobyć każdy z nich z osobna.

Jeszcze kilka luźnych uwag z tej lektury gazet.

Ich wyobraźnia. — Jest czystsza, niż była przed wojną. Oni dziwnie się oczyścili. Wyobraźnia ich przestała być sybarytyzmem, została skierowana w stronę wysiłku i walki. Jest bardziej istotnie związana z energią. I nurt uzdrawiający wyobraźni prymitywnej, której dziś są bliżsi, opłukał ich z wielu spaczeń, dziwactw, z histerii.

Przed wojną sporo było ludzi w Polsce żyjących życiem złagodzonym — ziemiaństwo, burżuazja. Wyżywali się przeto w wyobraźni, ale niedość zdyscyplinowanej, więc brudnej... marzyciele. Ci teraz w Kraju — nie. To nie marksizm sprawił, ale bieda.

To wyobraźnia bardziej schludna, ale też uboga. Ubóstwo jej również nie jest wynikiem ustroju społecznego, tych tam zakazów i dyrektyw, jest w związku z powszechną pauperyzacją. Gdy odpadną zakazy, naród pozostanie z wyobraźnią wypróżnioną, wsadzi rękę do pustej kieszeni.

Ich moralność. — Mają pełną gębę moralności. Bez przerwy. Któż wobec tego może uwierzyć w ich moralność?

Moim zdaniem, ich moralność pozostaje w odwrotnym stosunku do ich gadaniny. Moralność życia publicznego wciąż tam jest na tapecie? No, więc w tej dziedzinie są, jak myślę, cynikami nielada. Natomiast w stosunkach osobistych, familijnych etc., tam gdzie może istnieć jaka taka dyskrecja, to są, zapewne, zacni ludzie.

Ich piękność. — Jakiej piękności pragną dla siebie? Jakiego pióropuszu? Jakiej ozdoby? Jakiej poezji, jakiego wdzięku szukają aby nimi okrasić swoje bytowanie, zanadto szare? Trudne pytanie. Ich oficjalna piękność, to piękność walki o nowy porządek — ale ta piękność została tam zracjonalizowana i zanadto utożsamiona z cnotą, a to pozbawia żywotności. Obfitują w piękne cnoty, jak Kościół Katolicki. Ale gdzież są ich piękne grzechy?

Jeżeli ich wyobraźnia nie skurczyła się do zera, to można przypuszczać, że tam, poza oficjalną poezją, tworzy się po cichu inna prywatna, i że jest ona poezją anarchii.

Ich skromność. — Ci literaci są niezwykle skromni. Ich skromność jest savoir vivrem. Polega na ukrywaniu pychy. To jedynie ostrożność — aby nie rozjuszyć kogoś na siebie.

W literaturze taka skromność nie może przydać się na nic. Pychy, wyniosłości, ambicji nie można usunąć z pisania bo to jego motor. Trzeba je ujawnić. Wtedy można je ucywilizować.

Witold GOMBROWICZ

Na śmierć Lechonia

O świcie nagle wyjęto z ram
spopieloną zieleń

Niebo spłynęło w otwarte jamy ścian
runęło z domem
przywalonym gryzącym dymem

Pozostali umarli
w sąsiedztwie wysokich ptaków
kreślących skrzydłami zatoki śmierci

Z oczu umarłych sypie się żółty piach
jak z klepsydr —

O świcie załzawionym pustka wypływa z okien
głuche milczenie i strach
w którym lata na proch nas starły

W sąsiednim domu stukają na alarm
— s.o.s. rozbitków rzuconych w pustkę

Ale rozpacz jest szybka
już nas dopadła —
podmywa

Żałobnym ptactwem w niebo biją klątwy i krzyki
i widma plamiące ludzką pamięć
jak chusta
świętej Weroniki

Nad snami Starców — ręka bezowocnej śmierci
gdy noc barami w jałowy dom się wparła

W świszczącym oddechu wpadniętej piersi
wygnańca na przedmieściach obcych stolic
jałowa noc pokrywa resztki snów umarłych
— wyrwanych z tkniętych paraliżem dłoni

W nierównym tętnie fabrycznych olbrzymów
szeleści łowiecka sieć pająka;
nim nas przysłoni śmiertelnym całunem —
porazi pamięć — ubezwładni
i gdy noc już dobrze cierpieniem nasiąknie
— pozwoli bezowocnie zginąć .

Widziałem tę śmierć z wysoka
chwytającą was za gardła

W urnach wyschniętych czaszek
przesypywały się żywe prochy
bo żyliście jeszcze
a już nie żyli
mówiący językiem martwych
myślący coraz zawilej

Mówiono — Tęsknota
trąbiono do Czynu
ale dźwięki były fałszywe
słowa zgrzytały jak piasek
w zapienionych ustach
ludzi jeszcze żyjących
a już nie żywych

Widziałem tę śmierć z wysoka
dymiła z rumowisk idej

Nie chciałem taką śmiercią umierać
więc runąłem jak u Norwida
fortepian trumna

Niech serce pęka wysokim tonem
zerwanej struny.

Józef ŻYWINA

Punkt równowagi

— Zarobiłem — powiedział Pochwalski. — Wróciłem z potrojonym kapitałem i bogatszy o to coś, co daje głębokie przeżycie, przygoda. I może o coś więcej... Nie wiem. — Upił trochę whisky i zamyślił się manipulując przy nieodłącznej fajce. Noc była cicha i upalna, przesycona kurzem osiadającym po ustaniu całodziennego wiatru. W otaczającej wszystko suszy nawet dźwięki stawały się suche jak mięcie celofanu i trzymana w ręce szklanka była na pewno kruchsza niż normalnie. Siedzieliśmy w dusznej *cantina* spotkawszy się po długim niewidzeniu.

— Nie lubię pracy — ciągnął po chwili dalej — żaden człowiek jej nie lubi, ale lubię to co tkwi w niej — możność odnalezienia siebie. Własnej rzeczywistości — dla siebie, nie dla innych — czegoś o czym nikt inny nie może się dowiedzieć. Nie — to nie mój wynalazek, to cytat z Conrada. Nie zbyt dobrze go znam, ale tego nauczyłem się na pamięć odczytując w ciągu sześciu tygodni jako sentencję zawieszoną na ścianie. Na pozór piękna myśl, ale z tym odnajdywaniem siebie i własnej rzeczywistości miałbym pewne wątpliwości. Wiele zależy od rodzaju pracy. A zresztą czy w narkotykach odnajduje się siebie? Kolczaste zagadnienie. Wszystko, co mówi się o pracy to umoralniające bajeczki dla leniwych dzieci. Może Conrad uległ podświadomie tej tendencji ? Dla mnie ta myśl była od początku za złota. Mniejsza z tym.

Cytat jest z ,,Jądra ciemności'' i gdy myślę teraz o mojej przygodzie, wydaje mi się że zachodzi tu jakieś pokrewieństwo — nie z maksymą o pracy — raczej z tytułem opowiadania. Nie mam na myśli laguny wśród dżungli, całej malowniczej dekoracji tropikalnej, malowniczej z daleka i tak ponurej z bliska, że boisz się dotknąć najniewinniejszego badyla — myślę raczej o sobie, o wnętrzu każdego z nas. Nie wiem czy przeżyłeś kiedykolwiek taki okres, w którym udaje się człowiekowi zobiektywizować siebie do ostateczności, odrzucić wewnętrzny snobizm i szkliste załganie i spojrzeć na siebie z boku jak na jakiś martwy przed-

mnie. Jeszcze dziś jestem skłonny mówić o tym tak jakby zdarzyło się to komuś innemu, bez żadnych hamulców, bez oporu. Jeszcze ciągle jakieś dwa kawałki, ale zrosły się i może nigdy się nie zrosną, a może któryś z nich zamrze, uschnie i odpadnie? Nie wiem.

Noce były najgorsze. Kładłem się nago w hamaku wewnątrz szczelnie zamkniętej kabiny i choć od dawna przyzwyczaiłem się do spania w „pajęczynie", zdawało mi się że jestem bezradną muchą, że za chwilę zsunie się po jednym ze sznurów jakiś olbrzymi pająk i wypije ze mnie wszystką krew. Gdy czasem Bert gasił radio i zapadała zupełna cisza, przez okienka pokryte gęstą siatką mosiężną dolatywał brzęk miliardów komarów okrywających całą kabinę wielkiego wodnopłatowca dźwiękowym całunem. Dopiero o świcie robiło się trochę chłodniej, czasem ruszał wiatr, potem wschodziło słońce matowe i białe jak pastylka aspiryny, przebijając się z trudem poprzez nawiesiste mgły. Czekały się deszcze i wyczekiwaliśmy ich z wzrastającym napięciem. Znasz to. I w nas narastało ciśnienie, to coś co możesz wtedy zauważyć w każdej roślinie, w każdym stworzeniu i co nagle załamuje się w szumie pierwszej ulewy, rozlewa się ogarniającym wszystko spokojem, zwierzęcą radością życia i trwania.

Ale deszcze nie nadchodziły. Tylko większe drzewa były zielone i odcinały się ciemnymi plamami w popielatej, prawie białej tkaninie lian, badyli i wysuszonych powojów, tego całego [illegible] z dżungli, który w tym okresie podobny jest do sieci uplecionej z granitu. Laguna tkwiła w tym spokojna, oleista-płynna zieleń przypatrująca się wszystkiemu z zupełną obojętnością. O tej porze poziom wody opadł, ale było widać że w okresie deszczów rozrasta się ta kałuża do rozmiarów wydłużonego i dość dużego jeziora. Rozległe połacie twardego i spękanego mułu na brzegach pozwalały domyślać się, że uzyskamy brakujące nam do startu tysiąc stóp. Oczywiście do startu półkołem — nie wprost. Na start wprost nigdy nie było tam dosyć miejsca. Po prawdzie to nie było tam dosyć miejsca tak czy owak.

Pochwalski zamilkł, przesunął dłonią po czole i po oczach.

— Już prawie rok minął od tego czasu, a wspomnienie jest jeszcze tak silne, że zacząłem opowiadać ci o tym bez ładu i składu, wpadając od razu w sam środek. Pewnie dlatego że najważniejsze zaczęło się wtedy. Grat był naprawiony, obydwa silniki wyregulowane, pracowaliśmy już tylko nad szczegółami wyczekując deszczów. To wtedy opadła mnie wieczorna mania przeglądania portfelu, odczytywania starych dokumentów i papierów, oglądania wyblakłych fotografij. Od tego zaczęło się. Nie wiem dlaczego zabrałem wtedy ze sobą to całe archiwum...

Gdy rok temu wyjechałeś wysłany przez twoją firmę do San Salwadoru, ja ukończyłem pierwszy i najcięższy etap. Po sześciu latach pracy jako mechanik traktorowy, potem kierownik warsztatów przy lokalnej linii lotniczej, zdołałem uskładać ponad

siedem tysięcy dolarów. Sam wiesz najlepiej ile to kosztuje i ile planów powstaje wówczas w głowie. Coś nagle prostuje się wewnątrz i zaczynasz się czuć jak oswobodzony więzień. Koniec z zależnością, z niewolnictwem pracy dla drugich. Nie znam się na filozofii pracy, ale wiem że jeżeli nie jest ona zabarwiona jakimś egoizmem, wówczas jest zawsze tylko katorgą, znoszoną lepiej lub gorzej. Perspektywa zaczęcia czegoś na własny rachunek i na własne ryzyko ma w sobie coś upajającego, coś z prawdziwej twórczości. Ten sam rodzaj pracy, którego dawniej nie znosiło się, zaczyna pociągać, ogarniać wszystkie myśli, mnożyć siły. Z życiowego kibica stajesz się graczem, odzyskujesz kolory i smak istnienia.

Miałem zamiar założyć warsztat samochodowy i obok tego ,,Speed Shop'' dla własnej przyjemności. Pamiętasz jeszcze z przedwojennych czasów, że moją specjalnością — poza odwiecznymi studiami na politechnice — było zamienianie różnych gratów na wyścigowe maszyny i sam zawsze miałem jakiś samowar, który na szosie wyprzedzał najnowsze wozy. Ale przed tym postanowiłem odpocząć, ruszyć się trochę i coś zobaczyć. Dla mnie emigracja była od początku okazją, nie dopustem, i wtedy nabrała znowu sensu. Wyasygnowałem sobie osiemset dolarów i postanowiłem zwiedzić Stany Zjednoczone. Wyleciałem z Gwatemali do Nowego Orleanu aby stamtąd puścić się w długą włóczęgę autobusami przez Kalifornię do San Francisco, potem na wschód.

W Nowym Orleanie było już gorąco, wiosna w pełni. Większe miasto po sześciu latach właściwie dziczy, wydało mi się tworem nie z tego świata. Prawie całe sześć lat przejeździłem w *jeep*'ie od plantacji do plantacji, od stacji traktorów i maszyn przy budowie odcinka jakiejś drogi do innej stacji traktorów, raz tu, raz tam. Właściwie polubiłem to i w ostatnim roku, gdy zostałem już kierownikiem warsztatów w mieście, brakowało mi tego ruchu. Ale tu zapomniałem o wszystkim; ulice, tłum i przede wszystkim światła grały na każdym nerwie, wypełniały uczuciem odprężenia. Zdawało mi się że zdobyłem to miasto po długim biegu i że ktoś wręczał mi je teraz jak złocisty puchar. Zamieszkałem w tanim hotelu prawie na samym początku Carondelet Street i od razu wieczorem wyszedłem na miasto. Wlokłem się moją ulicą w kierunku śródmieścia zachodząc po drodze do barów. Czasem lubię pić sam, lubię tę samotność alkoholową skoncentrowaną i pełną, nie rozproszoną. Tylko wtedy można zagłębić się naprawdę w tajemniczy proces stępiania i zaostrzania się pewnych odczuć i ech, przejść na zupełną samowystarczalność duchową. Jestem tylko dla siebie, udzielam sobie audiencji bez pośpiechu i wysłuchuję z całą życzliwością. Nie zwracam uwagi na nic i nawet kobiety przestają mnie interesować.

Na głównej i o tej porze pustawej Canal Street byłem już oczywiście tylko ja, wolny, odczepiony od wszystkiego i toczący

się jak samotny wagon w półmroku bocznego toru. Zaszedłem nad brzeg Mississipi, wychyliłem się przez jakąś poręcz i patrząc na wodę, spluwałem sobie od czasu do czasu. Było mi bezgranicznie dobrze. Wróciłem do hotelu na piechotę zjadłszy coś po drodze z apetytem troglodyty. Nazajutrz włóczyłem się dalej zacząwszy dzień od whisky. Potem jeździłem tramwajem tam i z powrotem — od lat nie jeździłem już tramwajem — siadając razem z Murzynami i marząc w duchu o jakiejś awanturze. Do zupełnego szczęścia brakowało mi lekkiej rozróbki, skandalu, poszamotania się. Ale nikt nie zwracał na mnie uwagi. Z jakiegoś baru tylko dla Murzynów wyrzucili mnie — Murzyni, doradzając postudiowanie historii Stanów Zjednoczonych. Wobec tego pojechałem nad jezoro, wykąpałem się, zjadłem obiad i całe popołudnie spędziłem z jakimś włoskim majstrem budującym motorówki. Zrobiłem mu dokładny projekt lodówki w tylnym siedzeniu z wszystkimi rysunkami, popijając ze staruszkiem ,,Chianti''. Jadąc wieczorem do miasta kupiłem gazetę. Gdy znajdę się gdzieś po raz pierwszy w życiu, bawię się zawsze wyobrażaniem sobie że jestem bez pieniędzy i pytam : ,,Co zrobiłbyś teraz?'' Zacząłem od ogłoszeń o pracy. Tego było pełno, stronami. ,,No, tu nie byłoby kłopotu'' — pomyślałem z pewnym rozczarowaniem. Nagle zrobiło mi się nieprzyjemnie. Pracy było pod dostatkiem, ale tylko dla młodych. Zacząłem czytać z uwagą, gorączkowo. Trzydzieści pięć lat było tu granicą notowaną bardzo rzadko i z moją czterdziestką poczułem się starcem. Zmiąłem gazetę, wrzuciłem pod ławkę i dojechawszy do końcowego przystanku nad Mississipi, wlazłem do najbliższego baru. Po chwili bezmyślnego wpatrywania się w okno, zobaczyłem przy brzegu wielki statek kołowy, gęsto oświetlony. Zajeżdżały samochody, z każdego tramwaju wysiadali ludzie — wszyscy szli w stronę kołowca. Przypomniałem go sobie z jakiegoś filmu i nagle przyszła mi ochota na potańczenie, na pokręcenie się z jakąś dziewczyną. Chciałem zapomnieć o tych ogłoszeniach. Kupiłem bilet i usiadłem najpierw na dole, bo ciekawiła mnie stara maszyneria parowokołowa.

Już po wypłynięciu na rzekę wyszedłem na górę do olbrzymiej sali dancingowej. Było tu pełno. Sami młodzi, niezliczone setki młodych. Młode twarze chłopców z sypiącym się gdzieniegdzie wąsem lub z pierwszymi włoskami na brodzie, młode dziewczęta jeszcze trochę kanciaste, nieobtoczone i przerażająco świeże. Wiesz — przestraszyłem się; nagle poczułem że w żaden sposób nie zdobędę się na poproszenie do tańca ani jednej z nich. Bałem się z góry spojrzenia, które przeczuwałem, które też miałoby coś z tych ogłoszeń o pracy, przeciągających zimno i rzeczowo granicę wieku. Stałem z boku, patrzyłem, słuchałem muzyki i szelestu tańczących stóp i żegnałem się z wieloma rzeczami bezpowrotnie. Potem wyszedłem na pusty pokład na samej górze i wyciągnąwszy z kieszeni płaską flaszkę, wypiłem połowę z rozpaczy. Są to chwile, w których kpi się z siebie, nadrabia miną,

ale wewnątrz coś łka chyba naprawdę. Może płacz przysłowiowego pokolenia bez młodości?

Pewnie dlatego, już późno w nocy, znalazłem się na Bourbon Street, w tej uliczce usiłującej naśladować rue Pigalle z takim samym powodzeniem, z jakim Niemka chciałaby naśladować Francuzkę. Jest to właściwie przygnębiające, bo wszystko jest tu niedokończone, zatrzymane w pół drogi i hipokryzja płciowa doprowadzona jest po prostu do zwyrodnienia. Wszedłem do któregoś z niezliczonych ,,Burlesque'' i przyglądałem się jakiejś aż za dobrze zbudowanej blondynie jak zrzucała wolno, wśród tańca, okrywające ją szmatki. Jakaś inna piękność chciała się do mnie przysiąść, ale powiedziałem jej że z kobietami uprawiam wszystkie sporty oprócz picia. Była ,,zgorszona''. I wtedy siedzący obok blondyn uśmiechnął się do mnie dosłyszawszy moją odpowiedź i przysunął się proponując whisky. *Scotch or Bourbon?* — *Bourbon* — odpłaciłem uśmiechem. Podobał mi się. Oszacowałem go na sześć stóp z calami w mokasynach bez obcasów, wiek mniej więcej mój...

Nigdy w takich wypadkach nie odzywam się pierwszy i czekam od czego się taka alkoholowa znajomość zaczyna. Wszystko zależy od tonu. Jeżeli dosłucham się choćby cienia syropu, czegoś lepkiego, kończę sprawę po pierwszej kolejce. ,,Pan nie jest Amerykaninem — prawda?'' — ,,Nie''. — ,,Czy Rosjaninem?'' Wściekłem się. ,,Wprost przeciwnie — Polakiem!'' — Spojrzał na mnie, pochylił się w moją stronę i prawie mnie objął: ,,To pan jest rodakiem Conrada'' — powiedział z zachwytem. Sięgnąłem do kieszeni żeby jak najprędzej zapłacić i wyjść, pocieszając się w duchu z goryczą, że przynajmniej na mężczyznach robię jeszcze wrażenie i podobam się. ,,Jakaś wywłoka intelektualna w poszukiwaniu towarzysza do łóżka'' — pomyślałem sobie. ,,Tak, tak'' — mówiłem kiwając na barmana. ,,A jaki jest pański zawód?'' — zapytał wpatrując się we mnie z uporem. ,,Mechanik'' — odpowiedziałem pokazując mu palce z czarnymi żyłkami wrosłego smaru. *Gee* — trochę jak Marlowe z ,,Jądra ciemności''. Pamięta go pan przy naprawie rzecznego statku? — ,,Nie pamiętam, ale ja nie od statków. Od motorów spalinowych'' — burknąłem płacąc i wstając.

On także zsunął się z taburetu. Nie chciałem pozbyć się go w sposób opryskliwy, bo zawsze odczuwałem wobec tych okazów dziwną nieśmiałość i skrępowanie, jak wobec kalek. *See you later* — bąknąłem i posunąłem się ku wyjściu. Chwycił mnie mocno za łokieć. W normalnych warunkach, bez żadnych podejrzeń, byłbym takiego osobnika palnął w nos, tym bardziej że pomimo morza whisky w brzuchu, miałem ciągle w oczach gazetę i dziewczęta na statku z granicą wieku w spojrzeniach. Czułem, że jednym uderzeniem pozbyłbym się tego ciężaru. Ale tu jakoś mi nie wychodziło. ,,Kwadrans rozmowy tam, przy stoliku. To jest nieprawdopodobne'' — mówił ciągnąc mnie w ciemniejszy kąt ciasnej salki. Usiedliśmy i już po kilku zda-

niach zorientowałem się, że jestem złym psychologiem. Nie będę ci streszczał dokładnie całej rozmowy, zapewniam cię jednak iż miałem uczucie snu. Mój znajomy był do pewnego stopnia — ofiarą telewizji.

W czasie wojny siedział w jakimś porcie w Anglii jako pilot i latał cały czas w eskadrze wodnopłatowców, wielkich PBY zwanych „Catalinami". W czasie choroby, bodaj że żółtaczki, zaczął czytać w szpitalu Conrada, który od razu podziałał na niego, porwał go i w końcu, powoli, stał się jego specjalnością, wypełniał mu cały wolny czas. Zjawisko typowo anglosaskie, a *hobby* na pewno lepsze od wielu innych. Czy był inteligentny, kulturalny w naszym sensie? W naszym na pewno nie, w każdym innym tak. Przyznał mi się z całą amerykańską szczerością, że poza Conradem nie wiele czytał, ale że jeśli chodzi o jego dzieła, biografie, studia i szkice rozrzucone po czasopismach, to tu nie było dla niego tajemnic. Był specem. Na kilka miesięcy przed naszym spotkaniem miał szczęście dostać się do telewizji jako bohater „64.000 Question" w swojej specjalności. Przebrnął zwycięsko przez wszystkie początkowe próby, przeszedł przez 16.000, potem odpowiedział bezbłędnie na drugie pytanie, wygrał 32.000, po czym — stchórzył. Wycofał się w połowie drogi choć był pewny że z łatwością mógł dojść do końca. Nie wytrzymał nerwowo. „Załamałem się, opuściłem moją „Patnę" pod wpływem najzwyklejszego strachu i rozwinął się we mnie kompleks Lorda Jima" — opowiadał mi z całą powagą, z jaką Amerykanie zwykle mówią o tych rzeczach. Zacząłem się tak śmiać, że aż dziewczę na estradzie utknęło na chwilę jedną nogą w zdejmowanej spódniczce przerywając swój *jelly roll*, a kilkanaście par oczu, otępiałych pod wpływem mentalnego aktu płciowego, spojrzało na mnie z oburzeniem.

Pod działaniem narastającego kompleksu mój Burt nie tknął ani jednego dolara z otrzymanych pieniędzy, złożył w banku około 20.000 — to znaczy wszystko co mu zostało po potrąceniu podatków, i postanowił szukać okazji, możliwie najryzykowniejszego *business*'u, w którym udałoby mu się potroić tę sumę, dociągnąć w przybliżeniu do wysokości 64.000 i odzyskawszy dzięki temu szacunek do siebie samego, okupić tchórzostwo i uwolnić się od „kompleksu". — „Nie próbował pan grać?" — zapytałem. Skrzywił się z pogardą. To nie byłoby szlachetne, on chciał zmierzyć się z czymś w stylu Conrada, uczciwie, i naprawdę czegoś dokonać, przebić się przez jakiś tajfun. Jeszcze dziś, gdy ci o tym opowiadam, muszę powstrzymywać się od śmiechu. A jednak było w tym także coś imponującego, coś co doskonale rozumiałem pomimo absurdalnych pozorów. Z tej spokojnej twarzy przeglądał młodzieńczy zryw i kładł się na niej refleks jasności z jaką poruszał się w swoim wnętrzu na pewno nieskomplikowanym, ale urzekającym właśnie swoją prostotą i zdrowiem. To nie był prymityw choć według naszych uczonych szablonów był tylko pierwotniakiem z epoki lodówkowej.

Ale to jeszcze nic. Okazało się, że on taki *business* znalazł. Na kilka tygodni przed naszym spotkaniem dowiedział się od kogoś czy też przeczytał w jakimś starym piśmie ilustrowanym, że lecąca niemal przed rokiem ,,Catalina'', zakupiona w Stanach przez rząd Chile do patrolowania wód terytorialnych przed pirackimi połowami ryb, wodowała przymusowo na jakiejś lagunie w Guatemali, niedaleko granicy meksykańskiej. Głowica jednego z cylindrów w prawym silniku wywaliła, poszła po skrzydle, silnik zapalił się, ale go ugasili. W każdym razie po szczęśliwym wodowaniu załoga opuściła maszynę. Wypadek został uznany za beznadziejny, bo rzeczoznawcy towarzystwa ubezpieczeń orzekli, iż nie było tam dosyć miejsca do startu nawet gdyby wrak udało się naprawić. Grat został na lagunie. To było coś dla mojego Burta. W miarę jego opowiadania przypomniałem sobie o całym zdarzeniu, które u nas minęło wtedy bez echo. Byliśmy bodajże w czasie jednej z dorocznych rewolucyj.

Burt wziął urlop w fabryce, w której pracował jako kreślarz, poleciał do Guatemali, tam wynajął awionetkę i doleciał do miejsca wypadku lądując obok na plaży Pacyfiku. Przedarł się przez pół milowy pas zarośnięty dżunglą moczarów nad lagunę, zbadał wszystko dokładnie, porobił mnóstwo zdjęć fotograficznych i doszedł do wniosku, że to jest interes jakiego szukał. Wbrew opiniom rzeczoznawców on był pewny, że uda mu się wystartować. Wrócił do Stanów, wystąpił z fabryki, kupił *salvage rights* — sprzedano mu je z ochotą — kupił silnik w dobrym stanie aby zastąpić nim spalony i nie będąc mechanikiem, szukał wspólnika — o ile możności także z jakimś kapitałem, bo po większych zakupach brakowało mu już pieniędzy na drobne wydatki. Dał ogłoszenia do gazet, byli amatorzy, ale po oglądnięciu fotografij rezygnowali z ponętnej oferty. Nie byłem tym zdziwiony, bo gdy wyłożył na stoliku zdjęcia, zapytałem po chwili: ,,Czy to jest ,,Catalina'', czy ,,Nautilius''? ,,Maszyna przebyła na lagunie całą porę deszczową, woda wypełniła kadłub i grat poszedł na dno, na szczęście w płytkim miejscu. W każdym razie na zdjęciach tylko skrzydła i stateczniki wystawały spod wody. Milczałem. On też nic nie mówił. Był w jego milczeniu urzekający mnie takt, jakby zrozumienie że w tego rodzaju decyzjach słowa są bezużyteczne i chodzi tu o coś, czego nie można nimi wyrazić.

Nie wiem. Prawdopodobnie ,,kompleks'' trafił na ,,kompleks'', nastąpiło tajemnicze przyciąganie. Gdyby nie gazeta i potem młode dziewczęta na statku, pewnie nigdy nie zdecydowałbym się na to szaleństwo... To ciekawe, jak mało myśli się w takich wypadkach. Ja zwykle łapię się za nos i przestaję na chwilę oddychać. ,,Jak wyobraża pan sobie podniesienie tego z dna?'' — zapytałem. ,,Teraz, pod koniec pory suchej, poziom wody w lagunie opada tak nisko że jakaś część kadłuba na pewno wystaje ponad powierzchnię. Wypompujemy. Ona poszła na dno jak puszka z sardynek wypełniona deszczówką'' — mówił

cicho. Bałem się, ale może ja też potrzebowałem jakiegoś muru aby przebić się przez niego głową. ,,O.K. — od jutra zaczynamy'' — odpowiedziałem.

Ogarnęło mnie podniecenie. Mimowoli naprężałem mięśnie w łydkach i wypinałem pierś upozowując się do jednego z tych pomników, których tyle stawia się samemu sobie we własnym wnętrzu. A cóż dopiero w takim wypadku. Ilość placów i skwerów jest w nas wówczas nieograniczona... Ale pomimo wszystko miałem stracha. Owoc długoletniej pracy i związane z tym marzenia zostały rzucone na stolik. Może jednak cały wyższy ton, szybsze obroty, na których wtedy pracujesz są właśnie wynikiem mieszaniny strachu i odwagi, zmagania się dwóch uczuć i ciągłym przemaganiem obaw? I może dlatego jest to tak wspaniałe, bo pozwala zachłysnąć się życiem aż do utraty tchu.

Przesiedzieliśmy do czwartej nad ranem omawiając szczegóły. Burt miał już wszystko opracowane. Nie zawieraliśmy żadnej pisemnej umowy, bo gdy wybór ogranicza się tylko do dwóch możliwości — wszystko albo nic — wystarcza uścisk ręki. W jego dłoni czułem od początku przyjaciela. Mógłbym ci godzinami opowiadać o wzruszeniach przeżywanych wtedy. Przygoda w każdym oddechu, w każdym ruchu, jakiś wicher szeroki i świeży ogarniający nagle wszystko, strugi kolorów cieknących i zalewających najgłupsze czynności barwami niespodziewanymi i oślepiającymi. Burt był spokojny i koncentrował się na każdym szczególe tak jakby od gatunku sznurka w hamaku lub systemu nożyka do otwierania konserw zależało powodzenie całego przedsięwzięcia. Mnie roznosiło.



Wyprawa nie była łatwa. Cały materiał przewieźliśmy samolotem do Guatemali i tu wynajęliśmy dwumotorowego Douglas'a aby przerzucić to nad lagunę. Zapewniam cię, że gdy obciążona maszyna siadała na wąskim pasku plaży, czułem serce w przełyku i motylki w żołądku. Wieźliśmy ze sobą wszystko z naftową lodówką włącznie. Krzywiłem się trochę na ten wydatek, ale Burt oświadczył mi z wrodzonym spokojem, że nie jest fakirem i zbytecznego umartwiania się nie uznaje za oznakę wyższości kulturalnej. Był to lekki przytyk do moich częstych uwag na pokrewne tematy. Nie wiem dlaczego, ale wobec nich staramy się często uchodzić za kulturalnych Spartan. — ,,Przypominasz mi dziewczyny angielskie w czasie wojny. Gdy dawałem którejś parę nylonów lub kawałek jedwabiu na kombinację, mówiły mi rozbierając się: wy wygrywacie tylko materiałem. Czy i ty sądzisz, że odpowiedni ekwipunek odbiera zasługę wyczynowi?'' — pytał, gdy trochę złośliwie wydziwiałem nad jego wahaniami przy kupowaniu byle czego. Bo oczywiście w pierwszej chwili wydawało mi się, że dla niego lodówka lub puszka płynu przeciwko komarom jest wszystkim. Nasza psychologiczna wnik-

liwość w stosunku do nich przypomina mi bardzo często inteligencję kota skradającego się do ptaszków ćwierkających w głośniku radiowym.

Nie lądowaliśmy w pustkowiu. Wieść biegnie najszybciej na bezludziu i gdy tylko nasz Douglas zatrzymał się, obskoczyło nas kilkunastu Indian, którzy już wiedzieli, że *Gringos* mają zamiar naprawiać *el avión*. Przyszli tu przyciągani dolarem, tylko im wiadomymi ścieżkami, i ofiarowali nam swą pomoc. Była naprawdę potrzebna. Musieliśmy przerąbywać się przez pół milowy pas moczarów i przeciągać nasze bagaże i zapasy na czymś pośrednim między saniami i tratwą. Nie wiem, kto wymyślił poezję tropiku. Może z daleka jest on poetyczny. Gdy jednak trzeba pocić się w tym kołtunie roślinnym, w którym nie ma chyba ani jednej nie kłującej gałązki, ani jednej oswojonej trawki i gdzie wszystko jest wrogiem, wówczas staje się on mniej poetyczny. Tropik jest przede wszystkim brudny i zawsze spocony, obojętny i przesycony melancholią, zimnokrwisty. Nie pamiętam już kto nazwał to ,,kontynentami trzeciego dnia stworzenia'' i chyba trudno o lepszą nazwę. Ileż razy myślałem tam o naszej umiarkowanej przyrodzie, czystej, pełnej przyjaźni i dyskrecji... Myślałem, ale nie jestem pewny czy tęskniłem. Bo tu pozostaje w krwi jakiś jad. I może właśnie ten jad jest poezją tropiku? Można się do tego przywiązać jak do trującego narkotyku — na całe życie.

Tymczasem kląłem na komary i mrówki, kleszcze i muszki i myślałem o ,,Catalinie''. Widok był rozpaczliwy. Nie ma nic bardziej martwego od uszkodzonej, niezdatnej do użytku maszyny. A trzeba ci było widzieć TE zwłoki. Oglądałem w życiu dużo szmelcu, ale nigdy dotąd nie miałem uczucia tak absolutnej śmierci, tak zupełnej martwoty. I to trzeba było ożywić, rzucić z powrotem w powietrze tysiące funtów metalowej padliny. Ogarnął mnie ogień, poezja cudu i zmartwychwstania. Cudotwórcą miałem być ja, tylko ja, miałem wskrzeszać własnymi rękami.

Ustawiliśmy namiot, rozłożyliśmy obóz. Z przerażeniem spoglądałem na ciemne łaty wśród wodnych traw porastających brzegi bajora. Gęsta zupa larw i poczwarek komarów. Łuski z już wypoczwarczonych pokrywały wodę zbitym kożuchem jakby przy brzegu wysypano tysiące ton sieczki i na wszystkich roślinach w pobliżu dojrzewały uskrzydlone, ale jeszcze słabe potwory. Na zahartowanie wystarcza im jeden — dwa dni. Dorosłe poczuliśmy od razu. Wymachując rękami i podskakując pokazałem te całą wylęgarnie Burtowi. ,,Tak — ale na szczęście gryzą *tylko* samice'' — powiedział z anielskim spokojem ściągając gumą nogawki w kostce, rozluźniając pasek i rozpylając ,,Shelltox'' w spodniach.

Zabraliśmy się do pracy. Pompowaliśmy przez tydzień, bez wytchnienia, dzień i noc. Nie mogliśmy kupić mocnej pompy i nasza mała, ze słabym silniczkiem, męczyła się jak dziecko.

Podtrzymywałem ją, pieściłem, niemal z nią rozmawiałem. Nie pozwoliłem nikomu jej dotknąć. Rasę poznaje się przede wszystkim po jej stosunku do maszyny i dopiero wtedy widzisz do jakiego stopnia wszelki produkt techniki jest naszym wytworem. Tylko my potrafimy traktować maszynę po ludzku. Oni niszczą w ciągu dwudziestu czterech godzin, po czym naprawiają przez dwadzieścia lat — jak to gdzieś świetnie zauważył Siegfried. W naprawkach ich pomysłowość przekracza naszą. Wolałem jednak nie dawać im pola do popisu.

Po tygodniu nasza ,,Catalina'' wynurzyła się z brunatnej wody tkwiąc w niej tylko kawałkiem potężnego brzucha, jak potrzeba. Była piękna. Przysunęliśmy ją do brzegu i zakotwiczyli, wpierając lewe skrzydło w zarośla. ,,To dopiero początek początku'' — powiedział wieczorem Burt podając mi stos diagramów połączeń elektrycznych i podręczników do obsługi. I zaraz potem, nalewając rum, zaczynał ze mną wywiad na temat organicznej antyrosyjskości Conrada, jego młodości i całego mnóstwa innych interesujących zagadnień. Wyobrażał sobie, że jako Polak muszę wiedzieć więcej od niego na niektóre tematy. A ja nie wiele wiedziałem. Dopiero teraz, pod wpływem Burta, zabrałem się do uczciwej lektury. ,,On ze mnie zrobił człowieka'' — kończył zwykle opowiadając mi treść jakiejś noweli lub powieści, przytaczając opinie krytyków, sypiąc datami i szczegółami. Słuchałem tego podziwiając nie tyle jego znajomość przedmiotu — zresztą wcale nie mechaniczną — ile zdolność przestawiania się. On potrafił nie myśleć ciągle o ,,Catalinie'', ja nie byłem do tego zdolny. Obawiam się, że w tym wszystkim on wykazywał więcej kultury. Po szczęśliwym starcie i sprzedaży odpowiednio wypacykowanej maszyny, planował kupno domku z ogrodem na Key West, motorówki i utrzymywania się z lekcyj rybołóstwa wśród wakacyjnych turystów. Zazdrościłem mu tego wewnętrznego uporządkowania.

Najpierw czyściliśmy. W kabinach nagromadził się już muł, pijawki, zdechłe ryby — całe akwarium z małym aligatorkiem włącznie. To wtedy, na pierwszym kawałku oczyszczonej ściany, Burt zawiesił ten cytat o pracy z ,,Jądra ciemności''. W ciągu dnia prawie nie rozmawialiśmy. W zupełnym milczeniu, z zaciętymi ustami posuwaliśmy się do celu. Nieraz patrząc na nas widziałem jakby dwa imadła zaciskające się powoli, coraz silniej. Byliśmy już sami, bo Indianie znikli po kilku dniach, doszedłszy prawdopodobnie do wniosku iż zarobili dosyć. Czekałem na ich powrót po przepiciu zarobku, ale jakoś nie wrócili. Grzebaliśmy się tylko we dwóch.

Praca. Zawsze zastanawiałem się, co można by powiedzieć o niej, jakie przeżycia łączą się z nią. Wydaje mi się, że żadne. Jeżeli nie identyfikujesz się z tym co robisz, to jest to zwyczajną nudą, zabijaniem czasu z ciągłym spoglądaniem na zegarek. Bezustanna męczarnia, w której wykorzystujesz każdą sposobność aby coś urwać z dniówki. Pracowałem w hutach, fabrykach

i warsztatach jako robotnik, pracowałem w biurach jako urzędnik i mogę cię tylko zapewnić, że moją jedyną filozofią w czasie godzin pracy było jak najdokładniejsze i najdłuższe załatwianie potrzeb naturalnych. Praca jest wtedy wrogiem, którego starasz się pokonać wszystkimi możliwymi podstępami. Stąd premie, stachanowizm, mitologia pracy. Zawsze przypominałem sobie wtedy biblię, według której wszelka praca jest karą i doskonałą *boutade* Wilde'a, że praca jest jedyną ucieczką ludzi nie mających nic do roboty. Tu była praca, która mnie pochłaniała, z którą identyfikowałem się zupełnie. Rozkosz, odnajdywanie siebie i własnej rzeczywistości? Nie wiem. Może raczej coś w rodzaju nirwany, nic, zupełne zamroczenie, sen, z którego budziłem się wieczorem na dźwięk lodu w szklance rumu. Zacznij robić coś skomplikowanego i natychmiast stajesz się w tym tylko czynnością, nie potrafisz myśleć ,,obok''. Próbowałem ale od razu popełnia się jakiś błąd. Musisz być tym, co w danej chwili robisz — i chyba zawsze, choćby częściowo, tracić siebie. Nie odnajdować się. Nie ma w tym właściwie nic, co można by ująć słowami, jest coś niesłychanie prostego jak skupienie promieni słonecznych pod soczewką. Absolutna koncentracja jest niewyrażalna i na dalszą metę pożerająca. Jedynie wynik nadaje się do opisu i dopiero w wyniku odzyskujesz siebie, dopiero on może wzbogacić naprawdę. Mówić o samej pracy to tak, jak mówić o cegłach w katedrze. Co można powiedzieć o cegłach?

Naprawiałem lewy silnik, wmontowywałem prawy, potem plątałem się w labiryncie elektrycznych połączeń, które trzeba było instalować na nowo. Przestawałem istnieć za dnia, budziłem się do życia wieczorem w hamaku otępiały i ślepy. Czułem, że spalam się i że spalam się za szybko. To były pierwsze objawy. Siadałem w hamaku, zwieszałem nogi i wpatrywałem się w krople potu toczące się między owłosieniem i spadające na podłogę. Burt kręcił przy radiu i szukał, jak co wieczór, Earth'y Kitt. Nieraz szukał jej przez godzinę wędrując po całych Stanach Zjednoczonych, od stacji do stacji, i dopóki nie złapał choć jednej piosenki śpiewanej przez nią, nie mógł słuchać niczego innego. Ten codzienny rytuał doprowadzał mnie do podziemnej irytacji. Przypuszczam, że po prostu mu zazdrościłem. On coś miał, mógł się uczepić choćby Earth'y Kitt lub Conrada, we mnie była pustka, zupełne oczadzenie pracą. Sięgałem wtedy do walizeczki i zaczynałem przeglądać moje archiwum. Co wieczór odbywałem długi niepotrzebny marsz wstecz by powracać z tych wypraw ze smakiem popiołu w ustach. Z przerażeniem na widok głupoty własnej, innych, całej epoki. Nie potrafiłem wspominać, nie potrafiłem tęsknić, rekonstruować ruin i rozczulać się na widok starych papierów i fotografij. Czułem nawet z tego powodu wyrzuty sumienia, bo chyba w żadnym innym narodzie nie mierzy się patriotyzmu i przywiązania do ojczyzny taką ilością głupstw i kieszonkowych świętości. Wydawało mi się, że coraz bardziej zatracam sens życia, że obojętność na widok tych sta-

rych dokumentów pozbawia wszystko śladów celowości. Nigdy dotąd nie zastanawiałem się nad sensem życia, bo po prostu żyłem i sama funkcja życia i walki o nie pochłaniała mnie zupełnie. Nie myślałem nigdy o śmierci pomimo że kilka razy w życiu otarłem się o nią blisko, bo byłem w tym podobny do Wokulskiego, który nie tyle się jej bał, co brzydził. Śmierć, każda, była dla mnie przede wszystkim wstrętna. A tu któregoś wieczoru wydało mi się, że zaczyna podchodzić za blisko.

Coś jakby skradało się i zaciskało wokół piersi. Obcierałem twarz lepką od potu koszulką, zbierałem drżącymi rękami papiery i fotografie i trzymając portfel w prawej ręce, wyciągałem się w hamaku. Wpatrywałem się w lśniący pod światło czubek lewej sutki jakby była peryskopem serca i mogła mi coś powiedzieć o ruchach w głębi. Odkładałem portfel, łapałem się za puls i czułem, że był nikły choć równy. Zaczęło się od tego. Z początku trwało krótko i udawało mi się to zagadać. Wstawałem, nalewałem sobie szklankę rumu, prosiłem Burta aby puszczał radio jak najgłośniej. Ale pozostawało wspomnienie. Trudno to określić. Było to jakby otarciem się o pustkę, o przerażające nic. Wyobrazić sobie zupełne nic jest tak samo trudno jak wyobrazić sobie wieczność, coś, co nie tylko nie ma końca ale i początku... Na pewno nie umiałem sobie tego wyobrazić, lecz zdawało mi się, że to nic wyczuwam. I to było najgorsze.

Po miesiącu oszalałej pracy wszystko było z grubsza gotowe i wykańczaliśmy szczegóły. Nie mogłem porządnie wypróbować silników, bo wówczas przywieziona benzyna nie wystarczyłaby nam na półgodzinny lot do najbliższego portu. Gnębiło mnie to i czym bardziej zbliżał się decydujący dzień, tym więcej zaczynałem się — bać. Czułem, jak z każdym dniem coś się we mnie łamie, jak puszczają jakieś nity i wdziera się strach. Wieczory były najgorsze. Chodziłem z kąta w kąt, wycierałem spocone ręce o sznurki hamaka i nagle przychodziło mi na myśl, że już od kilku dni przeglądam moje papiery tak, jakbym zamierzał zrobić testament, jakbym już niedługo miał umrzeć. Czułem wzbierający niepokój, narastający gdzieś w głębi coraz wyżej i rozsadzający piersi przerażeniem nie do opanowania.

Pojawiły się już wtedy świetliki zapowiadające bliskie nadejście deszczów i wpadały o zmroku do otwartej kabiny. W nocy, po zgaszeniu światła, patrzyłem jak konały wolno na podłodze, porażone przeciwkomarowym „Shelltoxem". Już nieruchome, rzucały tylko od czasu do czasu rozpaczliwe wołania rozżarzając podbrzusza ostrym, zielonkawym światłem, męcząc się i czkając coraz to słabszymi i rzadszymi błyskami. Zamykałem oczy, nie chciałem na to patrzeć, ale i tak pod spuszczonymi powiekami widziałem dalej te światełka, wpatrywałem się w nie wplatając palce w sznurki hamaka i szarpiąc węzełki w przypływie histerycznego żalu i litości nad tymi owadami. Byłem pewny, że któregoś wieczoru stanie się ze mną to samo co z nimi. Bez światła...

Od samego rana ogarniał mnie strach na myśl o nocy, o chwili usypiania.

Po zamknięciu drzwi do kabiny i zaświeceniu lampy przeszukiwałem podłogę zbierając umierające owady do pudełka, w którym rzucały zielonkawe ognie jak garstka ożywionych szmaragdów. Nigdy nie udało mi się wyzbierać wszystkich i gdy rozglądałem się w ciemnościach, gdy już byłem pewny, że tej nocy usnę spokojnie, nagle z jakiegoś kąta dobiegało fosforyzujące S.O.S. Było ze mną coraz gorzej. Wstydziłem się powiedzieć o tym Burtowi, bo spoglądając na niego byłem pewny, że mnie nie zrozumie. On był spokojny, dzień po dniu wyzwalał się od swojego ,,kompleksu'', szedł ku wygranej coraz pewniej. Jego punkt równowagi nie uległ żadnemu przesunięciu. Toteż musiało wpływać na mój stan. Gdy raz napomknąłem mu, że przy starcie możemy się bardzo łatwo zabić, uśmiechnął się i powiedział: ,,To się nie liczy. Dla mnie najważniejsze będzie to, że dokonaliśmy dzieła — *that we have done it*'' — jak oni mówią. A zresztą cóż mógł on zrozumieć skoro ja sam nie wiele z tego rozumiałem? Mówi się nieraz iż ktoś umarł nie tracąc przytomności. Mnie wydawało się, że nie tylko umrę, ale że dostanę pomieszania zmysłów nie tracąc przytomności.

Pracowaliśmy nie tak gorączkowo jak przedtem, ale wśród ciągle wzrastającego napięcia. Deszcze spóźniały się. Od rana do zmroku, wśród zagęszczającej się ciszy — tuż przed nadejściem deszczów dżungla cichnie z dnia na dzień — słychać było tylko krzyki *gruyas* — monotonne, płaczliwe, irytujące jak łzy głupiej kobiety. Czasem zdławiony ciszą, tępy plusk pelikana spadającego do wody w pogoni za rybą lub szelest skrzydeł jakichś ptaków, nerwowe loty papug nagle dobrze wychowanych i nie kłócących się bezustannie. Starałem się nie myśleć i być tylko rękami, wchodzić cały w końce palców. W dzień trzymałem się, ale gdy tylko słońce traciło blask i stawało się pomarańczowe, potem miedziane i wpadało szybko poza czubki drzew, gdy w krótkim półmroku zaczynały migać w locie świetliki podobne do *tracer*'ów wystrzeliwanych z gąszczu nadbrzeżnego, traciłem rozpęd, kuliłem się ze strachu bity po głowie pytaniami, które po raz pierwszy przybierały we mnie postać określonych, wyraźnych zdań.

Po co to wszystko? Kim jestem? Jaki jest sens życia? Najbardziej banalne pytania, od których zaczyna się mając szesnaście lat i na które wówczas nie szuka się odpowiedzi, bo wiadomo że nic tak nie wydorośla jak mnóstwo podobnych pytań skierowanych w próżnię. Potem przychodzi młodość, życie, mocowanie się z losem. Ja nie myślałem w tym okresie o celu życia, bo samo życie było dla mnie celem. I dalej nim jest. Ale... Właśnie do tego ,,ale'' dochodziłem tam, tylko że w dosyć dziwny sposób.

Któregoś wieczoru przyszło znowu to coś, zmroziło stopy i palce u rąk zamieniło w sople lodu. Leżałem nieruchomy i ba-

łem się poruszyć, bo zdawało mi się że najlżejszy ruch mógłby mnie dobić. Czułem się bezbronny. Nieokreślony żal i rozkołysany ponad tym strach, wznoszący się coraz wyżej i łamiący się na szczycie, zsuwający w dół i potem znowu sunący w górę — zapierał mi oddech. Chciałem o tym nie myśleć i wtedy uciekałem w automatyczne ,,Ojcze nasz'', odmawiane jedno za drugim, pośpieszne, ścigające się z tym czymś, co nadchodziło. Śmierć — do tego z przedmową. Bałem się o niej pomyśleć wyraźnie, gdzieś w tyle czaszki rysowała mi się mgliście jakby pisana mgłą na niebie. Równocześnie wstyd, podwójny : raz, że nie potrafiłem się nie modlić i dwa, że dopiero w takiej chwili przypomniałem sobie o pacierzu i szukałem w nim ratunku. A zatem usprawiedliwianie się, niemal dyskusja z Bogiem, o którym — nagle byłem o tym przekonany — nigdy nie zapomniałem naprawdę, w którego zawsze wierzyłem, któremu poświęcałem przecież całą moją pracę, i wysiłki, i trud, i nędzę bytu. Czułem jak brnę w retorykę i — brnąłem w nią. ,,Czy miałoby to wszystko jakiś sens gdyby nie On?'' — pytałem niby sam siebie, ale tak aby On to usłyszał. Pozbywałem się całej dumy i jak płaczące dziecko do matki, tak ja szukałem teraz u Boga pociechy — łypiąc okiem z kokieterią dziecka.

Opowiadam ci o tym z całą swobodą, bo jeszcze ciągle spoglądam na siebie z tego okresu jak na kogoś innego, mam przed sobą kawałek, który nie przyrósł. Jesteśmy dziwnym pokoleniem. Jako młodzi trochę wierzyliśmy i trochę nie wierzyliśmy, byliśmy trochę cyniczni i trochę patetyczni, myślowo jałowi. Jedyną naszą myślą była i jest Polska — niestety. Po czym umieraliśmy na wyścigi czy trzeba, czy nie, bez sprzeciwu, piękni i inteligentni jak ćmy lecące w płomień. Pewnie dlatego, po tym wszystkim, część z nas przyjęła z taką łatwością bzdury ,,nowej wiary'', a część przysiadła się do ,,starej wiary'', wybierając w niej najmniej krępujące miejsca. Staliśmy się chrześcijanami, nawet katolikami. Ale jakimi? Chyba przede wszystkim politycznymi, do radia. Na jakich podstawach opieramy naszą etykę lub niemoralność nie będąc właściwie niczym? Przyparty wtedy do muru, klepiąc nagle pacierze z wprawą tercjarki, zadawałem sobie to pytanie bezustannie, czując że podszywam się bezprawnie i szukając choćby w nim samym jakiegoś usprawiedliwienia. Przyznam ci się, że nawet antypatyczny mi Léon Bloy, który potrafił zdobyć się na taką akrobację jak wysypianie się z prostytutką, po czym — nawrócenie jej — wydawał mi się wtedy prawie świętym. I mędrcem. Bo ja potrafiłbym tylko zdobyć się na pierwsze nie próbując nawet drugiego. Uciekałem, mechaniczną modlitwą odcinałem się i tamowałem drogę strumieniowi myśli, broniłem się przed wskoczeniem weń po szyję wmawiając sobie, że to nie on lecz właśnie tama jest ważna i liczy się naprawdę. Targowałem się, nie chcąc w gruncie rzeczy nic zapłacić. Tego rodzaju targi, na serio, są możliwe chyba tylko z — Bogiem. ,,Przebaczy, przebaczy — to Jego fach'' miał

powiedzieć umierający Heine. Nie mówiłem tego wprost, ale...
Gdy osłabienie przechodziło, myślałem o tym na zimno. Konsekwencją upału, zaduchu w zamkniętej kabinie, miesiąca gorączkowej pracy w tym klimacie, napięcia nerwowego rosnącego teraz z każdym dniem i skupiającego się na jednym pytaniu: ,,Czy to się uda?'' Starałem się jak najprędzej zapomnieć i myślałem, że od razu po starcie, gdy wydobędziemy grata z laguny, pójdę do kliniki na szczegółowe badanie. Widziałem już niemal pasek kardiogramu z regularnym zygzakiem i uspokajałem się. Nerwy albo pasożyty. Lekarz poradzi abym przestał palić i pić i grał w golfa. Tropikalna recepta. I tak miotałem się aż do następnego wieczoru. Nie skończyło się jednak na klepaniu pacierzy. Poszedłem jeszcze dalej.

W kilka dni później upał od wczesnego rana był nie do zniesienia i wokoło panowała pochmurna cisza. Słońce znikło w mgle opadającej coraz to niżej i gorącej jak para buchająca z imbryka. Piliśmy kawę nic nie jedząc i czasem spoglądaliśmy na siebie w milczeniu. Obydwaj mieliśmy w głowie tylko jeden wyraz: deszcz. W pewnej chwili usłyszeliśmy ciche podzwanianie na skrzydłach. Wybiegliśmy z kabiny. Na górze była dalej cisza i upał, z nieba nie spadła ani jedna kropla i tylko prawy płat obsiadła chmura muszek, wśród których uwijały się roje małych ptaków stukając w dural dzióbkami. Mgła opadała powoli, słońce rozpalało się coraz mocniej i znowu zaczął przeświecać beznadziejny błękit czystego nieba. Klęliśmy szeptem dostrajając się do otoczenia. To mnie wykończyło — czułem najwyraźniej. Gdyby spadło wtedy choć kilka kropel deszczu naprawdę, byłbym ocalony. Właśnie takie głupstwo, zawód...

Lewy, stary silnik, nie dawał mi spokoju. Co rano właziłem na skrzydło i nieraz przez godzinę leżałem wpatrując się w niego i sprawdzając w myśli punkt po punkcie czy o czymś nie zapomniałem. Marzyłem o kilkudziesięciu galonach benzyny na dokładniejsze wypróbowanie, ale nie było ich skąd wziąć. Czułem się naprawdę omotany, bezsilny; patrzyłem już teraz spokojnie jak szwy we mnie puszczają i rozłażą się.

W ten dzień też wylazłem na górę i podłożywszy *petate* żeby nie usmażyć się żywcem, leżałem na skrzydle. Nagle usłyszeliśmy warkot silnika, nikły i zbliżający się wolno w naszą stronę. Po chwili zaczął krążyć nad nami żółty ,,Piper'' z pływakami. Widać było że szuka wejścia na lagunę. Zsunąłem się na dół i staliśmy z Burtem na pokładzie podnieceni odwiedzinami i perspektywą zobaczenia ludzkiej twarzy po miesiącu samotności. ,,Piper'' zatoczył koło i schodził wolno do wodowania. Burt obserwował z uwagą i gdy pływaki dotknęły lekko powierzchni wody najpierw tyłem, piętami, zanurzając się stopniowo, cmoknął z uznaniem. Tymczasem awionetka zawróciła i na wolnych obrotach dosuwała się do brzegu obok nas. Potem zgasiła silnik i z kabiny zeskoczył na pływak jakim młody, wysoki brunet w kwiecistej koszuli, w roboczych ,,blue jeans''

i boso. Wyciągnął krótkie wiosło i jak gondolier manewrował z wprawą pękatym ,,Piperem'' zakotwiczając go przy brzegu. Już z dołu krzyknął wesoło: *Hi boys — how are you doing* i wdrapał się na nasz pokład. Obydwaj spoglądaliśmy na niego trochę zdziwieni. Widocznie zauważył to, bo zaśmiał się i powiedział: ,,Oh yes — ja zawsze latam boso, bo mam lepsze czucie w pedałach''. Zaczęliśmy się wszyscy śmiać i przedstawialiśmy się sobie rozbawieni. ,,Ojciec Andrew Ranalli, misjonarz franciszkanin, o pół godziny lotu stąd nad jeziorem Quixtàn. Nie ma na mapie. Ale będzie...'' — powiedział śmiejąc się i ściskając nasze ręce. Trochę zgłupiałem na widok franciszkanina latającego w awionetce, w koszuli ,,hula, hula'' i boso dla lepszego czucia w pedałach. A jednocześnie coś jakby pchnęło mnie od razu ku niemu. ,,Benzyna'' — pomyślałem. ,,Poproszę go o pół beczki benzyny, może nam ją dowieźć''. Opowiadał, że będąc ostatnio w mieście słyszał o nas i postanowił odwiedzić sąsiadów.

Z myślą o mojej benzynie wyciągałem go na rozmowę podchodząc powoli do rzeczy, zbliżając się z całą naszą europejsko-latyńską nieszczerością zamiast ruszyć wprost. Opowiadał mi że zna Polaków z czasów niewoli w jakimś ,,Stalagu''. ,,Wy jesteście narodem naprawdę katolickim'' — powiedział. Nie chciałem mu wyjawiać, co ja myślę o naszym przysłowiowym katolicyźmie i zamiast tego wpadłem w normalne banały, które zawsze prawimy sobie i obcym na ten temat. Co gorsze, że sam rozrzewniłem się przy tym, bo nic nas tak nie rozczula jak narodowe celebrowanie o zachodzie, przedmurzu itd. Można tym wszystko zastąpić i nawet sprawiać wrażenie myśliciela. Chodziło mi o benzynę, choć musiał być we mnie podświadomy pęd ku czemu innemu. Wspomniałem mu bowiem że i ja jestem katolikiem, rozklejałem się i wreszcie z całym przejęciem opowiedziałem mu że już od lat, na przykład, nie byłem u spowiedzi, bo przecież to tak trudno spowiadać się w obcym języku, którego nie zna się zbyt dobrze. Poniósł mnie nasz katolicki snobizm, tradycyjny sentyment do słowa ,,ojciec'' nawet w angielskim brzmieniu. Krótko mówiąc zgrywałem się, wciągałem sam siebie w zasadzkę. Bo gdy tylko wspomniałem o tym, wesoły Father Andrew spojrzał na mnie z powagą i z troską w oczach. ,,Wprawdzie wolno nam to stosować tylko w wypadku głuchoniemych, ale jeżeli pan chce, może się pan wyspowiadać pisemnie. Na pewno będzie panu łatwiej'' — powiedział kładąc mi rękę na ramieniu i lekko przyciągając ku sobie jakby chciał zachęcić mnie i dodać otuchy. Bąknąłem coś niewyraźnie, jestem pewny, że zaczerwieniłem się po uszy i dopiero teraz zacząłem dukać nieśmiało o benzynie, pokazując na lewy silnik.

Zgodził się natychmiast, sypał znowu żartami, oświadczył że nazajutrz przywiezie nam trzydzieści jeden galonów licząc w to galon białego ,,Baccardi''. Ja nie śmiałem się. Czułem się jak szczur w pułapce; bezradny, zalękniony i głupi. Dałem się

złapać. Oczywiście mogłem puścić to wszystko kantem, zbalansować mniej lub więcej zręcznym zagadaniem siebie samego, tym bardziej że tak zwanych postępowych i oświeconych argumentów nigdy w takich wypadkach nie brak. W tej dziedzinie byle dureń staje się nagle filozofem i wolnomyślicielem. W normalnych okolicznościach poszedłbym prawdopodobnie utartym szlakiem ślizgając się na zawsze szykownym ,,mnie to nie odpowiada'' lub trochę szelmowskim i wygodnym ,,są to rzeczy do których nie wolno się przymuszać'' tak jakby człowiek nie musiał się zawsze przymuszać do powiedzenia o sobie prawdy. Stałem tam, patrzyłem jak Ojczulek startował biorąc kurs na najbliższe jezioro koło stolicy i wtedy dopiero zrozumiałem z kwaskowatym uśmiechem wewnętrznym iż nie mając odwagi nie być katolikami publicznie, często nie mamy odwagi być nimi prywatnie. Nie pomogą tu żadne wykręty. Na końcu rozumowania pozostaje tylko albo — albo, albo jesteś, albo nie jesteś. Reszta to intelektualne bawienie się w chowanego. Nie uśmiechaj się i niech ci się nie wydaje że przesadzam, ale mam wrażenie — nawet w tej chwili — że w dużej skali odbywa się z nami coś podobnego, co ze mną odbywało się na lagunie. Pod naporem ,,nowej wiary'' gramy komedię i kokietujemy podobnie jak ja przyciskany wówczas śmiercią z uwerturą. Z tą różnicą, że wielka śmierć sunąca ku nam nie jest wyimaginowana...

Przez całe popołudnie nie wiedziałem, co o tym myśleć, strąciło mnie to z cokołu. Tłumaczyłem sobie — czego nie wynajduje się w ratownictwie własnej dumy — że ostatecznie benzyna jest warta tego, że zawarliśmy z mnichem coś w rodzaju umowy i niedotrzymanie zobowiązania z mojej strony, czy może raczej nie wzięcie pod uwagę kontrpropozycji, byłoby nielojalnością w stosunku do niego. W każdym razie o zachodzie słońca byłem zdecydowany.

Nie wiem, czy Burt coś słyszał, czy domyślał się, czy też był to zwykły zbieg okoliczności, ale miałem wrażenie że zachowywał się trochę jak ministrant... Nie klął, uśmiechał się do mnie jakby z odcieniem nieśmiałości i gdy wieczorem nalałem sobie szklankę rumu, zapytał nagle: ,,Nie chcesz trochę Coca-Coli?'' Wypiłem mój rum duszkiem, nalałem drugą szklankę i zacząłem grzebać w papierach. On usiadł przy radiu i wyszukał — muzykę organową. Wściekłem się. Spojrzał na mnie i powiedział całkiem serio: ,,Jest tak gorąco, że chciałem się ochłodzić. Organy są dla mnie zawsze jak wentylator''. Zakląłem głośno. Byłem trochę pijany, miałem ochotę płakać, czułem w piersiach skuczącego szczeniaka. Złapałem jakiś klucz francuski leżący pod ręką, cisnąłem nim o podłogę i warknąłem przez zaciśnięte zęby: ,,Znajdź Earth'ę Kitt — Mambo de Paris''. Spojrzał na mnie spod oka. Zacząłem pisać przy dźwiękach czekoladowego jazz'u. Fason, podły w gatunku, ale zapewniam cię że byłem szczery. Czułem, że właśnie takiej muzyki potrzebuję jako korkociągu, że przy niej — przez kontrast — łatwiej

puszczę farbę. Było to podświadome i było poddaniem się z rzuceniem niemal bluźnierstwa, jak oddanie ostatniego strzału.

Pisałem prawie do rana, zapisałem moją niezgrabną angielszczyzną dwadzieścia kartek poniesiony nagle... czy ja wiem? Może bardziej rumem niż chęcią wyśpiewania wszystkiego, choć nie jestem pewny czy już teraz, opowiadając ci o tym, nie staram się jednak ukrywać poza czymś aby nie wydać ci się sentymentalnym barankiem. Pisałem i wydawało mi się że dziś, w tym naszym świecie, może nie tak ważne jest to, co czynimy — nawet tak zwane grzechy uległy standaryzacji — jak to, czego *nie* czynimy. Może raczej z nieczynienia należałoby się spowiadać? Nie pamiętam już, ale bodaj że Bernanos gdzieś to podobnie wyraził. I wtedy zrozumiałem to w pełni. Pisałem patrząc spokojnie na zdychające świetliki. Byłem kimś innym, ale nie byłem sobie obcy.

Nazajutrz spałem dłużej i po przebudzeniu czułem się dosyć dziwnie. Coś się stało i wiedziałem że się nie odstanie. Spoglądałem z boku na walizeczkę, w której zamknąłem zapisane kartki i wydawało mi się, że zamknąłem w niej coś żywego. Nawet odruchowo sprawdziłem czy nic z niej nie uciekło. Nie — nie przeczytałem tego, krępował mnie ten ktoś złożony w pliku dwudziestu arkusików papieru. Niecierpliwiłem się i chciałem mieć to wszystko jak najprędzej poza sobą.

Koło jedenastej Father Andrew osiadł na lagunie i od razu po zejściu na pływak zaczął do nas wywijać oplataną butlą „Baccardi" i krzyczeć, że oprócz tego wyłudził od kogoś skrzyneczkę prawdziwych „Partagasów" hawańskich po dolarze sztuka. Pomagaliśmy mu cumować i wyciągać beczkę z benzyną. Opowiadał nam że na Yukatanie zaczęło już lać regularnie i że pewnie za kilka dni deszcze przyjdą także do nas. Mimowoli traktowałem go teraz z szacunkiem, trochę tak jak traktuje się agentów podróżnych wielkich firm.

Na pokładzie, po chwili rozmowy, wykrztusiłem : *I wanted to have a little chat with you* i wziąwszy go pod rękę, zaprowadziłem do kabiny. Tam on spojrzał na mnie pytająco i gdy kiwnąłem głową, uśmiechnął się i usiadł na jednej ze skrzynek. Wręczyłem mu moje wypracowanie. Była znowu zupełna cisza i tylko przez okienka wpadały monotonne łkania *gruyas*. Wyciągnął z tylnej kieszeni stułę i zarzucił ją sobie na szyję. Wiesz — stuła na tle kwiecistej koszuli z krótkimi rękawami, obcisłe *blue jeans* i bose stopy... Nie znam się na liturgii, ale obawiam się że nie był z nią tak całkiem w porządku. Potem odbyło się wszystko normalnie. On czytał a ja przyglądałem się jego profilowi i myślałem, że w tej koszuli, z atletycznymi barami, podobny był do Wiliama Holdena. Następnie zupełnie mimowoli przypomniałem sobie mój tekst i byłem zaskoczony, bo pamiętałem niemal słowo w słowo.

Trwało to prawie godzinę. Zebrał kartki, podarł je w drobne strzępki i wyrzucił przez okienko na wodę. Ja też wstałem.

Byłem zupełnie rozpruty, chwiejny, z całkowicie przesuniętym punktem równowagi. ,,To dobrze robi — można się przyzwyczaić'' — powiedział. Pokiwałem głową. ,,Wie pan — ciągnął — mój ojciec twierdził, że wszystko jest w znacznej mierze kwestią przyzwyczajenia. Gdy zaraz po wojnie chciałem się żenić, powiedział mi : żeń się — przyzwyczaisz się''. Uśmiechnął się. ,,To co pan powiedział na końcu jest słuszne. Cóż z tego? — pyta pan. Nie wiemy. Są ludzie, którzy próbują przestać palić choć nigdy całkiem nie przestają. Ale chodzi o to, że próbują. Niech pan próbuje. To także się liczy. Wszyscy musimy próbować. Z tych prób wychodzą czasem — święci''. Wróciliśmy na górę.

Po *drinku* na pokładzie odleciał na swoje jezioro życząc nam szczęśliwego startu. No tak — w każdym razie czułem się znacznie lepiej i — starałem się już o tym wydarzeniu nie myśleć. Wypróbowałem silnik, uspokoiłem się, byłem znowu gotowy na wszystko i zaczepny. Tylko na odmianę wewnętrzna pogoda niepokoiła mnie, wstydziłem się jej sam przed sobą. Lekarstwo wydawało mi się za proste i za wygodne, słyszałem ciągły szept dumy — dumy człowieka, który kiedyś nagle odkrył, że samemu trudniej i godniej, że nic jest większe od czegoś. Może. Ale gdy domyślałem to do końca, gdy wracałem do mojego doświadczenia, wydawało mi się że żadna z dwóch dróg nie jest trudniejsza od drugiej. Obydwie są jednakowo ciężkie pod warunkiem wybrania tylko jednej i kroczenia nią konsekwentnie. To co my uprawiamy jest ciągłym przeskakiwaniem z jednej na drugą, wygodnictwem.

Po paru dniach przyszły deszcze. Szum nieprzerwany, strumienie wody wylewające się z chmur na ziemię, zapierające oddech. I chłód, nareszcie trochę prawdziwego chłodu. Ale gdy tylko ulewa cichła, zwykle przed południem, i spoza chmur przeświecało słońce, las buchał gorącą parą. Kolory zmieniały się niemal z godziny na godzinę. Laguna wypełniała się szybko, po każdej nocy brzeg uciekał coraz dalej. Burt w czasie każdej przerwy w deszczach wypływał naszą łódką, robił pomiary, przygotowywał się. Ja zbierałem wszystkie graty, które musieliśmy zostawić żeby nie obciążać niepotrzebnie maszyny.

Udało się. Ten ranek pozostanie mi na zawsze w pamięci. Siedziałem obok Burta. Niebo pokrywały brudne chmury, ale pułap był dosyć wysoki. Po całonocnym deszczu ruszył wiatr. Gdy silniki zaskoczyły i zaczęliśmy wolno płynąć aby ustawić krypę do startu, gdy w chwilę później ruszyliśmy na 2550 obrotach, znieruchomiałem. Udało się. Nie umiałbym wyrazić co działo się we mnie w czasie tych długich sekund. Zamieniłem się w obydwa silniki. Najpierw przeciwległy brzeg sunął ku nam coraz szybciej, czułem łagodny zakręt, potem zarysy dalekich drzew i lekko pofałdowana, kremowa powierzchnia wody w lagunie rozmazała się w oczach i niemal znikły. Gdy wyrwaliśmy w ostatniej chwili, na milimetr, i nisko pod nami zaczęła migać

gąbka dżungli, gdy rozpostarła się tafla morza, Burt uśmiechnął się do mnie i wystawił w górę dwa wielkie palce. Radość. I wtedy, zupełnie nagle, przyszedł mi na myśl teoremat Le Chatelier'a. Według niego, gdy jakaś dodatkowa siła wywrze działanie na system znajdujący się w stanie równowagi, wówczas punkt równowagi w tym systemie przesunie się w takim kierunku, w którym oddziaływanie tej siły ulegnie osłabieniu. Zacząłem o tym myśleć, bo już nad morzem, wśród monotonnego i zdrowego warkotu silników uświadomiłem sobie że jednak tam, na lagunie, cały mój system został poddany działaniu jakiejś siły, wbrew mojej woli, i że mój punkt równowagi przesunął się na pewno. Ale nie w kierunku, w którym jej działanie uległoby osłabieniu. I to do dziś nie daje mi spokoju.

Andrzej BOBKOWSKI

Jak niegdyś...

Jak dotąd nie mamy urzędowej wersji tego, co zaszło w Poznaniu. Zamiast ścisłego opisu, dostajemy szczegóły i szczególiki, w których znajdujemy nie mało sprzeczności.

Pierwszy przemówił Cyrankiewicz, piętnując zajścia poznańskie jako prowokację, jako dzieło obcych agentów i zbrodniczego podziemia. Już dnia następnego ,,Trybuna Ludu'' oświadczyła, że to niezadowolenie robotników, niezadowolenie zupełnie słuszne doprowadziło do strajku i manifestacji. I wszystkie dalsze wyjaśnienia kołaczą się między ,,niezadowoleniem'' i ,,prowokacją''. Za pierwszym stoi beztwarzowy wróg — biurokracja, za drugą — obca agentura, czy zbrodnicze podziemie (tego żadna despotyczna administracja nigdy nie umiała rozróżniać) — dwie potęgi nieomal mityczne, wobec których nieszczęśliwa zwierzchność jest zupełnie bezradna — więc uciekła pod ochronę czołgów. Wszystko według starego wzoru. Nigdy żadna tyrania szczerej analizy niemiłych dla siebie wypadków nie dała.

Jedno jest pewne — że rozruchy poznańskie uderzyły jak pałką w łeb tych, co sprawują dyktaturę nad polskim proletariatem. Sam Ochab stwierdził, że partia nie przeczuwała nawet, że w Poznaniu zbiera się burza. Wynurzenia te zadają kłam wszystkim zapewnieniom, że KC ZPR reprezentuje klasę robotniczą w Polsce. Nie tylko nie reprezentuje, ale nie umie nawet jej obserwować. Zajmuje względem niej stanowisko takie samo, jak pod wszystkimi szerekościami geograficznymi, we wszystkich czasach zajmowali władcy, opierający swe panowanie na bagnetach.

Dodajmy w nawiasie, że w tym samym nieomal stopniu dostała pałką w łeb i myśl polityczna emigracyjna. Wszystkich nas pochłonęły sprawy ,,odwilży'' i jej objawy w prasie, czasopismach, na naradach i konferencjach. W tym wszystkim zatraciliśmy wyczucie tego, co się dzieje naprawdę. I ta prawda, że robotnik pozostał nadal najważniejszą siłą rewolucyjną w Polsce (a i w innych krajach podniewolnych) — znikła nam z oczu. Trzeba

było dopiero przelanej krwi, by spędzić owe tumany rozgadania i ujrzeć, że przede wszystkim robotnik stanowi to, co tak często zowie się emigracją wewnętrzną.

To, co wiemy, daje nam dość dokładny obraz walk, jakich widownią był Poznań. Robotnicy, doprowadzeni do ostateczności przez wyzysk, uprawiany przez etatystyczną administrację, wspomaganą przez niedo-partię i niedo-związki zawodowe — porwali się do protestu. Tłum wyszedł na ulicę. Maszerując wchłaniał pracujących innych zakładów — rósł. I jak zawsze w takich wypadkach — nabierał poczucia mocy. Jak zawsze nienawiść buchnęła, zwracając się przeciw najbardziej jaskrawym symbolom tyranii! Właśnie tak było w czasie rewolucji francuskiej. Tak samo rzucał się tłum na więzienia gdy wiosna ludów powiała przez Europę. To samo widzieliśmy w dniach czerwcowych 1953 roku w Berlinie.

Więzienie, siedziba milicji, partii, stacja zagłuszeń radiowych — gmach Bezpieki. Tam parły tłumy. Po drodze chwytano broń. Kto zna przebieg ruchów rewolucyjnych, wie doskonale, że właśnie w ten sposób rozpętuje się żywioł rozruchu wszędzie, gdzie rozpacz wypchnęła ludzi na ulicę. Tej rozpaczy zapobiegają najskuteczniej legalne reprezentacje interesów robotniczych. Ale w Polsce ich nie ma.

Rzecz jasna, że każde rozruchy wykorzystują na swój sposób elementy kryminalne — dla rabunku. Hieny są wszędzie. Prasa komunistyczna rozpisuje się o tym szeroko. Ale na razie o dowodach jakoś cicho. Czytamy doniesienia o napadach na pewne osoby, na ich mieszkania. Ale wszystko przemawia za tym, że napady owe zwracały się przeciwko znanym i najbardziej znienawidzonym funkcjonariuszom Bezpieki i to przede wszystkim tym, którzy operowali w fabrykach. Tłum rozprawiał się ze swymi wrogami.

I jeszcze jeden fakt charakterystyczny. Władze partii w tych dniach po prostu znikły z powierzchni ziemi. Jej funkcjonariusze zachowali się całkowicie biernie. Nikt nie podniósł głosu w obronie „ładu i porządku''. Natomiast zwykli posiadacze legitymacji partyjnych, komórki „oddolne'' brały udział nie tylko w demonstracji ale i jej przygotowaniu.

Czy liczby urzędowo podane są prawdziwe? Znowu nie wiemy. Są to jednak liczby bardzo poważne. Nawet za caratu nie wiele demonstracji pociągnęło tyle ofiar.

W Polsce znajomość broni jest powszechna. Militaryzm sowiecki nie mało się do tego przyczynił. Tam, gdzie gromadzą się tysiące na pewno nie zabraknie umiejących obchodzić się z kaemem. I znów jest rzecz niezmiernie charakterystyczna: bronią zdobytą kierują nie weterani wojen i partyzantki — ale ludzie młodzi — wychowankowie ZMP.

Manifestacja poszła w rozsypkę. A jednak — robotnik odniósł zwycięstwo. Władza była zmuszona iść na ustępstwa — podwyżki płacy, zwrot nieprawnie pobranych podatków; obie-

cano też poprawę zaopatrzenia. Władze przyznały, że uprawiały wyzysk, że podatki obliczano w sposób krzywdzący — uprawiano więc i wyzysk za pośrednictwem urzędników skarbowych; i trzeci wyzysk za pośrednictwem organów zaopatrzenia. Takie przyznanie wyrwać jest nie łatwo. Wprawdzie w każdym w tych wypadków zwalono ostatecznie winę na biurokrację. Ale przecie wiadomo kto ją stworzył i kto nią kieruje.

Robotnik zwyciężył i pod względem politycznym. Manifestacja i rozruchy przypadły właśnie na czas Targów Poznańskich. Oglądały jej przebieg setki przyjezdnych z Zachodu. Dziesiątki reporterów porobiło zdjęcia. Prasa całego świata rozbrzmiewała wiadomościami z Poznania.

Cały przebieg strajku, demonstracji i wynikłych z niej walk świadczy najdobitniej o żywiołowości ruchu. I właśnie dlatego zwycięstwo robotnicze było tak kosztowne. Dlatego polało się tyle krwi. Nad manifestacją tą, nad całym ruchem ciążyła tradycja walk dawnych. Poznań dał poważne doświadczenie i to doświadczenie będzie wykorzystane.

Rządząca grupa w K.C. wie zbyt dobrze o tym wszystkim — by nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Ochab wprawdzie szczyci się, że inne ośrodki życia przemysłowego nie poszły w ślady Poznania — ale, tak sądzimy, powinien wiedzieć, że wrzenie trwa — trwa wszędzie; że to wrzenie narasta i szuka odpowiednich form walki. I znajdzie formy, powiadamy, wobec których same czołgi będą bezsilne.

A więc zostaje zniesławienie ruchu poznańskiego. Jak to uczynić, by nie rozjątrzyć jeszcze bardziej robotnika, by nie ośmieszyć się po prostu wobec całego kraju.

Czytelnika gazet warszawskich, słuchaczy radia warszawskiego uderza też jakaś zupełna nieporadność.

Głaskanie — tak, robotnik był pokrzywdzony. No — ale przecie nie strajk! i dalej: Prowokacja! Zbrodnicze podziemie! Obce agentury! Czyżby ci ludzie tak dalece nie znali historii? Ot zwyczajnie — niech który weźmie do ręki organ generał-gubernatora w Warszawie, „Warszawskij dniewnik" z lat 1904-1905. Toż właśnie mąciciele, agitatorzy, kramolniki — widnieją tam na każdej szpalcie. Niech wezmą reakcyjną prasę tych czasów: jakiś „Goniec", albo „Gazetę Polską". Toż zachłystywały się one po prostu, wzywając pomsty niebios (a i policji) na głowy socjalistów i agitatorów. A oczywiście dopatrywały się w rozruchach i strajkach inspiracji masonów, Żydów — no i dla odmiany — agentów pruskich. „Goniec" poszedł tak daleko, że już puścił wiadomość o okupacji Zagłębia przez Prusaków. (A Bułganin wniósł protest o pogwałcenie granicy powietrznej przez samoloty USA.) Toż „Słowo Polskie" we Lwowie zapowiadało, że spokojna ludność zwracać się będzie do carskiej policji o obronę przeciw demonstrantom z placu Grzybowskiego.

Czy nie brzmi to aż kompromitująco podobnie do radia „Kraj", że robotnicy domagają się jak najsurowszych represji

na organizatorów rozruchów w Poznaniu? Nie wiemy, czy takie rezolucje zdołano gdzieś wymusić. Ale wiemy, że najbardziej służalcze pióra w Polsce od razu poniechały tego rodzaju wiadomości. Widocznie zbyt ponure echo wywołały w społeczeństwie.

Akcja zniesławiania Poznania idzie innymi, bardziej dyskretnymi drogami. Radio warszawskie już doszło do tego, że zdołało niemal całkowicie wyprzeć momenty niezadowolenia. Jego wysłannik przeprowadza rozmowę z jednym z delegatów robotniczych, który jeździł do Warszawy. Pojechał i od razu uzyskał wszystko. Dobrotliwe ministerstwo nawet przyznało więcej, niż robotnicy żądali. Powrócił więc do Poznania i na ogólnym zgromadzeniu opowiedział. Robotnicy byli najzupełniej zadowoleni. Wszystko już było jak najlepiej. I nagle — ktoś powiedział, że po innych oddziałach fabryki opowiadają co innego... Biedny delegat wyszedł na chwilę ze swego oddziału — a kiedy wrócił już cały tłum był na ulicy. Widocznie komuś zależało...

Z tego nieporadnego ględzenia, przerywanego przez ,,no'', ,,prawda'' itp. wtręty wynikać ma, że prowokacja była od samego początku.

Tłum poszedł — wywodzi ów osobliwy korespondent. A któż strzelał? Nie, nie robotnicy — to dzieciaki. Chłopcy szesnastoletni. No, chuligani jednym słowem. I na dowód tego chuligaństwa opowiada, że złapano takiego jednego, który w nocy strzelał z dachu ,,do ludności i milicjantów''. A gdy go pochwycono — to się rozpłakał. Ale nie wszyscy płakali. Byli tacy, co przyprowadzeni na policję (słuchajcie! słuchajcie!) — *udawali bohaterów narodowych*. Dosłownie — udawali bohaterów narodowych. I korespondent nie zdaje sobie sprawy, że tak właśnie pisano o Okrzei, Baronie, Kopisiu.

I pisano również w latach dziewięćsetnych o dzieciach i o wykolejeńcach. Sięgnijmy nie po gazetę. Weźmy list Romana Dmowskiego do Jeża-Miłkowskiego. Oto co pisał ten bezwzględny wróg ruchu rewolucyjnego:

> ,,(Socjaliści), wierząc w rewolucję, utworzyli sobie drużynę bojową, złożoną z chłopaków od lat 15 do 20, z robotników bez pracy, z nożowców i ze złodziei nawet zwyczajnych. Dla tej drużyny sztabem są Żydzi, histerycy i najzwyczajniejsi wariaci (już stu ich przewieziono z Cytadeli do szpitala dla umysłowo chorych — to jest fakt notoryczny)... Dziś w prędką rewolucję wierzyć przestają, ale drużyny nie rozwiązują, bo by się nie dała... Tę drużynę trzeba żywić, więc rabują dla niej kasy i ludzi prywatnych. Drużyna zaczyna być celem sama w sobie; organizacja tedy rewolucyjna przekształca się stopniowo w szajkę bandytów, gorszych od zwykłych, bo oprócz rabunku szerzących bezcelowe zniszczenie''.

Wystarczy. Znajdziemy tu wszystko i zbrodnicze podziemie i chuligaństwo i kryminalistów. Dmowski pisał tak o bojówce, w której walczyli Arciszewski, Mirecki, Sosnkowski — no i Pił-

sudski. Na usprawiedliwienie jego można powiedzieć, że nie znał ani ruchu, ani środowiska robotniczego. Opierał się na plotkach. Ale Cyrankiewicz i Ochab ten ruch znają. Znają. A jednak wysyłają do podległych sobie organów komunikaty, których treść sami nieraz piętnowali jako oszczerstwo.

Ot — po prostu wpadli w matnię — w pułapkę, jaką nastawia zawsze każda tyrania. Muszą mówić tak, jak ich carscy i burżuazyjni poprzednicy mówili. I muszą działać tak samo. Działać — czyli rozstrzeliwać robotników. Bo robotnicy stanowią największe skupiska uciskanych. Bo oni żyjąc zespołowo, zespołowo pracując — zespołem całym występują. Gromadnie. Wszędzie. Oni stanowią awangardę rewolucji.

Poznań — to nie pierwsza masakra robotników. Były inne — w Łodzi i w Zagłębiu. Tamte ruchy stłumiono po cichu. O tamtych ledwo mętne pogłoski na świat się przedostały. O Poznaniu zagadał cały świat. Poznań ponadto przyniósł zwycięstwo. I dla tego stanowi przykład zachęcający. Ten kto na razie ustępuje nie wiele — będzie musiał ustąpić więcej. A co do ofiar? W krajach przez absolutyzm rządzonych zawsze znajdzie się zastęp takich: ,,którzy poległym ciałem'' gotowi są ,,dać inny szczebel do sławy grodu''.

A wśród tego zastępu znajdą się ludzie, którzy dobrze zastanowią się nad strategią walki robotniczej. I wyniki podadzą innym. W pewnym momencie ludzie ci znajdą środki po temu, by solidarną akcją sparaliżować maszynę administracyjną dyktatury. Nie jest to rzeczą niemożliwą — bo wbrew powierzchownym sądom każdy totalizm jest organizmem nietrwałym. Jest on zawsze zagrożony przez solidarność mas ludowych. Gdzie ta solidarność krzepnie — tam odwilż staje się potopem.

Nauka, jaką nam Poznań daje — jest ogromna. Niestety, nie mamy najmniejszych danych po temu, by oceniły ją należycie czynniki rządzące. Nie mogą one zrozumieć, że punkt wyjścia dla oceny sytuacji stanowi jedynie prawda. Bez niej nie można postawić prawidłowej diagnozy. Nie mogą też zrozumieć, że ,,własna droga do socjalizmu'', ,,demokratyzacja'', ,,podniesienie stopy życiowej'', ,,współpraca międzynarodowa'' itd. nie mogą pozostać pustymi słowami, fałszem, służącym do zamaskowania starej treści. A przecież jedynie uczciwa realizacja tych postulatów, realizacja w skali powszechnej, społecznej a nie partyjnej może uchronić od — wybuchu, który w obecnej sytuacji może być katastrofą. Fałszem, złudą — katastrofy się nie zażegna.

A. UZIEMBŁO

Kronika angielska

LINIE PODZIAŁU

W normalnym państwie demokratycznym jeżeli p. X. jest właścicielem wielkiego koncernu — najprawdopodobniej kształtować będzie swe polityczne poglądy po linii partii konserwatywnej, która broni własności i inicjatywy prywatnej. Nie trzeba na to być uczonym marksistą by dostrzec ów organiczny związek między interesem czy korzyścią materialną a aktualnym poglądem politycznym. Pan X. kocha Anglię, ale kocha również swoją fabrykę, zyski i pieniądze.

Jak te sprawy układają się na emigracji ?

Partie emigracyjne są oderwane od rzeczywistości i wskutek tego nie decydują o liniach istotnych podziałów. Niemniej Polacy zagranicą nie żyją jako te lilie i ptaszkowie niebiescy — lecz przeciwnie, wykazują wielką przedsiębiorczość i zaradność. W poglądach politycznych kół i ugrupowań emigracyjnych łatwo można odcyfrować ich „macierzystą" bazę ekonomiczną. Partie emigracyjne nie mają z tym nic wspólnego, ponieważ nie odzwierciadlają aktualnych konfliktów interesów. Ponieważ pogląd partyjny w tych warunkach odpada, pozostaje tylko polityka niepodległościowa, którą interpretuje się w myśl zasady : „Kocham Polskę ale kocham i mój emigracyjny business".

Jak to wszystko wygląda w praktyce ?

Na emigracji istnieje cała seria instytucji, pseudo-instytucji i przedsiębiorstw handlowych, których bazą i fundamentem jest „żelazna kurtyna". Dzień w którym „żelazna kurtyna" opadłaby z trzaskiem na ziemię byłby dla tych panów dniem katastrofy.

Jest w pewnym sensie zrozumiałe, że tych ludzi najlżejsze uchylenie kurtyny wprawia w histeryczną panikę. „Liberalizacja", „odwilż", książki i prasa krajowa, kontakty z ludźmi z Kraju — ci gentlemani rozpatrują wyłącznie pod kontem widzenia permanencji „żelaznej kurtyny" — która jest dla nich tym, czym Nil dla Egiptu.

Polityka niepodległościowa interpretowana pod kątem widzenia wieczystego trwania „żelaznej kurtyny" — przybiera zdumiewające formy. Z jednej strony stosuje się „święty terror" w londyńskim, kieszonkowym formacie; z drugiej strony, wyśrubowuje się w nieskończoność emigracyjne postulaty. Niepodległość Polski już nie wystarcza. Cele polityki emigracyjnej objąć muszą zagładę Związku Sowieckiego, rozparcelowanie Rosji i wyniszczenie komunizmu w najdalszych zakątkach ziemi. Stawiając sprawę w ten sposób businessmani i ich „niezłomni" współpracownicy mogą spać spokojnie ufając, że „żelaznej kurtyny" starczy nie tylko dla nich ale i dla ich wnuków. Bo dopóki istnieje Związek Sowiecki i choćby jeden komunista w Pernambuco — nie damy wyjąć ani jednej cegły z życiodajnej „żelaznej kurtyny".

2

Proponuję cierpliwemu Czytelnikowi by uważnie przeczytał następujący wyjątek z artykułu Pandory pt. ,,Druga Rewolucja" (,,Wiadomości" — Nr 541).

> ,,Otwierają się i inne nadzieje. Na przykład możność drukowania na Zachodzie książek pisanych przez pisarzy emigracyjnych i wyjednania dla nich dostępu do Kraju. Na pozór wydaje się to lepsze niż zawarcie umowy z wydawnictwem krajowym. Nie uzależnia pisarza od wydawcy i daje poręke, że tekst książki nie będzie przez niego zmieniony. Ale ta niezależność jest złudna. Cały obrót drukowanego słowa w dzisiejszej Polsce jest przecie w ręku władz komunistycznych, których organami są wszystkie wydawnictwa i księgarnie. Dopuszczenie książki polskiej z zagranicy mogłoby się więc odbywać tylko w drodze wyboru pisarzy i ich książek przez te władze. Pisarze, którzy by byli w ten sposób wyróżnieni znaleźliby się w takim samym położeniu jak ci, co zawierają umowy wydawnicze. Nad ich osobistym zachowaniem się i ich dalszą pracą pisarską ciążyłoby, że są i chcą być nadal dobrze widziani przez odbiorcę swoich książek — komunistyczny monopol księgarski w Kraju".

Wiem skądinąd, że w Kraju przygotowuje się serie przekładów z literatur obcych a w szczególności z współczesnej literatury angielskiej.

Absurdalność rozumowania Pandory uwypukli się w całej pełni, gdy w powyżej przytoczonym tekście termin ,,pisarz emigracyjny" zastąpimy terminem ,,pisarz angielski". Przecież jest oczywiste, że choćby w Kraju podjęto jak najliberalniej rozumianą politykę przekładową nie zostaną nią objęci wszyscy pisarze angielscy — tylko garść. Czy więc z góry należy przyjąć, że... ,,nad ich osobistym zachowaniem się i ich dalszą pracą pisarską ciążyłoby, że są i chcą być nadal dobrze widziani przez odbiorcę swoich książek — komunistyczny monopol księgarski w Kraju".

Gdybyśmy powyższe rozumowanie doprowadzili do końca musielibyśmy uznać, że nie tylko pisarze emigracyjni ale i pisarze obcy nie powinni godzić się na przedruk ich książek w Polsce. W ten sposób pojęty antykomunizm cementuje wprawdzie ,,żelazną kurtynę" — uniemożliwia jednak aktywną walkę o demokrację. Celem zarówno pisarzy emigracyjnych jak i pisarzy wolnego świata nie jest antykomunistyczna ,,splendid isolation" lecz docieranie z wolnym słowem tam — gdzie buduje ono opór przeciw totalizmowi.

Autor kryjący się pod pseudonimem Pandora pragnął jeszcze coś innego powiedzieć ale brakło mu odwagi. Chciał powiedzieć, że autor emigracyjny jak za jedną, drugą książkę zakontraktowaną przez PIW w Warszawie dostanie kilkaset funtów — trzecią i czwartą książkę będzie pisał ,,pod wydawcę". Innymi słowy będzie się liczył z tym, który płaci. Gdyby Pandora sformułowała to w ten sposób artykuł w ,,Wiadomościach" miałby ręce i nogi.

Niewątpliwie to niebezpieczeństwo jest realne. Jest realne w pierwszym rzędzie w stosunku do pisarza emigracyjnego ponieważ pobieranie honorariów od reżymowego wydawcy ogranicza w konsekwencji inne możliwości zarobkowe. Jest mało prawdopodobne by pisarz emigracyjny płacony w dewizach przez wydawcę krajowego mógł równocześnie współpracować z ,,Free Euro-

pe", drukować na łamach „Kultury" itd. W praktyce pisarz honorowany w dewizach przez Warszawę bardzo szybko przekonałby się, że stracił większość (lub wszystkie) źródła literackich zarobków i de facto całkowicie uzależnił się od wydawcy krajowego. W takiej sytuacji trudno już mówić o swobodzie pisarskiej. Ale wysuwać z tego wniosek, że w ogóle nie należy drukować w Kraju jest nonsensem.

W moim zrozumieniu żadnemu polskiemu pisarzowi tworzącemu za granicą nie wolno nigdy zrezygnować z czytelnika krajowego i obowiązkiem naszym jest nie pominąć żadnej sposobności umożliwiającej dotarcie do tego czytelnika. Jeżeli ktoś twierdzi inaczej, zaprzecza literaturze emigracyjnej jakiejkolwiek misji i demobilizuje ją w szczytowej fazie zmagań.

Niebezpieczeństwo uzależnienia się od wydawcy krajowego nie istnieje dla pisarza, który zaakceptuje punkt widzenia „Kultury" i odmówi przyjmowania honorarium w dewizach. Uzależnienie — to są pieniądze. Tam gdzie nie ma pieniędzy nie ma i zależności.

Nasi krytycy wysuną bezwątpienia zarzut, że nasz postulat jest nieżyciowy, że nie można nikogo skontrolować czy bierze dewizy reżymowe czy nie...

Bezpośrednia kontrola nie jest oczywiście możliwa. Ale pisarz emigracyjny biorący funty w Londynie od reprezentanta wydawcy krajowego powinien sobie zdawać sprawę, że tajemnica tej transakcji jest bardzo krucha. Przy najlżejszym zmianie kursu reżym może uznać za stosowne i taktycznie dogodne podać do publicznej wiadomości szczegóły kontraktów i wysokość wypłaconych honorariów.

Pieniądze nie lubią tajemnicy — vide Berg.

3

Powyżej omawiana sprawa ma jeszcze inny aspekt. Liberalizacja stosunków w Polsce przerwała okres izolacji i oto emigracja została włączona do obszaru operacyjnego.

Z Kraju przyjeżdżają na Zachód rozmaici panowie i w rozmaitych sprawach. W Londynie bawił ostatnio p. Zaremba (mąż Szelburg-Zarembiny) dyrektor tzw. PIW (Państwowy Instytut Wydawniczy).

Szepczą w dobrze poinformowanych kołach, że p. Zaremba planuje otwarcie dużej księgarni w Londynie. Mówi się również, że cena krajowych książek zostanie wydatnie obniżona a są nawet i tacy, którzy twierdzą, że książki polskie sprzedawane będą w krajach Zachodu poniżej kosztów własnych. Jednym słowem książkowy „dumping".

Gdyby te projekty w takiej czy w innej formie zostały zrealizowane — emigracyjny rynek wydawniczy znajdzie się vis-à-vis zupełnie nowej sytuacji.

Przed „odwilżą" książki i periodyki krajowe były po prostu nudne. W owej epoce izolacji, przez polską książkę na obczyźnie rozumiało się książkę emigracyjną. Jedynym poważniejszym konkurentem książki emigracyjnej była książka obcojęzyczna. Apele i hasła w rodzaju: „Polskie słowo na obczyźnie" (dewiza londyńskiego „Orbisu") posiadały duży nabój narodowego, samozachowawczego instynktu, który mobilizował się w nas pod naporem obczyzny. Ale... jeżeli pan Zaremba założy wielką księgarnię w Londynie — to będzie również *polskie* słowo na obczyźnie.

Powiedzmy, że księgarnia PIW w Londynie będzie miała 6.000 tytułów na składzie. Jest zupełnym absurdem łudzić się, że powołamy wówczas „trybunał inkwizycyjny", który będzie orzekał, że — powiedzmy —Parandowski, Zawieyski czy Dąbrowska „Nihil Obstat" a Newerly zakazany. Znam na tyle moich rodaków by twierdzić, iż napiętnowanie książki czy autora przyniosłoby w konsekwencji wręcz odwrotny skutek od zamierzonego. Książki wzięte „na indeks" zostałyby wykupione w 24 godziny.

Księgarnia reżymowa spełniałaby podwójną rolę. Byłaby poważnym zagrożeniem dla wydawców książki emigracyjnej, oraz dysponowałaby możliwościami subtelnej propagandy komunistycznej. Nie ma wielu dobrych powieści o wyraźnej tendencji komunistycznej, ale garść można wyłowić. Ta garść rozsypana wśród książek „neutralnych", katolickich i klasyków — może zdobyć na emigracji szeroki zasięg czytelniczy. Do kategorii „subtelnej" propagandy należą wydawnictwa specjalne jako bogato ilustrowane monografie-albumy miast, parków narodowych, zabytków architektury itd. Niektóre z tych wydawnictw reprezentują bardzo wysoki poziom sztuki graficznej, fotografiki i druku. Któż z nas nie spojrzy chętnie na piękne fotografie Krakowa, Warszawy, Tatr, Czarnego Dunajca czy przełęczy Dukielskiej? W tego typu wydawnictwach, które zaoferowane po przystępnych cenach miałyby na emigracji olbrzymi zbyt — kilku wierszowy tekst łączący fotografie może mieć duży propagandowy walor.

Nie wątpię, że księgarnia p. Zaremby miałaby bogato zaopatrzony dział „narodowych dewocjonalii" — sztuki ludowej i pseudo-ludowej, pasiaków, garnków z polewami, figurek z drzewa i innych cudowności. Któż się oprze drewnianemu Chrystusikowi frasobliwemu spod Poronina ? Londyńczyk, urodzony podhalanin, na pewno by mu się nie oparł.

Jakie wnioski należy wyprowadzić z tych sentymentalnych rozważań ?

Jeżeli reżym podejmie tego typu ofensywę kulturalną — nie sądzę by można ją było skutecznie odeprzeć apelami, Radami Książki, artykułami dziennikarskimi czy odczytami. Należy bowiem pamiętać, że owa walka toczyć się będzie nie tylko na płaszczyźnie polityczno-propagandowej lecz w pierwszej linii na płaszczyźnie ekonomicznej.

Jeżeli PIW płacić będzie autorom po £400 za książkę a wydawca emigracyjny £50 — jeżeli PIW sprzedawać będzie książki krajowe taniej niż księgarz-emigrant książki emigracyjne — wówczas wynik tej akcji można uznać za przesądzony. Cuda istnieją w emigracyjnej polityce ale nie w handlu.

Jeżeli PIW uzyska od władz angielskich konieczne licencje i zezwolenia i podejmie na poważniejszą skalę inicjatywę o której mówimy — książkę emigracyjną uratować będą mogły tylko instytucje wydawnicze nie związane handlowo z PIW'em a więc nie trudniące się sprzedażą książek i wydawnictw krajowych.

Jedno jest pewne. W takiej sytuacji literatura emigracyjna prawdziwie niezależna miałaby poważniejszą rolę do spełnienia niż kiedykolwiek przedtem. Nie ulega bowiem wątpliwości, że inicjatywa reżymu zmierza do sprowadzenia literatury krajowej i emigracyjnej do jednego wspólnego mianownika.

W książce wydanej w Kraju można dziś dużo powiedzieć. Ufajmy, że za pół roku będzie można powiedzieć jeszcze więcej. Ale niemniej w książce wydanej w Polsce nie można powiedzieć wszystkiego i dlatego książka emigracyjna jest niezbędna.

Witamy z radością każdy przejaw liberalizacji — ale nie liberalizacja jest naszym celem lecz pełna, rzetelna demokracja. Kardynalnym narzędziem w walce o wolność demokratyczną jest książka emigracyjna.

Autor emigracyjny tylko wówczas może pisać swobodnie jeżeli wie, że istnieją niezależne, z PIW'em nie związane emigracyjne instytuty wydawnicze, które wydadzą (i zapłacą honorarium) za jego książkę. Tylko w takich warunkach napisana książka może być z politycznego punktu widzenia wartościowa i o wydanie krajowe tylko tak napisanej książki warto jest zabiegać.

Jeżeli tego typu niezależnych instytucji wydawniczych nie będzie — jeżeli PIW zdoła jedne firmy księgarskie doprowadzić do likwidacji a inne z sobą związać — autor emigracyjny będzie mógł pisać albo „dla szuflady" albo „pod wydawcę".

Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie niemniej skłonny jestem przypuszczać, że nasi amerykańscy przyjaciele są całkowicie niezorientowani w kulturalnej ofensywie reżymowej — w jej celach, możliwościach i zasięgu. Gdyby o tych sprawach byli dobrze poinformowani — być może uznaliby — że projektowany, a ostatnio odwołany, Kongres Kultury nie był najbardziej palącym zagadnieniem i wydatkiem.

4

Jestem ostatnio przedmiotem dzikich napaści i choć przyzwyczajony jestem od lat do tego osobliwego londyńskiego klimatu — pewne elementy bieżącej nagonki zasługują może na kilka zdań komentarza.

Jak dotąd nie wziąłem szczęśliwie grosza ani od Anglików, ani od Amerykanów, ani od reżymowców i nie ja lecz p. Zygmunt Nowakowski rozmawiał z p. Zarembą. (Rozmawiał z nim we wtorek a felieton o którym mowa poniżej — ukazał się (jak zwykle) w czwartek). Osobiście nie mam książki do sprzedania w Kraju ani dość giętkiego pióra by się nadało dla Free Europe. Skłonny jestem przypuszczać, że PIW nie wydałby wyboru mojej publicystyki z „Kultury".

To nie ja w detroickim „Dzienniku Polskim" (z 1.3.1952) pisałem: „I ten rzekomo polski oddział radiostacji 'Free Europe' aspiruje do nazwy „Free Poland" a otwarty ma być jakby na szyderstwo w dniu 3. maja". Jakby na szyderstwo autor tych słów mówi co tydzień przez mikrofony „Free Europe" — przypuszczać należy — nie za darmo. W swym felietonie w londyńskim „Dzienniku Polskim" ów Kato emigracyjny zauważył wzniośle: „Pieniądze nie śmierdzą". Istotnie pewnym panom nie śmierdzą.

Szczerzę pragnę by te pieniądze wyszły mu na zdrowie. Ale wara mu pouczać i strofować tych, którzy tego rodzaju łamańców za sobą nie mają i którym pewne pieniądze naprawdę śmierdzą.

Niestety mam do zanotowania znacznie poważniejsze sprawy niż egzorty czwartkowe Zygmunta Nowakowskiego. W Londynie zaroiło się od emigracyjnych donosicieli. Walka z łapsami nie jest łatwa. Załóżmy dla przykładu, że ciemny typ szermujący gęsto frazesami demokratycznymi — z dłuższą praktyką na stanowisku łapsa — pisze donosy do Scotland Yardu, Home Office czy innych, bardziej prywatnych, instytucji brytyjskich. Na razie, choćby się

znało nazwisko takiego pana, nic mu nie można zrobić. Wymienić go po nazwisku (nie byłoby to dla mnie trudne) — grozi procesem. Koronnym świadkiem w ewentualnym procesie musiałaby być taka czy inna instytucja brytyjska. Materiały tego typu (choć z reguły udostępniane zainteresowanym) są traktowane poufnie i niechętnie ,,wypożyczane'' jako dowody rzeczowe.

Ale łapsy i donosiciele chronieni są do czasu. Przyjdzie moment kiedy nasze informacje — dziś ściśle prywatne — będzie można ujawnić. A więc łapsy i kandydaci na łapsów dobrze obliczcie wasze szanse.

LONDYŃCZYK

Tematy napoczęte (1)

I

Niejednokrotnie zastanawiałem się nad lukami, jakie istnieją w opracowaniu spraw i tematów zasadniczych i kluczowych w naszej współczesnej historii. Wypadki wojenne wyrzuciły poza granice Polski sporą grupę historyków, publicystów, polityków, dyplomatów, pisarzy. A jednak cały ten zespół nie zdobył się na opracowanie (poza takimi próbami, wybitnie jednostronnymi w ujęciu, jak książka Stanisława Mackiewicza o Becku) w sposób rzeczowy i ogarniający szersze horyzonty rozmaitych problemów ważnych i doniosłych dla przebiegu naszej historii. Ta luka jest tym bardziej niepokojąca ponieważ ilość świadków rozmaitych wydarzeń topnieje z każdym rokiem; materiały jakie są może zagranicą (w formie wspomnień, zapisków, pamiętników)

(*) Artykuł ten zawarty w dwuch częściach — pierwsza poświęcona jest zagadnieniom polskim, druga międzynarodowym — stanowi rozwinięcie myśli artykułu, który napisałem jeszcze jesienią roku 1946, dając mu tytuł „Wojny nie będzie". Artykułu tego nie mogłem zamieścić w prasie emigracyjnej: uznano go za zbyt pesymistyczny. Dopiero wiosną roku 1948 wychodzące w Szwajcarii pismo „Horyzonty" artykuł mój przyjęło do druku, nie pojawił się on jednak, albowiem „Horyzonty" przestały wychodzić. Poglądy wyłuszczone w niniejszym artykule przedstawiłem w wykładzie wygłoszonym w Genewie w końcu marca br. w klubie „Polonia".
Dla sprawdzenia pewnych wniosków i przewidywań pozwalam sobie powołać się na następujące wypowiedzi: artykuł „Oblicze Europy", wydrukowany na łamach „Wiadomości Polskich" w Londynie niedługo przed ich zamknięciem przez władze brytyjskie; broszurę pt. „Przyszłość Polski", ogłoszoną w roku 1944; artykuł pt. „Mózg i Krew" ogłoszony na łamach jerozolimskiego tygodnika „W drodze"; szkic „Wiek Klęski", opublikowany w wydawnictwie Mieczysława Grydzewskiego ogłaszanym w latach 1945-1946 w Londynie (Biblioteka *Wczoraj i Dziś*); artykuły o Niemczech powojennych publikowane w „Wiadomościach" w roku 1946 oraz w czasopiśmie „Na Przełomie".

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

mogą przepaść albo zniszczeć, rosnąca odległość czasu sprawia, że ci co mogliby powiedzieć wiele rzeczy ciekawych i prawdziwych o wypadkach doniosłych dla naszych dziejów, coraz słabiej je pamiętają. Ponieważ w omawianiu naszej historii nadmiernie posiłkujemy się względami emocjonalnymi, ponieważ motyw ,,dla pokrzepienia serc'' jest często używany i nadużywany w naszym podejściu do wypadków historycznych, ponieważ jesteśmy narodem obarczonym sporą ilością ,,tabu'' i lubimy hodować złudzenia — być może jest to obrona samej naszej natury przeciwko zbyt groźnej i bezlitosnej rzeczywistości — zachodzi obawa, że te kluczowe momenty naszej niedawnej stosunkowo historii zostaną zafałszowane, wstydliwie pokryte niedomówieniami.

W uwagach jakie pozwoliłem sobie zebrać chciałbym wskazać na kilka sytuacyj, które — moim zdaniem — proszą się o rzetelne i szczere naświetlenie. Moja lista nie jest kompletna. Ale może ten apel poruszy ludzi, którzy mają o tyle więcej ode mnie do powiedzenia w tych sprawach. Tych, którzy pamiętają lepiej i dokładniej owe sytuacje, stali bliżej źródła wydarzeń ze względu na swoje stanowisko, funkcje czy warunki. Jest rzeczą osobliwą, że te pasjonujące problemy naszej historii nie zaciekawiły naszych historyków i publicystów; że ludzie, którzy przypatrywali się tylu interesującym procesom, jak np. Stanisław Stroński — nie pokusili się o napisanie wspomnień czy pamiętników. Literatura pamiętnikarska nie jest u nas — w przeciwieństwie do Anglii — nadmiernie bogata. Obawiać się należy, że te zaniedbania naocznych świadków, ta niechęć do rzeczowego, spokojnego i chłodnego zajęcia się krytycznymi momentami naszych nowoczesnych dziejów, odbiją się ujemnie na naszym poznaniu i interpretacji ostatnich czasów.

2

Mamy liczne opracowania odnoszące się do ,,sprawy polskiej'' w przede dniu pierwszej wojny światowej, ale — o ile się nie mylę — nie mamy dalej obiektywnego przedstawienia jak to rozmaite inicjatywy polskie zbiegły się szczęśliwie pod koniec pierwszego konfliktu. Zapominamy dzisiaj, że rozgrywaliśmy wielką partię, która zaczęła się w roku 1914 w sposób bardzo rozważny; że karty nasze leżały na kilku stołach i że pod koniec wojny zsunęły się one niejako na stół zachodni. Zrozumiała duma narodowa sprawiła, że w dobie naszej niepodległości wywindowaliśmy zbyt wysoko polski ,,czyn zbrojny'', zapoznając wkład takich polityków, działaczy i patriotów jak Dmowski, Paderewski, Sienkiewicz, Erazm Pilz i długi szereg innych — ludzi obytych z Zachodem, indywidualności nieprzeciętnych. Pierwszą wojnę światową zaczęliśmy orientacjami a skończyliśmy państwem; już w roku 1943 wyraziłem obawę, że drugą wojnę zaczęliśmy państwem a możemy skończyć orientacjami. Ale fakt, że w drugiej wojnie operowaliśmy nadmiernie pojęciem

państwa i kadr urzędniczych, że zbyt wiele inicjatyw naszych szło „drogami urzędowymi", kazał nam zapomnieć o tym, że to w dużej mierze inicjatywa prywatna, kaliber danych działaczy i polityków, ich sytuacja wyrobiona sobie własnym trudem a nie z racji takiego czy innego urzędu i godności, że te elementy wspomogły walnie „sprawę polską" kiedy dojrzała ona do rozstrzygnięcia na zwycięskim Zachodzie. Dzisiaj wracamy jakby do sytuacji, w której jednostki stojące na własnych nogach dzięki własnym wysiłkom, kiedy inicjatywa prywatna a nie inspirowana urzędowo daje wyniki i udowadnia swą wartość.

Brakuje nam dalej, jak sądzę, pełnego oświetlenia akcji polskiej w latach 1914-1918, przy nakreśleniu sylwetek ludzi odmiennych w swoim charakterze, temperamencie i poglądach jak i metodach działania. Czas dla napisania takiej pracy już chyba dojrzał, albowiem największą może przeszkodą dla uzyskania pełnego a obiektywnego spojrzenia był nasz wewnętrzny spór o Piłsudskiego. Dzisiaj, kiedy spór ten tak dobrze jak wygasł i kiedy patrzymy spokojnie na jasne i ciemne strony jego akcji, kiedy widzimy wielkość jego ambicyj i niedobory jego realizacji, można chyba przystąpić do napisania rzeczowego wykładu o „sprawie polskiej" w latach pierwszej wojny.

3

Nasza duma narodowa sprawiła, że chętnie pomijaliśmy doniosłość traktatu wersalskiego dla dziejów powstania naszego państwa. Dzisiaj rozumiemy o tyle lepiej powiedzenie — używane częściej przez naszych wrogów aniżeli przez nas samych — że Polska niepodległa była tworem Wersalu. Prawdziwość tej tezy ujawniła się w lecie roku 1939 kiedy dwa państwa, które w gruncie rzeczy nigdy nie pogodziły się z Wersalem, a zatem Rzesza niemiecka i Rosja sowiecka, podały sobie ręce, ażeby wykreślić Polskę z mapy Europy. Rzadko kiedy polityka rosyjska była tak szczera jak w chwili kiedy Mołotow jesienią roku 1939, wychwalając dokonania armii niemieckiej i armii czerwonej na ziemiach polskich, wypowiedział słowa o Polsce, tym „paskudnym bękarcie Wersalu". Cała nienawiść do tego traktatu ujawniła się w tym zdaniu z pasją, którą wytłumaczyłby nie tyle Marx co Freud. Ale też Freud jest, zasadniczo biorąc, o wiele lepszym przewodnikiem po dziejach drugiej wojny światowej aniżeli Marx. Marxem i jego teoriami o konieczności wojny między krajami kapitalistycznymi, względami konkurencji handlowej, momentami natury ekonomicznej, można było jeszcze do pewnego stopnia tłumaczyć pierwszą wojnę światową. Ale całe niejako przedpole drugiej wojny : religie polityczne czy nowe mahometanizmy hitleryzmu i komunizmu, konwulsje tych nowych islamów, orgie propagandy, urabianie sterroryzowanej opinii krajów totalnych, no,i oczywiście same postacie dyktatorów trzech totalizmów, ich plany, pasje, nienawiści, metody —

to wszystko prosiło się i prosi dalej o analizę Freuda a nie Marxa.

4

Wybuch pasji Mołotowa w stosunku do Wersalu zdemaskował zapiekłą nienawiść Rosji sowieckiej do traktatu wersalskiego. Nie zapominajmy, że Rosja, która na wstępie pierwszej wojny okazała się niebywale lojalnym sojusznikiem i przez swoją akcję w Prusach wschodnich i bitwę pod Tannenbergiem przyczyniła się do uratowania Francji (należałoby obliczyć jaki procent ,,cudu nad Marną'' zawdzięczać należy bitwie pod Tannenbergiem) wypadła z aliansu. Zachowała się ona jak Francja w roku 1940; nic dziwnego, że Zachód obawiał się od roku 1941 ,,czerwonego Vichy'', kapitulacji Stalina przed zwycięsko prącym Hitlerem. Ta obawa dopingowała nieuwarunkowaną niczym pomoc Zachodu dla Rosji sowieckiej.

Traktat wersalski stworzył wspólnotę doli między dwoma pobitymi krajami : Niemcami i Rosją. Nienawiść do Wersalu łączyła Niemcy z Rosją; kraje te nie pogodziły się z faktem istnienia Polski, podobnie jak dzisiaj kraje arabskie nie pogodziły się jeszcze z faktem istnienia Izraela. Dlatego Izrael ma słuszne powody do obawiania się o swoją przyszłość. Dopóki kraje arabskie nie zgodzą się myślowo i uczuciowo na fakt, że Izrael istnieje i istnieć będzie — nowe państwo żydowskie jest państwem sezonowym, jak nim, niestety, była Polska.

5

Nie rozumieliśmy w pełni w dobie naszej niepodległości wagi Wersalu. Było nawet rzeczą modną w naszej polityce przejawiającej mocarstwowe maniery, ironizowanie Wersalu, zadawanie ukłuć w stosunku do takich jego pochodnych jak Liga Narodów. Nie rozumieliśmy także, że proces jaki odbywał się w Europie w latach międzywojnia, był tragicznym procesem porzucania traktatu wersalskiego, odchodzenia od niego, wzrostu przekonania, że nie jest on *un document viable*. Albowiem rozkład Wersalu zaczął się od wewnątrz : od aktu niewiary samego Zachodu, samych jego twórców w możność utrzymania tego traktatu. Zachód sam własnymi rękoma zamordował ten układ zanim wzmocnione Niemcy podeptały Wersal zupełnie.

Nie wyjaśniono dotychczas, o ile wiem, jakimi właściwie szlakami biegła myśl sojuszników jeżeli chodzi o stworzenie nowej Europy wschodniej po roku 1918. Zbyt mało uwagi poświęcano chyba tezie, że jednak w zmontowaniu krajów niepodległych Europy wschodniej odegrała rolę obawa przed rozlaniem się rewolucji bolszewickiej. Zachód miał powody do lękania się o to, że Rosja bolszewicka zechce pokumać się z pobitymi Niemcami; ale rozmaite komunistyczne symptomy, jakie

oglądaliśmy w Niemczech w latach od 1918 do 1920 — od buntu marynarzy w Hamburgu aż po pucz Spartakusa — nie nosiły poważnego charakteru. Wydaje się, że Zachód przeląkł się nadmiernie tych objawów i że poparcie, udzielane Niemcom weimarskim w dużej mierze czerpie tutaj swoje korzenie.

Wydaje się, że cały rejon Europy wschodniej musiał być pomyślany przez aliantów jako „*cordon sanitaire*" w stosunku do bolszewizmu.

6

Rozterka wewnętrzna zabiła Wersal. Te wahania samych jego twórców ujawniły się już w tworzeniu Locarna, które ustanowiło w Europie bezpieczeństwo z podwójnym dnem, czy dwoistego gatunku : lepszego dla Zachodu, gorszego dla Wschodu. Układ morski anglo-niemiecki podważał jeszcze bardziej Wersal. A wreszcie stosunki anglo-francuskie, z których istoty nie zdawaliśmy sobie sprawy w dobie naszej niepodległości, zatruwały stale i od początku owoce zwycięstwa Zachodu.

Francja, która po dziś dzień myśli logicznie i jasno — chociaż nie ma już dzisiaj siły do przeprowadzenia wielkich inicjatyw — zrozumiała po pierwszej wojnie, że tylko sieć aliansów wokoło Niemiec potrafi utrzymać je w ryzach. Sojusze Francji dewaluowały się raptownie, albowiem nie otrzymały reasekuracji angielskiej. W tych warunkach Francja oglądała się coraz bardziej na Rosję. Nie rozumieliśmy w dobie inicjatyw takiego Barthou i jego pomysłów paktu wschodniego, że Francja, czując zagrożenie niemieckie, a zwątpiwszy w siłę sojuszników takich jak Praga czy Warszawa, szuka re-asekuracji w Moskwie. Odrzuciliśmy pakt wschodni — ale oto w roku 1941 doszło do układu, który właśnie takie pomysły realizował.

7

Mówi się u nas wiele o inicjatywie Piłsudskiego w roku 1933 w formie oferty wojny prewencyjnej przeciwko powstającemu Hitlerowi. Istnieją poszlaki, że istotnie Piłsudski z tego rodzaju ofertą wystąpił. Niestety, po dziś dzień żaden z naszych polityków czy dyplomatów nie potrafił podać naszej wersji wypadków. Mamy dotychczas tylko uwagi obserwatorów politycznych Anglii, Francji; mamy napomknięcia w książkach wielu autorów. Mamy nawet przyznanie się do takiej inicjatywy prezydenta Benesza. Nie jest to bynajmniej wymysł, ale fakt (**).

Czy istotnie była inicjatywa polska w roku 1933 — po-

(**) Historyk angielski Sir Charles Petrie podał tę tezę w jednej ze swoich książek. Gdy zwróciłem mu uwagę w liście doń przesłanym, że inicjatywa ta wyszła od Piłsudskiego, odpowiedział mi, że całą wersję otrzymał od samego Benesza.

wtórzona w roku 1936, a zatem w momencie kiedy Niemcy weszli do Nadrenii tworząc wyraźny *casus belli?* Jest to pytanie bardzo doniosłe: albowiem jeżeli istotnie Piłsudski, a potem Beck, wystąpili z tego rodzaju ofertami, to dowodziłoby to, że rozumieli w pełni sytuację. Jeżeli Piłsudski w roku 1933 domagał się akcji przeciwko Hitlerowi, to wystawia to świadectwo jego jasnej wizji — albowiem w roku 1933 nie trzeba było nawet akcji zbrojnej, ale tylko mobilizacji po obu stronach granicy Niemiec, Francji i Polski, ażeby Hitler runął. Jeżeli w roku 1936 Beck domagał się akcji — czy przynajmniej mobilizacji po obu stronach granicy Trzeciej Rzeszy — to dowodziłoby to, że widział on wyraźnie czym grozi zajęcie Nadrenii. Ten bowiem akt Hitlera oddzielał Zachód od jego sojuszników na Wschodzie i zatem był wstępem do roku 1939 i uderzenia na Polskę.

Nie mamy dotychczas żadnego autentycznego, udokumentowanego wywodu polskiego na temat tych dwuch rzekomych inicjatyw. Jest to wielka szkoda.

8

W warunkach jakie powstały w roku 1934 — a zatem kiedy Zachód okazał niechęć do poskromienia Hitlera — zawarcie przez Polskę układu z Niemcami wydaje nam się dzisiaj rzeczą logiczną. Polska próbowała porozumienia z potężniejącym sąsiadem widząc, że Zachód przejawia coraz to większy brak zainteresowania losami Europy wschodniej.

Wydaje się jednak, że opinia polska nie orientowała się w pełni w implikacjach i logice wewnętrznej układu z Hitlerem. Przypuszczać bowiem wolno, że już w roku 1934 Hitler miał gotowe swoje alternatywne plany — czy marzenia — w odniesieniu do Rosji i do terenu, który go od Rosji oddzielał. Mógł się on do Rosji dobrać albo przez poddanie sobie przestrzeni leżącej między Rosją a Niemcami i przez zamienienie jej w pomost — albo przez zlikwidowanie tego terenu z pomocą samej Rosji i dojścia do zwarcia z Rosją.

Nie orientowaliśmy się, że Hitler ma takie plany. Że chciałby zmienić Polskę w satelitę, z którym by wyruszył na Moskwę. Że ewentualnie za taką cenę ścierpiałby Polskę w roli takiej w jakiej ścierpiał Węgry czy Rumunię.

Wydaje się, że optymizm zaślepił nas na tyle, iż nie dostrzegaliśmy dalszego niejako ciągu, jaki tail się w układzie z Hitlerem. Nie był to bowiem układ sam w sobie, skończony — ale wstęp do pewnej akcji. Polska nie była gotowa powiedzieć „B" po „A" układu z Berlinem.

Po wybuchu wojny nie dostrzegaliśmy — zaślepieni własną klęską i tragedią — że celem akcji Hitlera był nie rozbiór Polski, że jest to zbyt mały cel i ambicja, że istotnym celem, tematem i motywem wojny jest uderzenie Niemiec na Rosję. Dlatego nasze czynniki w Londynie źle oceniały zamiary niemieckie i fał-

szywie informowały Anglię. Ale Churchill już wiosną roku 1941 wiedział, że Hitler uderzy na Rosję.

9

Momentem, który wymaga lepszego oświetlenia z naszej strony to problem Monachium, naszego stanowiska wobec Czechosłowacji i pytanie, czy byłoby dla nas rzeczą lepszą, gdyby wojna wybuchła już w roku 1938 a nie w roku 1939?

Wydaje się, że znowu ulegliśmy optymizmowi po ,,Anszlusie'' Austrii, że byliśmy przekonani, że uderzenie niemieckie pójdzie na południe; że nasza ocena sytuacji w okresie Monachium była fałszywa i że nasze stanowisko wobec Pragi było mylne — pomijając etyczność naszego postępowania. W tej dziedzinie nie ma już dzisiaj chyba wątpliwości, że nasze zachowanie się wobec Czechosłowacji, od kryzysu sudeckiego aż po zabór Zaolzia, było wątpliwe pod względem moralnym. Sama zaś akcja wobec Zaolzia była godna potępienia i niezgodna z tradycjami naszego narodu.

Stosunki polsko-czeskie czekają rzetelnego i uczciwego oświetlenia. Wydaje się, że mogliśmy przez okazanie Pradze poparcia odegrać lepszą rolę w kryzysie sudeckim, a może zmienić nawet bieg wypadków, jeżeli chodzi o kapitulację monachijską. Nasze nieszczęsne uprzedzenia wobec Czechów, połączone z nadmiernym optymizmem naszej polityki zagranicznej i wiarą we własne siły zbrojne — te trzy elementy sprawiły, że nie zrozumieliśmy, iż Monachium było wyrokiem śmierci na Polskę... chyba, że byłaby się ona zgodziła na rolę lennika Niemiec.

Czy byłoby lepiej aby wojna wybuchła w roku 1938? W Anglii jest cała szkoła historyków, która sądzi, że należało przyjąć wojnę w roku 1938 a nawet ją sforsować — do polityków, wyznających tę zasadę należy Churchill. Szkoła ta uważa, że Niemcy owej doby były o wiele słabsze niż w roku 1939, że nie wzmocniły się wtedy jeszcze zakładami Skody, nie porosły w samoloty, czołgi, broń wszelkiego typu, podczas gdy Zachód niewielkie poczynił postępy i przygotowania w ciągu roku, jaki dzielił Monachium od wojny. Poza tym sądzi się, że wojna w roku 1938 wprowadziłaby do akcji — po chwili może wahania — Polskę, że front walki byłby większy i że Rosja sowiecka, związana sojuszem z Pragą, musiałaby się ruszyć. Innymi słowy doszłoby zaraz do wojny powszechnej, nie byłoby porozumienia sowiecko-niemieckiego, wojna trwałaby krócej.

Momenty te powinniśmy rozważyć z naszego punktu widzenia. Czy byłoby rzeczą korzystną dla Polski, ażeby wojna wybuchła już w roku 1938? Wydaje się, że odpowiedź brzmi: ,,tak''.

Uniknęlibyśmy może w ten sposób tego fatalnego rozziewu, hiatusu, jaki powstał w drugiej wojnie światowej — rozdzielając akcje wojenne na trzy jakby czy nawet cztery części, oderwane

od siebie: wojnę polsko-niemiecką, akcję przeciwko Zachodowi, wojnę przeciwko Jugosławii i Bałkanom, wojnę niemiecko-sowiecką. Nie wiadomo jednak czy można by uniknąć bardziej tragicznego rozdziału wojny — rozbicia jej na *dwie wojny w jednej:* albowiem wojna zaczęta w roku 1939 prowadzona była pod innymi hasłami, w imię wizji świata, świata otwartego, ujętej czy skodyfikowanej w Karcie Atlantyckiej; podczas gdy wojna zaczęta w roku 1941 atakiem Hitlera na Rosję podjęta była w imię innej wizji świata, świata zamkniętego, innego planu, innego zamiaru.

Cały ten problem należałoby rozpatrzeć w sposób beznamiętny. Kluczowym momentem jest dalej oczywiście pytanie czy Benesz gotów był w ogóle walczyć? Istnieją na ten temat dwie tezy. Jedna powiada, że Benesz może i gotów był do przyjęcia wojny z Hitlerem ale został całkowicie zdemoralizowany presją wywartą na nim przez Zachód, ażeby odwołał mobilizację. Od tego czasu szukał on już tylko pretekstu do zrzucenia z siebie ryzyka walki. Dlatego to wezwał na Hradczyn posłów Francji i Anglii, ażeby postawili mu pewnego rodzaju ultimatum, a zatem że on sam wymógł na nich oświadczenie, że nie może liczyć na pomoc Zachodu. Tego rodzaju oświadczenie potrzebne było Beneszowi, ażeby mógł wykazać własnemu gabinetowi, że Praga została zdradzona i że musi skapitulować. Druga teza powiada, że nawet po odwołaniu mobilizacji Benesz byłby gotów przyjąć walkę, że alianci sami, z własnej inicjatywy, a nie z sugestii Benesza, dali mu ostrzeżenie, które było niczym innym jak ultimatum. Benesz nie poddałby się jednak gdyby miał pomoc moralną — zwłaszcza Polski.

Należałoby zbadać, która teza jest prawdziwa. Jeżeli istotnie Benesz nie chciał w ogóle walczyć i był zdecydowany kapitulować od samego początku sporu sudeckiego, to wówczas widoki rozpętania wojny powszechnej w roku 1938 nie przedstawiały się realnie. Ale nawet przy przyjęciu takiej całkowitej negatywnej tezy — i wyjaśnieniu czy Benesz sam skłonił wysłanników Paryża i Londynu do dania mu ostrzeżenia, czy też była to akcja samodzielna z ich strony wydaje się, że brak poparcia ze strony Polski okazany w przede dniu mobilizacji czeskiej odegrał wielką rolę w ostatecznej decyzji Benesza.

10

Brak nam dotychczas krytycznego rozbioru wagi i znaczenia układu polsko-angielskiego. Jest rzeczą oczywistą, że z wiosną roku 1939 zawarcie tego układu powitano u nas jako nielada triumf. Trzeba powiedzieć otwarcie, że istotnie był to najlepszy układ jaki można było otrzymać, że realizował on — szkoda, że tak późno, bodaj za późno — marzenia francuskie o re-asekuracji angielskiej dla francuskiej sieci sojuszów, że dawał nam gwaran-

cję, że wojna przeciwko Polsce zmieni się — ze względu na światową pozycję Anglii — w wojnę powszechną.

Ale już wtedy można było snuć pesymistyczne domysły na temat sensu samego paktu. Był on bowiem od początku paktem obliczonym na jedną doraźną okazję: atak Hitlera na Polskę. Po wejściu wojsk sowieckich do Polski stało się rzeczą jasną nawet dla tych, co nie umieli czytać dokumentów dyplomatycznych, że układ polsko-angielski był tylko pomyślany jako pakt obronny w odniesieniu do Niemiec. Umocnił on podejrzenia pesymistów, że w tle niejako tego paktu poruszała się czy przesuwała gwarancja sowiecka.

Toteż kiedy zawarty został układ anglo-sowiecki w roku 1941 Londyn nie tylko wcale brutalnie skłonił rząd generała Sikorskiego do podpisania najszybciej układu z Rosją sowiecką — układu na pewno potrzebnego, ale źle interpretowanego, układu, którego istotny sens został zatajony przed naszym społeczeństwem — ale i walor sojuszu polsko-angielskiego począł szybko spadać. Było to nieuchronne następstwo tego, że układ polsko-angielski nie był celem samym w sobie, ale niejako wstępem do całego cyklu sojuszów. Że na tle sojuszu z potęgą sowiecką sojusz z Polską automatycznie się dewaluował.

II

Nie tylko nie mamy dotychczas krytycznego rozbioru wartości i implikacji sojuszu polsko-angielskiego, ale nie mamy żadnego poważnego opracowania stosunków polsko-angielskich w dobie drugiej wojny. Być może dlatego, że nie brak w tych stosunkach — jak właśnie moment skłonienia Sikorskiego przez Edena do podpisania układu z Majskim — chwil raczej niemiłych. Zapominamy dzisiaj, że lipiec 1941 przyniósł poważny rozłam w opinii polskiej w Anglii co do sensu układu Sikorski-Majskij. Rozłam ten zatuszowano, ale warto przypomnieć, że był to spór między optymistami — z Sikorskim na czele — a pesymistami — z Sosnkowskim na czele — co do konsekwencyj całego układu. Układ jakiegoś rodzaju był potrzebny, co więcej — konieczny, ażeby ratować tysiące Polaków z Rosji. Ale jeżeli już przyjmowało się układ typu takiego, jaki został zredagowany (przy czym co do okoliczności redagowania i roli odegranej w tym przez pewne czynniki natury jak najbardziej postronnej istnieją liczne relacje) to trzeba było odważnie przyjąć następstwa tego układu. Albowiem strona sowiecka — trzeba to przyznać na jej korzyść — nie taiła tego, że układ Sikorski-Majskij nie przywraca granicy ryskiej. Majskij powiedział to wyraźnie Sikorskiemu. Innymi słowy było rzeczą jasną dla każdego trzeźwo myślącego człowieka, że już w lipcu roku 1941 Polska traciła kresy wschodnie za cichą zgodą Zachodu i że wysoka pozycja Rosji sprawia, iż zwycięstwo uzyskane przyniesie jej rolę arbitra w Europie wschodniej.

Ten stan rzeczy zatajono przed opinią polską w kraju. Gdyby kraj został odpowiednio poinformowany o tej sytuacji, to kto wie jak by się kształtowało tworzenie ruchu podziemnego i czy doszłoby potem do Powstania Warszawskiego? Ze strony władz londyńskich dokonano rzeczy karygodnej w formie nieujawnienia całej prawdy, która jasno rysowała się przed oczyma wszystkich obserwatorów nieomamionych naiwną propagandą nagminnych polskich optymistów. Optymizm w połączeniu z lekkomyślnością i brakiem odpowiedzialności kierował naszymi poczynaniami w owym tragicznym lipcu roku 1941.

Momenty te czekają rzetelnego opracowania.

12

Oświetlenia wymagają takie problemy jak Powstanie Warszawskie, odpowiedzialność za to powstanie, a potem problem taki jak powrót Mikołajczyka do Polski. Jeżeli chodzi o Powstanie Warszawskie to po dziś dzień nie ustalono, gdzie spoczywa odpowiedzialność za ten krok: czy Londyn całkowicie przesądził sprawę, a jeżeli tak, to kto? Wiele wskazuje na to, że istotna decyzja leżała w rękach Mikołajczyka. Ale nawet tego nie zdołano obiektywnie ustalić.

Powstaje pytanie, czy Mikołajczyk, powodowany kalkulacjami, które nie są w pełni znane (może chęcią powiedzenia Stalinowi w Moskwie, że on panuje w Warszawie?), istotnie zdecydował o wybuchu powstania? Składanie odpowiedzialności na ludzi takich jak gen. Bór-Komorowski wydaje się o tyle nieuzasadnione, że po pierwsze decyzja była w Londynie, a powtóre nie można wymagać od człowieka podziemia ażeby orientował się w sytuacji międzynarodowej. Uważam, że sytuacja gen. Bora-Komorowskiego przypominała sytuację człowieka, który siedząc w piwnicy ma wnioskować z nóg osób przechodzących pod oknami o sytuacji na ulicy. Ale pogląd jaki można sobie było wyrobić w Londynie był o wiele jaśniejszy — i o wiele bardziej pesymistyczny. Streszczał się on w tym, że Niemcy są zbyt już słabi ażeby odeprzeć Rosjan, ale dosyć silni ażeby zniszczyć nas. Że Zachód nie może pomóc wiele, nawet gdyby chciał, ze względu na dystans; że Rosja nie pomoże, bo jest to wbrew naturze niejako akcji rosyjskiej ujawnionej od chwili stworzenia Komitetu Wolnej Polski.

Ustalenie odpowiedzialności za Powstanie Warszawskie jest sprawą dalej pilną. Istnieje teza, że do Powstania musiało dojść, albowiem istniała zbyt wielka koncentracja sił w stolicy. Ale kto dopuścił do powstania tej koncentracji? O wiele więcej tragicznej prawdy wieje z relacyj Polaków przybywających z Polski — powiadają oni, że do powstania dojść musiało, albowiem musiała się wyładować, chociażby na czas krótki, straszliwa nienawiść do okupanta: że Polacy musieli wywalczyć, czy próbować wywalczyć własnymi siłami, stolicę.

Ale to nie zwalnia nas jeszcze od zbadania do gruntu tragicznego rozdziału zwanego Powstaniem Warszawskim.

13

Jest rzeczą znamienną, że w atąkach na Mikołajczyka zapomina się całkowicie niemal o jego roli jeżeli chodzi o wywołanie czy decyzję co do Powstania Warszawskiego, natomiast cały ogień oskarżeń kieruje się na niego w związku z jego powrotem do Polski. Zapomina się o tym, że w roku 1945 zaślepienie Zachodu co do zamiarów régime'ów komunistycznych i samej Rosji było tak wielkie — albowiem było to zaślepienie świadome, chciane — że żadne dowodzenia teoretyczne nic nie potrafiły wskórać. Zachód uważał, że można z komunistami współpracować. Trzeba było dopiero trupa Jana Masaryka na podworcu pałacu Czerninów w Pradze i ucieczki Mikołajczyka z Warszawy, ażeby otworzyć oczy na to, że taka współpraca jest niemożliwa. Nie trzeba dodawać, że trup Masaryka na bruku Pragi wywołał większy wstrząs aniżeli ucieczka Mikołajczyka. Ten fakt był początkiem zwrotu w opinii Zachodu.

14

Oto kilka z tych tematów, które należałoby — jak mi się zdaje — pełniej oświetlić i wyjaśnić. Wszystkie one są sporne, kontrowersyjne; wszystkie muszą wzbudzić polemikę. Ale nadszedł już chyba czas, ażeby zbadać je spokojnie, ażeby ustalić odpowiedzialność, ażeby rozwiać cień legendy, jeżeli była to istotnie tylko legenda (jak w sprawie inicjatywy wojny prewencyjnej z Niemcami), ażeby uprzytomnić sobie gdzie popełniliśmy błędy. Tego rodzaju robota jest wskazana nie tylko jako służba prawdzie i historii — ale jako zabieg w dziedzinie, którą można by nazwać higieną narodową.

(Dokończenie nastąpi.)

Zbigniew GRABOWSKI

"Gospodarka Narodowa"

(W DWUDZIESTĄ PIĄTĄ ROCZNICĘ)

I. — TŁO

Pomimo krótkiego okresu czasu, który dzieli nas od lat przedwojennych, ludzie, fakty i sytuacje tej tak niedawnej przeszłości zaczynają powoli ginąć we mgle, jeśli nie całkowitej niepamięci — to w każdym razie dostatecznie gęstej na to, by kontury i sens wydarzeń straciły swoją ostrość.

Nawet sprawy najważniejsze wymagają przypomnienia i sklasyfikowania. Tak na przykład trzynastolecie 1926-1939, które dla jednych jest nieprzerwanym okresem dobrych rządów ,,sanacji'' było w rzeczywistości podzielone na parę podokresów, których zacietrzewieni zwolennicy, lub przeciwnicy nie chcą widzieć. Być może, że w przyszłości ustalić będzie można szereg elementów, które pozwolą na trwały podział według jakichś ostatecznych kryteriów. Tymczasem wobec istnienia tendencji do zamazywania raczej, niż do wyjaśniania, trzeba podjąć próbę prowizorycznego przynajmniej ustalenia niektórych słupów granicznych, czy — jak to było w modzie mówić przed rokiem 1939 : linii podziału.

Konstytucja roku 1921, która dla wielu nabrała później wdzięku utraconej doskonałości, w okresie bezpośrednio przed przewrotem majowym była oceniana surowo, nie tylko przez późniejszych zwolenników obozu Marszałka Piłsudskiego. Mnożyły się prace i artykuły, wykazujące konieczność wzmożenia władzy wykonawczej. Dwuletni okres rządów Władysława Grabskiego wprowadził wprawdzie pewną dozę porządku do administracji państwa, a zwłaszcza do tak chwiejnych przedtem finansów, ale przekonanie o potrzebie silnych rządów, jeśli się tak można wyrazić : ,,wisiało'' w powietrzu. ,,Sejmowładztwo'' było niepopularne.

Na prawicy o potrzebie reformy konstytucji pisał prof. Dubanowicz. Myśl o zamachu krążyła po głowie nie tylko Marszałkowi Piłsudskiemu. Wiadomo, że o konieczności przewrotu przemyśliwał także ówczesny dowódca Okręgu Korpusu Lwowskiego, gen. Władysław Sikorski, który zresztą wówczas był dość zasugestionowany przykładem świeżego jeszcze i nieobarczonego całą późniejszą treścią tego słowa : faszyzmu włoskiego.

Bezpośrednią przyczyną zamachu było stworzenie rządu

„Chieno-Piasta" przez Wincentego Witosa i obawa, że na zasadzie „paktu lanckorońskiego" — prawica i prawe-centrum będą się starać utworzyć trwałą koalicję rządową, a i reformę konstytucji na swoją korzyść. Za oddziałami wojska, które na rozkaz marsz. Piłsudskiego „poszły na most" stała więc lewica. Ciągnący ulicami Warszawy pochód po dokonanym przewrocie miał w znacznym stopniu charakter manifestacji robotniczej. Są to fakty o których się zapomina — ale wówczas miały one swoją wagę i charakter.

Marsz. Piłsudski, przybywając po zakończonych walkach do Komendy Miasta, oświadczył: „Jestem bardzo zmęczony. Niech nam Bóg przebaczy to co się stało". Nie był to okrzyk triumfu podobny do wykrzykników Mussoliniego. Pierwsze posunięcia zwycięskiego wodza poszły po linii łagodzenia sytuacji. Władza została złożona w ręce marszałka Sejmu, Rataja. Sejm większością głosów lewicy i centrum zalegalizował poniekąd zamach, wybierając Marszałka Piłsudskiego Prezydentem Rzeczypospolitej. A gdy on tej godności nie przyjął, taż sama większość, na wniosek posła Mariana Zyndram-Kościałkowskiego wybrała mało znanego profesora Ignacego Mościckiego, którego główną kwalifikacją było to, iż był on kandydatem tegoż Marszałka Piłsudskiego. I ciągle taż większość w Sejmie w tym samym czasie uchwala pierwszą „małą" reformę Konstytucji.

Zestawmy więc raz jeszcze fakty: zamach dokonany na tle dość powszechnego przekonania o niemożliwości trwania „sejmowładztwa", w oparciu o lewicę. Zalegalizowany przez koalicję centrowo-lewicową. Po tamtej stronie „mostu" znalazła się przede wszystkim endecja i wszyscy ci, którzy do niej ciążyli.

Zgodnie z charakterem lewicowym zamachu przeprowadzono szereg ustaw społecznych. Socjalistyczny przywódca, Daszyński, późniejszy marszałek Sejmu, pisze książkę o Marszałku Piłsudskim. Ale jeśli jakieś imię miałoby być symbolem tego pierwszego okresu trzynastolecia, to przede wszystkim nazwisko prof. Kazimierza Bartla. Premier i wice-premier kolejnych rządów uosabia on najlepiej te lata.

Nieśwież, Dzików — są to posunięcia, które wprowadzają zmianę kierunku rządów, ale jeszcze nie zmianę metody. Owa zmiana kierunku dotyczy głównie wsi. Zniesiono Ministerstwo Reform Rolnych. Ministrem Rolnictwa zostaje konserwatysta. Ustawowy kontyngent parcelacyjny (200 tysięcy hektarów rocznie) nie jest wykonywany, przy tym reforma jest stosowana przede wszystkim w odniesieniu do majątków niemieckich, co nadaje jej charakter regionalny. Mnożą się wyłączenia z ustawy o reformie rolnej dla tzw. gospodarstw wzorowych. Wreszcie na zasadzie specjalnych pozwoleń dopuszczona jest tzw. „dzika" parcelacja, która sprawia, że poważna część ziemi przechodzi w ręce zamożniejszych chłopów (według dzisiejszej terminologii „kułaków") a nie w ręce bezrolnych, czy małorolnych.

Jeśli chodzi o przemysł, to pierwsze lata wypełnione są dys-

kusjami między „liberałami" a „interwencjonistami". Ogłoszone zostają „rozmowy premiera Kazimierza Bartla z przemysłowcami". Specjalna Komisja Ankietowa, która w latach 1928-1929 przeprowadziła pogłębione studia poszczególnych działów przemysłu dobrana była spośród reprezentantów inicjatywy prywatnej, jak i zwolenników etatyzmu. W każdym razie w zakresie przemysłu nie ma tak wyraźnego zwrotu ku konserwatyzmowi, jak w dziedzinie rolnictwa.

O wyborze momentu zamachu majowego 1926 roku decydowały względy natury personalno-politycznej. Ale wypadł on w momencie wyjątkowo pomyślnej koniunktury gospodarczej. Strajk górników w Anglii otworzył dla węgla polskiego nowe rynki zbytu, na bardzo korzystnych warunkach. Polityka wysokich cen rolnych, stosowana przez kolejnych prezydentów Stanów Zjednoczonych : Harding'a, Coolidge'a i Hoover'a zapewniała zbyt artykułów rolnych na warunkach tym lepszych, że cała Europa Zachodnia przeżywała wówczas okres dobrej koniunktury.

Na tym tle wojna celna z Niemcami, która w przekonaniu kierowników polityki Rzeszy miała doprowadzić do załamania się słabego organizmu gospodarczego Polski stała się bodźcem do rozwoju nowych gałęzi przemysłu i dodatkowej aktywności gospodarczej.

Pożyczka dillonowska z roku 1927 udzielona zostaje Polsce przy klauzulach mniej „kolonialnych" niż dotychczasowe pożyczki. (Pożyczka włoska, zaciągnięta przez rząd Grabskiego przewidywała, iż w razie komplikacji międzynarodowych zarząd Monopolu Tytoniowego, pod którego zastaw została udzielona, przechodzi w ręce włoskie i na budynkach jego powiewać będzie flaga włoska.) Oprocentowanie pożyczki dillonowskiej jest jeszcze bardzo wysokie, ale wobec drożyzny pieniądza w kraju nie razi. Odrzucona zostaje propozycja Harrimana elektryfikacji południowo-zachodniej Polski. (Na tle późniejszych wydarzeń był to niewątpliwie błąd. Warunki nie były gorsze od dillonowskich, a przyśpieszało to uprzemysłowienie kraju i zapewniało stan zatrudnienia w latach kryzysu. Zwolennikiem układu z Harrimanem był minister Robót Publicznych, socjalista, Moraczewski). Przyśpieszona jest budowa Gdyni.

Wysoki stan zatrudnienia, wysokie płace, dobrobyt wsi : sprawy gospodarcze idą dobrze i są na dalszym planie. Na pierwszy plan wybijają się sprawy polityczne : wybory roku 1927, konflikt z Sejmem, Trybunał Stanu. Później : kongres krakowski „Centrolewu" i — Brześć.

Brześć i wybory roku 1930 to nowa data, nowy rozdział. To początek drugiego okresu trzynastolecia. Okres pierwszy, lata 1926-1930 są epoką twórczą. Lata 1930-1935 są epoką konsolidacji.

Koniec „bartlowania", koniec „demokracji kierowanej". Pada zapowiedź „trzeszczenia kości". Linia podziału biegnie te-

raz inaczej. Odpadają od obozu rządowego partie chłopskie (poza nielicznymi „kadzichłopami'') i socjaliści. Kraj dzieli się na zwolenników i przeciwników dyktatury Marszałka Piłsudskiego. Podział ten idzie poprzez klasy społeczne i ugrupowania polityczne, ale w sumie oznacza wielkie przesunięcie partii rządowej — B.B.W.R. ku prawicy i ku tendencjom zachowawczym.

Symbolem tych lat są w pierwszej linii Sławek i Prystor, a w dalszej perspektywie Janusz Jędrzejewicz, Pieracki, Beck, Matuszewski. „Pułkownicy''. Tylko pułkownicy nie z tego samego pokolenia i nie tego samego stosunku do Marszałka Piłsudskiego.

Dla Sławka i Prystora — Piłsudski to „Ziuk'', to „towarzysz Wiktor'' z pracy partyjnej. Wódz, ale i kolega z konspiracji. Janusz Jędrzejewicz — to pokolenie przejściowe, świadek wysiadania Piłsudskiego z tramwaju „socjalizm'' na „przystanku Niepodległość''. Ci inni — to dwudziestolatki z roku 1914, błyskotliwi oficerowie do zleceń, wyciągnieci wolą Piłsudskiego na zawrotne wyżyny, oddzieleni od „komendanta'' nie tylko dystansem wieku, bałwochwalczym stosunkiem, ale i własnym bez niego „nieistnieniem''.

W tym okresie 1930-1935 dokonywało się stopniowe przesunięcie władzy z rąk ludzi roku 1905, czy później lat 1908-1912, do rąk „pierwszej brygady'' z roku 1914. Ci ostatni mieli zawsze do Piłsudskiego stosunek jak do groźnego Bóstwa. Byłoby rzeczą ciekawą, choć dzisiaj już niemożliwą do ustalenia, jak często który z nich miał w życiu swoim okazję rozmawiania z Piłsudskim. Byli tacy którzy latami całymi nie widzieli go, pomimo, że w jego imieniu kierowali ważnymi działami aparatu państwowego. O nich to myślał Bartel, mówiąc z goryczą „o fałszywych tłumaczach Pisma Świętego''.

Polska tych lat nie jest państwem totalistycznym. W Sejmie zasiada opozycja. Gazety opozycyjne są często konfiskowane, ale się ukazują. Forma rządów w Polsce podobniejsza jest do dyktatur bałkańskich : rumuńskiej, jugosłowiańskiej, węgierskiej — niż do dyktatury włoskiej, czy niemieckiej. Lecz są to niewątpliwie rządy strachu, zaostrzone przez narastające trudności gospodarcze i społeczne. Polska zostaje wciągnięta w wielki kryzys gospodarczy, pogłębiony przez szczególnie katastrofalną sytuację rolnictwa. Wiara w możność przyciągnięcia kapitałów zagranicznych, jeśli Polska utrzyma się w roli dobrego płatnika skłania do stosowania bardzo ortodoksyjnej polityki finansowej : utrzymania za wszelką cenę kursu złotego i wolności dewizowej. Uniemożliwia to „nakręcanie koniunktury''. Obrazem tych lat staje się chłop, dzielący zapałkę na cztery części.

Są kraje, które nie są zdolne do wytrzymywania polityki deflacyjnej. We Francji, niezależnie od reżymów, od dwóch stuleci nie utrzymał się długo żaden rząd, który stosował zarządzenia deflacyjne. W Polsce ciężkie lata kryzysu kopały coraz większą przepaść między obozem rządowym, a społeczeństwem.

Charakterystyczne jest, że kolejni premierzy tych lat — Sła wek, Prystor, Jędrzejewicz, Kozłowski — wyszli z lewicy, lu kół lewicujących. Tylko, jak często bywa z byłymi lewicowcam — pełni byli niewiary i pogardy dla lewicowości, a także dla nie których haseł społecznych. Uważali, że ich własna ewolucja jest t jedyna droga, którą dyktuje rozsądek i interes Państwa. Ni rozumieli, że są inni, którzy myślą i czują, tak jak oni sam przed laty. Nie zdawali sobie sprawy jak daleko odeszli od swyc pierwotnych poglądów. Odczuwali natomiast dobrze wrogoś znacznej części społeczeństwa.

Dystans między rządem a społeczeństwem rośnie na tl kompleksu goryczy, tak silnego u Marszałka Piłsudskiego a przejętego przez jego współpracowników. U Marszałka Piłsud skiego był to rezultat długich lat walki, toczonej często na tl niezrozumienia społeczeństwa: zrodzony z okresu akcji rok 1905 („bandyta spod Rogowa"), kompleks ten rozwijał si poprzez lata Legionów, okres pełnienia funkcji Naczelnika Pań stwa, śmierć Narutowicza, odosobnienie Sulejówka — aż wresz cie widział on dookoła siebie pełno „zaplutych karłów". U Sław ka i Prystora podobne nastawienie mogło być zrozumiałe na tl analogicznych przeżyć. Ta nuta goryczy i pogardy u Jędrzeje wicza była już tylko naśladownictwem i pozą intelektualną, a Kozłowskiego — wręcz groteską.

Ci inni, młodzi, też nauczyli się pogardliwego stosunku d społeczeństwa. Wszak jeszcze w Pierwszej Brygadzie śpiewali „Nie chcemy już od was uznania..."

Jeśliby znaczyć wykres owej pogoni za niepopularnością, t szczytowy moment wypadłby na okres premierostwa Jędrzeje wicza i Kozłowskiego. Widomym znakiem jego staje się stwo rzony przez tego ostatniego obóz koncentracyjny w Berezie Ka tuskiej.

Śmierć Marszałka Piłsudskiego w maju 1935 roku zamyk ten drugi okres.

Następuje trzeci, najkrótszy, rok zaledwie trwający „ro dział" trzynastolecia.

Na początku tygodnie „interregnum". Na kilkanaście d przed śmiercią Marszałka Piłsudskiego ogłoszone zostaje szczy towe dzieło jego obozu: konstytucja kwietniowa, mająca zape nić trwałość, siłę i ciągłość rządów. „Rządzić nami ma prawo' oświadcza Sławek bezpośrednio po śmierci Marszałka Piłsu skiego. Prawo — to taż właśnie konstytucja. Ale oto ważn problem polityczny: konstytucja nie zawiera przepisów przejści wych. Nie wiadomo, czy „odpowiedzialny przed Bogiem i hi torią", urzędujący Prezydent ma ustąpić, czy też urzędować c końca swego siedmiolecia. Konflikt między Sławkiem a prez dentem Mościckim rodzi się już przy pierwszym akcie: spraw nominacji Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych. Kandydate premiera Sławka jest gen. Dąb-Biernacki. Prezydent, powołuj się na rozmowy z Marszałkiem Piłsudskim mianuje gen. Rydz

Śmigłego. Dla zwolenników Sławka Prezydent jest uzurpatorem. Dla innych — przemawia za nim fakt, że dwukrotnie był wyznaczony na to stanowisko przez Marszałka Piłsudskiego. W dyskusjach między spadkobiercami powołanie się na to, że było się wyznaczonym do pełnienia jakichś funkcji przez Marszałka Piłsudskiego jest atutem decydującym. Cień Marszałka rządzi po jego śmierci...

Sławek kieruje swe wysiłki na sprawę ustawy o ordynacji wyborczej. Sama konstytucja nie wprowadzała jeszcze obozu rządowego w rodzaj stanu odosobnienia wobec innych ugrupowań i wynikający z niej bojkot wyborów, uchwalony przez opozycję i partii politycznych. Uczyniła to dopiero ordynacja wyborcza wszystkich odcieni.

Śmierć Marszałka Piłsudskiego wywołała wstrząs. Tłumy płaczące na pogrzebie, to nie tylko „piłsudczycy", to szereg ludzi bez jasno określonych przekonań, którzy widzieli w zmarłym „gospodarza" Polski. Szybkie rozpisanie wyborów na zasadzie poprzedniej ordynacji wyborczej, dałoby obozowi rządowemu stosunkowo najlepszy rezultat, jakiego mógł się spodziewać. Legenda Marszałka Piłsudskiego, która już przed jego śmiercią oddzieliła się od poczynań jego współpracowników (wiele posunięć niepopularnych tłumaczono złym poinformowaniem, lub chorobą Marszałka) mogła teraz działać na korzyść jego spadkobierców. Bano się raptownych przemian, skoków w nieznane. Ludzie byli pod wrażeniem śmierci, pogrzebu. Był to moment, gdy Piłsudski był najpopularniejszy.

Sławek poszedł po linii niewiary w społeczeństwo. Nie zdawał sobie sprawy, że kilkanaście lat szkoły powszechnej polskiej zmieniło wiele. Że w najzapadlejszych wsiach, gdzie przed rokiem 1914 mieszkali „tutejsi", żyło młode pokolenie, któremu szkoła i służba wojskowa otworzyły inne drogi myślenia. W miastach przy postępującym mimo wszystko uprzemysłowieniu waga klasy robotniczej rosła. „Elitarna" ordynacja wyborcza oddzielała szersze masy od wpływu na losy państwa, cofała Polskę do rodzaju reżymu „notablów", niemożliwego już po roku 1905, a cóż dopiero po kilkunastu latach powszechnego prawa wyborczego.

Napięcie pomiędzy premierem Sławkiem, a prezydentem Mościckim dochodzi do punktu szczytowego we wrześniu. Konstytucja dawała Prezydentowi potężną broń, nawet jeśli miałby być zmuszony do ustąpienia : miał on możność wyznaczania swojego kandydata. Wówczas między kandydatem Zgromadzenia Narodowego (połączonego Sejmu i Senatu), a kandydatem ustępującego Prezydenta decydował plebiscyt. Prezydent Mościcki rzucił nazwisko swego kandydata : Kazimierz Bartel. Sławek wiedział, że Sejm i Senat, wybrane na zasadzie nowej ordynacji wyznaczą jego kandydaturę. Lecz wiedział także, że w razie plebiscytu, przy kontr-kandydaturze Bartla nie on wygra.

Ustąpienie Sławka kończy „interregnum" i rozpoczyna wła-

ściwy trzeci okres trzynastolecia. Jest on w całości wypełniony przez rząd Kościałkowskiego.

Od przewrotu majowego, aż po uchwalenie ordynacji wyborczej latem 1935 roku rozwój sytuacji w Polsce szedł po linii wzmagania się stopnia ,,autorytatywności'' rządów i pogłębiania się dystansu między obozem rządowym a opozycją. Cechą okresu rządów Kościałkowskiego jest próba zawrócenia z tej drogi i dojścia do porozumienia z częścią opozycji (P.S.L. i P.P.S.). Jest to także próba zmiany metody rządów, przez zbliżenie jej do wzorów z okresu ,,bartlowania'', a odejście od stylu ,,pułkownikowskiego''.

Otrzymuje dymisję cała grupa ministrów (Wacław Jędrzejewicz, Floyar-Reichman, Paciorkowski, Zawadzki, Koc, Krzysztof Siedlecki i inni). Z ,,pułkowników'' w rządzie pozostaje tylko Beck (utrzymany przez prez. Mościckiego) i gen. Kasprzycki (utrzymany przez gen. Śmigłego-Rydza). Reszta rządu to liberalizująca lewica Obozu (sam Kościałkowski, Kwiatkowski, Poniatowski, Świętosławski. Ten ostatni podpisał w roku 1930 protest profesorów przeciwko Brześciowi), lub także liberalizujące centrum (Raczkiewicz, Jaszczołt). Wciągnięci zostają przedstawiciele innych ruchów niepodległościowych — nie I-ej Brygady (Ulrych, b. ,,Zarzewiak'', Górecki — II-ga Brygada). Dokonane zostają zmiany na drugorzędnych stanowiskach. Między innymi rozbita zostaje ,,mafia'' szefów Biur Personalnych Ministerstw, a szereg kierowników tych biur otrzyma dymisję.

Prawe skrzydło obozu, zwolennicy rządów ,,silnej ręki'' przechodzą od razu do mniej lub więcej otwartej akcji zwalczania rządu. Jednym z ośrodków tej akcji staje się nowy ,,sławkowski'' parlament : Sejm i Senat. Z największą trudnością rządowi udaje się uzyskać pełnomocnictwa, dzięki którym w ciągu jednego miesiąca przeprowadza on czterdzieści kilka dekretów, regulujących szereg zaległych spraw. W zakresie gospodarczym — to polityka ,,umiarkowanego nakręcania koniunktury'' (zwalczana między innymi przez Matuszewskiego i Koca). W dziedzinie społecznej — to początek trzeciego okresu realizacji ustawowych (część z nich zostaje dokończona przez Kościałkowskiego już jako ministra Opieki Społecznej) — pierwsze dwa okresy, to lata Marszałka Piłsudskiego, jako Naczelnika Państwa i bezpośrednio po przewrocie majowym. W zakresie mniejszościowym, to epoka ,,umowy normalizacyjnej'' z Ukraińcami (zawartej przez Kościałkowskiego, jako ministra spraw wewnętrznych) i odparcie pierwszego ataku antysemickiego, montowanego przez prawe skrzydło obozu, przy poparciu endecji (sprawa uboju rytualnego). Inny kierunek ataku idzie na politykę rolną min. Poniatowskiego : przyśpieszenie reformy rolnej, poparcie polityki hodowlanej (mała własność) kosztem zaniechania kosztownej interwencji zbożowej (wielka własność); sprawa gospodarki lasów państwowych.

Sławek wycofuje się z walki : rozwiązuje B.B.W.R. Sejm

składa się z luźnych grup i „kół pułkowych". Rej wodzą przeciwko rządowi w Senacie Janusz Jędrzejewicz, w Sejmie — Prystorowa i konserwatyści wileńscy. Poza parlamentem cierpliwą akcję przekonania nowego wodza sił zbrojnych, gen. Śmigłego-Rydza o potrzebie rządów „silnej ręki" podejmuje Miedziński. „Lampka Wina" dla Legionistów z I-ej Brygady już w końcu października 1935 roku jest pierwszym krokiem Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych na arenie politycznej uczynionym przy pomocy Miedzińskiego. Siły antyrządowe puszczone więc są w ruch szybko.

Pojawiają się na widowni nowi „pułkownicy", tym razem z GISZ'u. Przygotowują oni nastanie „systemu hetmańskiego" już od grudniowej podróży gen. Rydza-Śmigłego do Poznania. Na dolnych szczeblach administracji nie trudno się zorientować „kędy wiatr wieje". Rozpoczyna się sabotaż akcji rządowej, w którym celuje szczególnie aparat bezpieczeństwa i jego kierownik, wice-minister Kawecki. Zajścia w Przytyku, ułatwione przez „zniknięcie" policji w godzinach z góry wiadomych; szereg strajków okupacyjnych dostarczają materiału do wykazania, że rząd „rozpuszcza" naród. Następuje konfiskata „rządowej" „Gazety Polskiej", prowadzącej pod kierownictwem Miedzińskiego i Matuszewskiego coraz jawniejszy atak na rząd. Chodzi w danym wypadku o artykuł wyraźnie przeciwrządowy, który miał się ukazać w momencie podróży premiera zagranicę. Dymisja wojewody Świtalskiego, po zajściach krakowskich i odwołanie strajku powszechnego przez negocjacje z Niedziałkowskim doprowadzają kryzys w łonie obozu rządowego do punktu szczytowego. Stanowisko Rydza w rozmowie z Kościałkowskim decyduje o upadku rządu i zaniechaniu prób porozumienia z opozycją lewicową.

Dzień 12 maja 1936 roku, pogrzeb serca Marszałka Piłsudskiego na Rossie jest ostatnim, w którym publicznie zachowany jest porządek osób przewidziany przez nową konstytucję: Prezes Rady Ministrów idzie bezpośrednio po Prezydencie Rzeczypospolitej, a przed Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych.

W trzy dni później obejmuje władze ostatni, przedwojenny rząd gen. Sławoj-Składkowskiego. Zmiany personalne są niewielkie, ale na pierwszą radę ministrów przyjeżdża Generalny Inspektor Sił Zbrojnych, na którego pojawienie się rząd oczekuje przed gmachem Prezydium. Nowy rząd powstaje pod hasłem „Obrony Państwa". „Idę na patrol z polecenia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i Pana Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych" — oświadcza prasie nowy premier. „System hetmański" dojrzał. Formalną sankcję otrzyma w trzy miesiące później w okólniku o „drugiej osobie", zmieniającym w ten uproszczony sposób ład konstytucyjny.

Jest to początek czwartego, ostatniego okresu trzynastolecia.

Rząd generała Składkowskiego powstał na tle kompromisu

Rydza z Prezydentem. Prezydent poświęcił Kościałkowskieg i jego próby dojścia do porozumienia z lewicą opozycyjną za cen udzielonego mu poparcia wojska. Wielka rewia wojskowa n Polu Mokotowskim, 31 maja 1936 roku, na jubileusz dziesięcic lecia urzędowania Prezydenta, na której Rydz ,,druga osoba stoi za Mościckim jest widomym znakiem tego poparcia.

Kilka dni przedtem gen. Rydz-Śmigły występuje w now roli ,,wodza narodu'', powierzając misję tworzenia Obozu Zjed noczenia Narodowego — ,,OZON'u'' pułkownikowi Adamow Kocowi.

Nie ma już mowy o ustąpieniu Prezydenta. Sławek schodz na dalszy plan. Na rok 1940 przygotowywane jest objęcie prezy dentury przez Rydza, który tymczasem zajmuje się wojskiem OZON'em i swoją popularnością.

Już Mackiewicz zwracał uwagę na dziwny objaw stosunko wej popularności Rydza, przy niepopularności Piłsudskiego. Krą żyły legendy na temat lewicowości Rydza (mówiono na przykład że przebijana wówczas przez ogród Saski ulica nazywać się będzie ulicą Rydza — bo to ,,przedłużenie Marszałkowskiej, tyl ko trochę na lewo''). Być może, że mieszały się tu wspomnienia udziału Rydza w krótkotrwałym rządzie ,,lubelskim'' Daszyń skiego z 1918 roku. Nie orientująca się w rozgrywkach w łonie obozu rządowego opozycja, skłonniejsza była nieraz do szukania porozumienia z Rydzem i ,,wojskiem'', niż z liberalniejszymi, ,,cywilnymi'' elementami rządu. Zresztą upadek rządu Kościałkowskiego oznaczał przerwanie rokowań z opozycją i scementowanie obozu rządowego w sensie nawrotu do metod sprzed 1935 roku.

Stpiczyński próbuje pozyskać sympatie części lewicy dla Rydza, jako dla ,,syna chłopskiego''. Nieudana w Nowosielcach kończy szybko ten okres. Już w czasie podróży do Francji Rydz występuje nie tylko jako szef wojskowy, ale jako czynnik nadrzędny polityki zagranicznej (sprawa roli Becka w rozmowach z Francuzami). Nadany mu przez Prezydenta order Orła Białego i buława marszałkowska wzmacniają jego autorytet.

Lata 1935-1937 charakteryzuje powstanie szeregu klubów w łonie obozu rządzącego. ,,Nowy Świat'' później ,,Zaczyn'', ,,Zespół'', grupa ,,Polityki'', klub ,,11 Listopada'' itd. Szczególnie bliski Rydza jest klub ,,11 Listopada'', któremu przewodniczy minister Sprawiedliwości, Grabowski. Jest to nowy element w rządzie, o przeszłości endeckiej (należał do młodzieży, która manifestowała przeciw Narutowiczowi w 1922 roku). Pod jego kierownictwem Ministerstwo Sprawiedliwości stawia sobie za zadanie ,,sanację sanacji'', to jest walkę z nadużyciami. Wszczęte zostają z rozgłosem dwie sprawy : Dłouhego i Parylewiczowej. Obydwie nie dają pożądanego rezultatu. Zarzuty przeciw Dłouhemu okazują się niesłuszne — z powrotem zostaje przyjęty do służby. A sprawa Parylewiczowej zamiast oczyścić atmosferę, odkrywa szereg plam, które nie dają się przylepić do

poprzednich rządów (co było intencją ministra Grabowskiego) a brudzą cały obóz.

W lutym 1937 roku ogłoszona zostaje deklaracja i rozpoczyna się tworzenie OZON'u.

Rok 1937 jest rokiem strajku chłopskiego i nowej „pacyfikacji" w Małopolsce Wschodniej. Rząd „trzyma porządek" żelazną ręką, ale polityka robi się gdzie indziej. OZON przygotowuje się do objęcia władzy w państwie w maju roku 1940, w chwili ustąpienia Prezydenta. Tymczasem szuka porozumienia z różnymi odłamami młodzieży narodowej, ONR'u przede wszystkim. Koncesją dla nich mają być ustawy antysemickie, rodzaj obywatelstwa drugiej klasy dla Żydów. Przygotowywane są projekty ustaw gospodarczych, wzmacniających rolę kierowniczą i kontrolę państwa. W zakresie polityki zagranicznej, w chwili najwyższego napięcia, najważniejsze decyzje zapadają też poza rządem, na radach pięciu (Mościcki, Rydz, Składkowski, Kwiatkowski, Beck). Przedstawiciele OZON'u jeżdżą na kongresy norymberskie, szukają natchnienia we wzorach włoskich i niemieckich.

W roku 1938 nowe wybory kładą kres parlamentowi sławkowskiemu, rozwiązanemu przed czasem, dla otwarcia drogi ozonowemu Sejmowi i Senatowi. Marszałkowstwo tego ostatniego (a więc i przewodnictwo Zgromadzenia Narodowego przy wyborach prezydenckich w 1940 roku) jest dla Miedzińskiego nagrodą za torowanie dróg nowego „Wodza Narodu".

Polityka Rydza zbliżenia z endecją wszelkich odcieni (z „Arkonią" włącznie) odsuwa na bok „starych piłsudczyków". Z goryczą śledzą oni praktyki „rydzowców" przeciwko tradycjom obozu. Przypominają faszyzujące tendencje Rydza i jego dziwną rolę w organizacji „Orła Białego" w 1927 roku. Strzał samobójczy kończy życie Sławka.

Czwarty okres trzynastolecia w jednym różni się od trzech poprzednich : przez lata całe ośrodkiem akcji był przede wszystkim rząd. BBWR, czy inne ugrupowania obozu wyznaczoną miały rolę „współpracy z rządem". Teraz rząd schodzi na plan administracyjnej „ariergardy" kończącego się okresu. Można widzieć premiera Składkowskiego w tak niepasującej do niego roli obrońcy masonerii na trybunie sejmowej. Ministrowie i ministerstwa „bronią się" przed inicjatywami ozonowymi. Inicjatyw tych jest dużo. Stoi za nimi nowe pokolenie „pułkowników", przygotowujących się do objęcia w roku 1940 ministerstw i województw.

Tylko... dnia 1 września 1939 roku wybuchła wojna...

II. — APARAT RZĄDOWY

Zalążkiem aparatu rządowego Polski między dwoma wojnami był nieliczny zespół urzędników Rady Regencyjnej. Poszczególne departamenty rekrutowały swych współpracowników

wśród obywateli Królestwa Polskiego, czy innych ziem byłego zaboru rosyjskiego. Zaraz po załamaniu się państw centralnych do Warszawy napłynęła duża fala urzędników byłej Galicji. Później, wskutek repatriacji, przybyło wielu kresowców i uciekinierów z Rosji, których część wylądowała na urzędach państwowych. Wielkopolan było najmniej. Uprawiali oni przez pierwsze lata politykę separatyzmu i boczenia się na Warszawę, co uczyniło koniecznym stworzenie specjalnego ministerstwa byłej dzielnicy pruskiej.

„Sejmowładztwo" pierwszych lat istnienia niepodległego państwa było tym groźniejsze, że administracja państwowa była świeżej daty, improwizowana w pośpiechu i nie miała ani tradycji, ani wyrobienia. We Francji niestałość rządów jest łagodzona przez ciągłość administracji. W Polsce, kraju nowym — tej ciągłości oczywiście nie było. Co więcej — wpływy partii politycznych przyczyniały się do częstych zmian w obsadzie urzędów, nawet niższych.

Pewną stabilizację urzędów i struktury ministerstw przyniósł rząd Władysława Grabskiego, który w sumie przez blisko dwa lata sprawował funkcje premiera. Ale największy krok w kierunku stworzenia właściwego szkieletu aparatu rządowego został zrobiony w pierwszym okresie po przewrocie majowym, to jest w latach 1926-1930.

Już sam styl prac rządu został zmieniony. Przed przewrotem, pomimo przewidzianej przez konstytucję 1921 roku kolektywnej odpowiedzialności rządu, poszczególni ministrowie zasiadali w nim jako przedstawiciele partii. Często obrady rady ministrów przerywano, gdyż ministrowie przed głosowaniem nad jakąś sprawą musieli się porozumieć z zarządem swego stronnictwa. Protokuły rady ministrów prowadzone były w ten sposób, że zgłaszane były zastrzeżenia ministrów z danego stronnictwa do tego, czy innego punktu. Faktyczna władza była nie w rękach rządu, a przewodniczących partii. „Konwent seniorów" Sejmu był rodzajem nadrządu. Po przewrocie majowym protokuły rady ministrów ograniczono do suchego zestawienia punktów przyjętych, czy odrzuconych — bez wzmianki jakie który z ministrów zajmował stanowisko, no i wobec uniezależnienia rządu od partii politycznych nie było przerw na czas porozumienia się ze stronnictwami.

Uniezależnienie prac rządu od wpływów przywódców sejmowych nadało mu charakter ciągłości, jeszcze bez tej sztywności, której nabierze później. Rządy były w rękach ludzi, którzy się starali pozyskać społeczeństwo, a nie darzyli go pogardą. Była to dobra atmosfera do ściągania do ministerstw ludzi o właściwym przygotowaniu. Dojrzało już zresztą pokolenie, które miało za sobą wyższe studia ukończone w Polsce. Ciągle był wielki brak ludzi, ale można było myśleć o przebudowie, czy rozbudowie ministerstw pod kątem widzenia potrzeb rzeczywistych, a nie koniunktury partyjno-politycznej.

Jeśli w sumie można powiedzieć, że Polska przed rokiem 1939 była państwem poważnym — to w znacznej mierze jest to zasługą tej konstrukcji aparatu państwowego, która stworzona została w latach 1923-1925 (Grabski) i 1926 (Bartel, pierwszy okres pomajowy).

W okresie tym doszło do stabilizacji administracji : ministrowie się zmieniali, lecz nie zmieniał się (albo tylko niewiele) skład ministerstw, a tym bardziej organów administracji na prowincji.

Równocześnie doszło do ogólnego podniesienia poziomu, między innymi właśnie dzięki pojawieniu się narybku młodego z odbytymi już całkowitymi wyższymi studiami w Polsce.

Ministerstwa powstawały i przebudowywały się szybko. Wynikała stąd pewna niejednolitość ich charakteru. Często przypadek : indywidualność takiego czy innego ministra, wice-ministra lub dyrektora departamentu decydowała na lata całe o stylu danego ministerstwa.

Jeden z korespondentów gazet niemieckich w Warszawie, pisząc książkę o Polsce przedwojennej określił ją złośliwie jako „federację republik zwanych starostwami". Była to oczywiście przesada, ale było w tym też i coś prawdy.

Władza starosty była bardzo duża. Poza z tytułu przypadających mu funkcji był on niewątpliwie „gospodarzem" powiatu. Był ponad wszystkimi innymi lokalnymi urzędnikami. Miał powierzoną sobie decyzję w bardzo wielu sprawach.

Na szczeblu starościńskim bardzo wyraźne były przesunięcia od lewicy do prawicy w ciągu trzynastolecia pomajowego. W zasadzie w skład aparatu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wchodziła większość urzędników o tendencjach lewicowych. Od czasu utworzenia BBWR. rozpoczęły się zmiany w poszczególnych działach Ministerstwa. Za namową Sławka do służby w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych wstąpiło kilku młodych ludzi o znanych arystokratycznych nazwiskach. Pod koniec OZON wprowadził wielu swoich zaufanych.

Jeśli chodzi o zakres władzy wojewodów, to był on nierównomierny : w jednym województwie większy, w innym mniejszy. Był on znacznie mniej obwarowany zarządzeniami i ustawami niż zakres władzy starostów na ich szczeblu. Wynikało to między innymi stąd, że w stolicy województwa było zwykle paru urzędników w tym samym co wojewoda stopniu służbowym (IV-tym), którzy się uważali za bezpośrednio podległych swojemu ministrowi (np. kurator okręgu szkolnego, dyrektor Izby Skarbowej), itd.).

Rozległy zakres władz miał w zasadzie wojewoda śląski, z racji przewidzianej dla tego województwa autonomii. Inni wojewodowie doszli do większego znaczenia, jak np. Józewski, „książe Wołyński", stosujący inną politykę mniejszościową, niż w sąsiednich województwach. By podnieść znaczenie wojewodów rząd Kościałkowskiego, idąc po linii decentralizacji adminis-

tracji, rozpoczął mianować wojewodów w III stopniu służbowym, to jest w randze wiceministra. Za czasów rządu tego na tle konfliktu z wojskiem o władzę (o czym wyżej) powstał problem kto ma odbierać rewię wojskową w dniu święta narodowego — wojewoda, czy dowódca korpusu.

Jeżeli chodzi o administrację centralną, to znaczy same Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, to zmiany dokonywane były nierównomierne w poszczególnych departamentach ministerstwa. Np. departament, a później wydział aprowizacyjny (organ szczątkowy zniesionego Ministerstwa Aprowizacji) pozostawał do końca swego istnienia w rękach ludzi o przekonaniach lewicowych. Zadziwiającą stałość wykazywał sekretariat Ministerstwa : wszyscy ministrowie spraw wewnętrznych w Polsce od roku 1919 (to jest od czasu rządu Paderewskiego) do roku 1939 (to jest do rządu Składkowskiego) mieli tego samego sekretarza !

W miarę gdy administracja rządowa w ostatnim okresie (to jest od czasu upadku rządu Kościałkowskiego) zepchnięta została na pozycje obronne, wobec narastania znaczenia politycznego OZON'u, kurczyła się rola departamentu politycznego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Natomiast wzrosło znaczenie departamentu Bezpieczeństwa.

Ministerstwo Sprawiedliwości było w pierwszym okresie pomajowym nietknięte przez zmiany polityczne. Dopiero w okresie pułkownikowskim stanowisko ministra obejmuje ,,prokurator brzeski'', Michałowski. Ustawy przewidywały znaczną niezależność aparatu sądowego. Wpływ ministerstwa mógł być większy przy awansach i przeniesieniach. Dość powszechne było przekonanie o korupcji, istniejącej w aparacie sprawiedliwości za czasu rządów ministra Michałowskiego. Pod hasłem walki z tą korupcją ministerstwo objął w ostatnim okresie (to jest od maja 1936 roku) prokurator Grabowski. Był on przedstawicielem ,,grupy prokuratorów''-członków ,,klubu 11 Listopada'', a przez to szczególnie blisko stojący marszałka Rydza-Śmigłego. Przeprowadził on dużo zmian personalnych. Poza tym w zakresie ustawodawczym był prekursorem nowego okresu OZON'owego. Gościem jego w Warszawie był minister Sprawiedliwości Rzeszy, późniejszy ,,Generał-Gubernator'' — Frank.

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego też dopiero w drugim, to jest ,,pułkownikowskim'' okresie weszło na drogę ,,czystek'' politycznych. Symbolem ich stały się postacie braci Jędrzejewiczów. Wobec istnienia samorządu wyższych uczelni skasowano szereg katedr, gdyż był to jedyny sposób usunięcia profesorów. Szkolnictwo średnie również w znacznym stopniu ogarnięte zostało przez tę akcję. Natomiast o ile chodzi o szkoły powszechne, to olbrzymia większość nauczycielstwa rekrutowała się z ludzi o przekonaniach lewicowych. O ile kolejne działania BBWR i OZON'u doprowadziły do dobrych stosunków między starostwem a dworem, o tyle stosunki między szkołą powszechną a dworem były na ogół złe. Nominacja mi-

nistra Świętosławskiego kładzie kres politycznym czystkom w szkolnictwie wszelkich stopni. Akcja przeciwko Związkowi Nauczycielstwa Polskiego, nominacja ONR'owskiego komisarza (Musioła) była dziełem OZON'u, przy pomocy departamentu Bezpieczeństwa M. S. Wewnętrznych.

Charakterystyczny dla sytuacji w Polsce w czasie trzynastolecia 1926-1939 był fakt złych stosunków między obozem rządowym a hierarchią kościelną. Te złe stosunki doszły do największego napięcia znowuż w okresie ,,pułkownikowskim''. Nie wynikały one bynajmniej z jakiejś potrzeby politycznej. Wprost przeciwnie — mogło się wydawać, że ówcześni rządcy Polski będą szukać oparcia w kościele. Jeśli było inaczej, to należy to przypisać owej tendencji do pomiatania społeczeństwem i pozy walki, która charakteryzowała w szczególności politykę wyznaniową Jędrzejewiczów. Duży wpływ na niechętny do rządu stosunek znacznej części kleru miało stanowisko kardynała Kakowskiego i podległego mu aparatu Akcji Katolickiej. Watykan szedł po linii koncesji dla postulatów prestiżowych reżymu (nuncjatura w randze ambasady, przywilej wręczania kapeluszy kardynalskich przez Prezydenta Rzeczypospolitej), przy jednoczesnej wyraźnej niewierze w trwałość państwa polskiego, widocznej w szczególności w zagadnieniach mniejszościowych (sprawa obsady biskupstw unickich, poparcie metropolity Szeptyckiego, idące aż do projektu kapelusza kardynalskiego dla niego, czemu sprzeciwiał się rząd polski, wydawanie przez jezuitów pisma katolickiego w języku białoruskim ,,Złuczenie'' o wątpliwym stosunku do Polski).

W sensie dodatnim dla Polski wpływał wyjątkowo jej przychylny papież Pius XI (1). Papież ten jednak na tle swej surowości i demokratyczności był bardzo nielubiany przez całą ,,kamaryllę rzymską''. Jego nieprzejednany wobec hitleryzmu stosunek, rozciągnięty po zawarciu przymierza ,,stalowej osi'' i na faszyzm, czynił zeń obiekt mniej lub więcej ukrytych ataków. W pewnym okresie na terenie Watykanu wpływy włosko-niemiecko-francuskie (tak !) między innymi w ,,Pro Russia'' szły po linii ,,Paktu Czterech'' wrogiego wobec Polski.

W aparacie Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w pierwszym okresie pomajowym wprowadzono stosunkowo niewielkie zmiany. Zostali na stanowisku nawet ci przedstawiciele Polski

---

(*) Paryska ,,Revue des Deux Mondes" przyniosła niedawno wspomnienia przedstawiciela Francji przy Watykanie w okresie 1914-1919, Loiseau. Wynika z nich, iż w okresie, gdy wyraźne było już, iż monarchia austro-węgierska nie przeżyje wojny, Monsignor Ratti, bibliotekarz watykański, któremu Benedykt XV powierzał różne misje dyplomatyczne, chciał zgrupować na wschodzie Europy szereg państw katolickich pod przewodnictwem Polski. Był on więc jednym z prekursorów myśli o ,,Międzymorzu". W sensie przeciwnym działał zawsze proniemiecki Mgr. Pacelli, dzisiejszy Pius XII. Z pamiętników Loiseau wynika, że dyplomacja francuska również nie była zbyt entuzjastycznie nastawiona do większej roli Polski.

zagranicą, którzy w maju 1926 roku informowali prasę o „zwycięstwie wojsk rządowych nad buntownikami" (poseł, później ambasador Chłapowski). Doszło szybko do znacznej stabilizacji aparatu, przez usunięcie wpływów partyjno-politycznych. Jest to okres, gdy kierownikiem ministerstwa, a później ministrem był August Zaleski, a wiceministrem Roman Knoll.

Nominacja Józefa Becka na stanowisko wiceministra, a następnie ministra, oraz objęcie biura personalnego przez Tomira Drymmera rozpoczyna drugi okres dużych zmian personalnych. Zmiany te Knoll scharakteryzował jako ,,najazd bandytów na przytułek dla idiotów". Te lapidarne określenie wymaga bliższego omówienia: W kleconym w pośpiechu aparacie służby zagranicznej ślady różnych improwizacji były szczególnie widoczne. W braku odpowiedzialnych kandydatów ściągano do służby zagranicznej szereg zupełnie nieprawdopodobnych ludzi, którzy mieli może pewne kwalifikacje jeśli chodzi o znajomość języków, ale niewiele innych. Byli to ludzie na ogół bardzo czuli na stronę reprezentacyjno-towarzyską pracy w dyplomacji, nie posiadali natomiast żadnej techniki pracy, ani znajomości problemów międzynarodowych. Stąd określenie Knolla — ,,idioci". Cechą dyplomacji polskiej z tego pierwszego okresu jej niepodległego istnienia jest bałwochwalczy stosunek do zagranicy i do stosunków z dyplomacją innych państw, Francji przede wszystkim.

Już w pierwszym okresie pomajowym przeprowadzone zostało podniesienie znaczenia Polski w koncercie międzynarodowym, dzięki jej wzmocnieniu, stabilizacji politycznej i dobrej sytuacji gospodarczej. Wyraziło się to między innymi w przemianowaniu na Ambasady szeregu Poselstw w Warszawie i równoczesnym ,,podwyższeniu" rangi poselstw polskich w kilku stolicach.

Akcja min. Becka i jego szefa biura personalnego Drymmera poszła w kierunku zupełnej przebudowy od dołu aparatu służby zagranicznej. Od nowoprzyjętych wymagano przede wszystkim całkowitej ,,dyspozycyjności" wobec obozu rządowego, zrozumienia ,,mocarstwowej" roli Polski i umiejętnego stosowania owego mocarstwowego tonu wobec cudzoziemców. Ściągano nieraz kandydatów, nie znających języków, ani stosunków zagranicą, których cechą była buńczuczność zachowania się i gromka pewność siebie w słowie i geście. Stąd ,,bandyci'.

Nie ulega jednak wątpliwości, iż w miarę lat poziom aparatu służby zagranicznej bardzo się podniósł. Wynikało to z faktu, że urzędnicy placówek byli dobrze płatni, a wskutek tego praca w M.S.Z. przyciągała szereg absolwentów wyższych szkół polskich, które jak wiadomo rzucały na rynek co roku coraz większą ilość i na ogół coraz lepiej przygotowanych młodych ludzi. Drymmer starał się nawet o wprowadzenie elementu społecznego, do wymagań stawianych kandydatom. Chodziło mianowicie o wciągnięcie do pracy dla Polski emigracji polskiej w różnych krajach. Był to teren działania Związku Polaków Zagranicą.

Cechą charakterystyczną pracy w M.S.Z. była wielka rozpiętość płac w Centrali i na placówkach. Wszyscy urzędnicy marzyli o dostaniu się na placówki. Stąd przesadne gorliwości w ,,dyspozycyjności'' i uniżoność wobec ministra i szefa personalnego. Dystans między ministrem, a współpracownikami w żadnym ministerstwie nie był tak duży, jak w M.S.Z. Minister Spraw Zagranicznych miał bez porównania największy fundusz dyspozycyjny ze wszystkich członków rządu (8 milionów złotych, w ostatnich latach). Fundusz ten był jeszcze zwiększony przez to, że niektórzy urzędnicy, formalnie na etacie M.S.Z.'u byli opłacani przez Sztab Główny (II Oddział).

Szereg wyższych urzędników M.S.Z.'u nie widywało prawie nigdy ministra. Na konferencjach międzyministerialnych zjawiali się oni bez ostatecznych instrukcji i wskutek tego bali się zająć stanowisko. Przyczyniło się to do dziwnego stanu rzeczy : ogromnie przekonani o swej ,,mocarstwowości'' byli w rzeczywistości otoczeni rodzajem aureoli śmieszności, nie tylko w oczach znacznej części społeczeństwa, ale nawet kolegów z innych resortów ministerialnych. Oddanie jakiejś sprawy w ręce M.S.Z.'u traktowane było w pewnym sensie jako jej ,,utopienie'' na długo. I tak na przykład, gdy kontrola nad pracą radców handlowych i nominacja ich przeszła z resortu ministra Przemysłu i Handlu do ministra Spraw Zagranicznych — uważano to za przeszkodę w dobrym działaniu aparatu handlu zagranicznego.

U szczytów M.S.Z. zdawano sobie sprawę z niepopularności i ,,wspaniałego odosobnienia'' służby dyplomatycznej. Ale w myśl zasady ,,nie chcemy już od was uznania'' nie robiono wielkich wysiłków, by ten stan rzeczy zmienić.

Dziwnym zbiegiem okoliczności o ile bardzo rozpowszechnione były wątpliwości co do służby zagranicznej, o tyle na ogół wierzono w siłę i dobry stan armii. Złożyło się na to wiele czynników. A więc przede wszystkim rodzaj ,,wishful thinking'' : pierwsze pokolenie Polski, która odzyskała niepodległość, nie zapominało nauki z okresu upadku państwa w wieku XVIII. Pamiętano o skutkach słabości Polski z okresu, gdy ,,stała nierządem''. W sile armii widziano gwarancję niepodległości. Chciano wierzyć i wierzono, że armia jest dobra.

Dalszym czynnikiem, działającym w kierunku wiary w armię była legenda Marszałka Piłsudskiego. Wiedziano, że armia jest jego ,,oczkiem w głowie''. Przypuszczano, iż w tym zakresie rezultaty owej inwazji wojskowej na aparat państwowy powinny być dobre. Wreszcie wiedziano, że wojsko drogo kosztuje. Ale nie narzekano na ogół na to właśnie bo wierzono, iż tak powinno być.

W przeciwieństwie do administracji cywilnej, gdzie okres ,,czystek'' w ministerstwach rozpoczął się w drugim, to jest ,,pułkownikowskim'' okresie trzynastolecia — w wojsku zmiany personalne zaczęły się od razu po przewrocie majowym. Jeśli nawet w stosunku do szeregu wyższych oficerów, którzy walczyli

po „tamtej stronie mostu" nie wyciągnięto daleko idących konsekwencji (gen. Anders np. pozostał cały czas w służbie czynnej), to jednak polityka personalna w wojsku poszła po linii całkowitego przekształcenia go na aparat dyspozycyjny Marsz. Piłsudskiego.

W pracach administracji państwowej istniał wyraźnie ustalony i niekwestionowany prymat obrony państwa. Nawet po śmierci Marsz. Piłsudskiego budżet MSWojsk. przechodził na radzie ministrów bez dyskusji i bez bliższych wyjaśnień. Budżet ten wynosił trzecią część wszystkich wydatków państwowych. Przy tym minister Spraw Wojskowych miał prawo dokonywania przesunięć poszczególnych pozycji, w granicach przyznanych mu sum. Czyniło to z budżetu MSWojsk. olbrzymią masę zupełnie dowolnie administrowanych pieniędzy.

Podobnie jak aparat MSZ'u — wojsko pozostawało w pewnego rodzaju izolacji od reszty służby państwowej. Tylko, o ile z MSZ'owców śmiano się na konferencjach międzyministerialnych — o tyle zajęcie jakiegoś stanowiska przez przedstawiciela wojska, w imieniu potrzeb obronnych państwa — przesądzało sprawę. Dyskusja była możliwa tylko wtedy, gdy przedstawiciele poszczególnych organów wojska zajmowali różne stanowiska. Wówczas jedynie budziły się wątpliwości, czy aby przedstawiciele armii tak na pewno i dobrze wiedzą, co jest konieczne dla obrony państwa. By zacytować przykład : Polska wywoziła dyktę, która jednak w pewnym zakresie potrzebna była dla obrony państwa (w szczególności do produkcji samolotów, przy ówczesnym stanie techniki). Na specjalną komisję dla zbadania sytuacji przemysłu dyktowego przyszło trzech przedstawicieli wojska : administracji armii (MSWojsk), departamentu lotnictwa (z tegoż MSWojsk) i Sztabu Głównego. Każdy z nich przedstawiał inaczej potrzeby obronne państwa, jeśli chodzi o zaopatrzenie w dyktę. Cyfry różniły się w skali 1 do 8.

Przed paru laty pojawiły się w prasie emigracyjnej echa znanej sprawy wywozu działek przeciwlotniczych z Polski w przede dniu wojny, gdy jak wiadomo obrona przeciwlotnicza w kraju była bardzo słaba. Ze strony czynników wojskowych twierdzono, że wywóz ten nastąpił wskutek nacisku ministra Skarbu, ze względu na brak dewiz.

Jest to zupełny nonsens. Ani żaden urzędnik, ani minister Skarbu nigdy by z podobną propozycją do władz wojskowych nie wystąpili. Rzeczywistość była odmienna : Polska miała kupiony od fabryki szwedzkiej Boforsa patent na produkcję działek przeciwlotniczych. Jednakże w Polsce nie produkowano amunicji do tych działek. Uczyniono natomiast z tąż samą firmą szwedzką umowę na dostawę amunicji. Na krótko przez wojną jednak Wielka Brytania zakupiła całą produkcję nabojów „Boforsa" za tak wysoką cenę, że fabryce tej opłaciło się zerwać układ z Polską, płacąc karę umowną. Polska zamówiła wówczas naboje produkowane we francuskiej fabryce „Hotchkiss". Ale pomimo, że

w zasadzie naboje te były tego samego kalibru, co armatki „Boforsa", wyrabiane w Polsce (8,8) — do nich nie pasowały. Polska miała więc działka przeciwlotnicze, ale nie miała amunicji. Czyja i w jakim stopniu była to wina, pozostaje do ustalenia. Jedno jest pewne, że administracja cywilna nie miała w tym żadnego głosu. Natomiast ważnym czynnikiem zarówno w tej, jak i w innych sprawach jest fakt, że Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych, przede wszystkim sam marsz. Śmigły-Rydz nie wierzyli w bliskość wojny.

Polska w zakresie przygotowania do wojny uczyniła błąd odwrotny na przykład do takich Włoch. Włochy przygotowały się zbyt wcześnie do wojny. Ich największy potencjał wojenny wypadł na lata 1936 i 1937. Wskutek tego materiał ich między innymi samoloty — był przestarzały. Gdyby wojna nie wybuchła — Polska doszłaby do największego potencjału zbrojeniowego gdzieś na przełomie roku 1940 i 1941. Oczywiście w decyzji Niemiec uderzenia w tym właśnie momencie, to jest we wrześniu roku 1939, zawarta była świadomość, że ani Polska, ani zachodni jej sojusznicy do wojny przygotowani nie są.

Inna rzecz, że czynniki wojskowe, które z taką zachłannością sięgały po władzę we wszystkich jej dziedzinach, w zakresie właściwej obrony państwa wykazywały bardzo poważne luki. Dla przykładu: na kilkanaście miesięcy przed wojną z całą powagą na najwyższych szczeblach dyskutowany był problem, czy produkować lance ułańskie, czy też żelazo przeznaczone na tę produkcję skierować do innych działów produkcji wojennej. Braki w zakresie przygotowania fachowego do wojny były bardzo duże. Przyczyniło się do tego niewątpliwie to, że pułkownicy z GISZ'u myśleli o województwach i ministerstwach, a nie o powierzonych im funkcjach wojskowych.

Ministerstwo Komunikacji, Poczt i Telegrafów, ministerstwo Robót Publicznych — dopóki istniało — były to resorty techniczne, wolne na ogół od wpływu czynników politycznych. Zmiany kierunku rządów w czasie trzynastolecia pomajowego odbijały się jedynie na najwyższych szczeblach w tych ministerstwach.

Odrębną grupę stanowiły ministerstwa gospodarcze i ministerstwo Opieki Społecznej.

Jak wiadomo marsz. Piłsudski na zagadnieniach gospodarczych się nie znał i nimi się nie interesował. Jest rzeczą dziwną ten brak zainteresowania u kogoś, kto przez szereg lat był jednym z przywódców PPS'u — partii, powołującej się na Marksa. Niewątpliwie z teoretycznym przygotowaniem marksistowskim w owej epoce PPS'u nie musiało być silnie. Faktem jest, że stosunek marsz. Piłsudskiego do spraw gospodarczych ograniczał się na ogół do troski, by „nie kradli".

W dziedzinie gospodarczej więc, w większym niż gdzie indziej stopniu „tłumacze Pisma Świętego" mieli pozostawioną sobie wolną rękę.

Na strukturę ministerstw gospodarczych szczególnie silnie wpłynął pierwszy okres po przewrocie majowym to jest lata 1926-1930. Ściągnięto wtedy z różnych stron specjalistów, nie bardzo pytając o ich przeszłość, ani nawet o przekonania polityczne — byle umieli pracować. To w tych właśnie ministerstwach na niższych szczeblach pojawiło się szczególnie licznie pierwsze pokolenie absolwentów wyższych uczelni polskich.

Ministerstwa gospodarcze to: Ministerstwo Skarbu, Ministerstwo Przemysłu i Handlu, oraz Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych z ich ,,przybudówkami'' i podległymi im urzędami. Nie będąc w ścisłym tego słowa znaczeniu ministerstwem gospodarczym — ministerstwo Opieki Społecznej było blisko związane zakresem pracy z ministerstwami gospodarczymi.

W obozie rządzącym Polską w latach 1926-1939 specjalistów od spraw gospodarczych było mało. Z wojskowych odkomenderowanych do tych spraw po roku 1930 byli nieliczni, którzy nauczyli się dużo (Matuszewski). Byli tacy, którzy nauczyli się trochę. Byli wreszcie tacy, którzy nie nauczyli się, ani nie zrozumieli niczego.

Szereg dziwacznych nominacji na stanowiska ministrów, czy wiceministrów spraw gospodarczych w latach 1930-1935 doprowadził do tego, że ciężar prac i decyzji spadł na podległych im urzędników. Ministrowie, nie znający problemów, nie rozumiejący o co chodzi, opierali się o dostarczone im przez ich współpracowników materiały i prace.

Jak już zostało zaznaczone wyżej: urzędnicy ministerstw tych byli fachowcami często nie do zastąpienia. Byli stosunkowo niezależni od nacisków politycznych. Stali, jak na warunki polskie na ogół na dość wysokim poziomie przygotowania w zakresie swej specjalności. Wpływ ich na bieg życia gospodarczego był duży, w niektórych dziedzinach — bardzo duży. Przy niefachowych ministrach wiele najważniejszych decyzji było rezultatem inicjatyw dyrektorów departamentu, naczelników wydziału, czy nawet radców i referentów.

Zdawano sobie z tego na ogół sprawę, a przede wszystkim — wiedzieli o tym sami zainteresowani urzędnicy. Wzmagało to ich poczucie odpowiedzialności, a także i zainteresowania dla pracy. O ile na przykład kierownik referatu w MSZ swojego ministra nie widział prawie nigdy, a w pracy swej miał bardzo tylko mały zakres dla inicjatywy, o tyle kierownik referatu w ministerstwach Przemysłu i Handlu, Rolnictwa, czy Skarbu przedstawiał często wchodzące w zakres jego kompetencji sprawy bezpośrednio ministrowi, a ponieważ miał tę wyższość, że się na nich znał — więc mógł przesądzić o zajęciu stanowiska.

Na tym tle na szczególną uwagę zasługuje rola grona urzędnikóww ministerstw gospodarczych, która wiosną roku 1931, a więc dwadzieścia pięć lat temu zorganizowała spółdzielnię wydawniczą celem publikacji dwutygodnika, poświęconego zagad-

nieniom polityki gospodarczej, pod tytułem „Gospodarka Narodowa".

III. — PISMO I KLUB „GOSPODARKA NARODOWA"

Jeśliby próbować w jednym zdaniu odtworzyć genezę „Gospodarki Narodowej", to prawdopodobnie najściślejsze byłoby określenie, że powstała ona dla wymiany i kontroli poglądów grupy młodych ekonomistów, którzy wszyscy prawie pracowali w różnych działach administracji gospodarczej państwa.

Celem „Gospodarki Narodowej" było szukanie dróg.

By zrozumieć sytuację : pewna ilość młodych ludzi znalazła się na odpowiedzialnych stanowiskach państwowych z tym, że w całym szeregu wypadków mieli oni do wykonania zadania pionierskie. Mieli oni teoretyczne przygotowanie do pracy. Poznali także zagadnienia, które im powierzono do rozwiązania. Ale brakło im szerszej perspektywy, którą normalnie mogliby otrzymywać od swego kierownictwa, gdyby było ono na poziomie. Otóż kierownictwo to nie było na ogół na poziomie — przeciwnie oczekiwało gotowych wniosków.

Ci młodzi urzędnicy stykali się na konferencjach międzyministerialnych, czy na zebraniach dyskusyjnych w Instytucie Spraw Społecznych lub w Towarzystwie Ekonomistów i omawiali między sobą interesujące ich sprawy. Lecz konferencje były krótkie, ograniczone do jakiegoś konkretnego zagadnienia. W Instytucie Spraw Społecznych zebrania były sporadyczne, bez określonego, bardziej długofalowego programu. W Towarzystwie Ekonomistów na odczyty i zebrania dyskusyjne przychodziło bardzo wielu ludzi różnego wieku i różnego przygotowania : nieraz pół wieczoru schodziło na tym, że jakiś starszy pan opowiadał co przed laty trzydziestu robił nieboszczyk Witte, a inny znów o ekscelencji Bilińskim — co nie było w żadnym związku z właściwym tematem dyskusji.

Z pism gospodarczych „Ekonomista" miał charakter kwartalnika teoretycznego. „Polska Gospodarcza" był to tygodnik pół-oficjalny, zawierający szereg materiałów statystycznych i artykuły informacyjne. Pisma codzienne prowadziły swoje rubryki gospodarcze, lecz traktowane powierzchownie, zgodnie z zainteresowaniami szerokiego grona czytelników gazet. Poza tym pisma codzienne miały fizjognomię polityczną, która nie zachęcała do pisania tych, którzy nie podzielali poglądów danego pisma — i to niezależnie od tego, czy chodziło o gazety pro- czy anty-rządowe.

Potrzeba było „wolnej trybuny". Czasopisma poświęconego polityce gospodarczej, ale w sensie dyskusyjnym, krytycznym. Tę lukę, ten brak miała wypełnić i wypełniła „Gospodarka Narodowa".

Celem wydawania pisma zawiązana została spółdzielnia wydawnicza z ograniczoną odpowiedzialnością. Członkowie tej spół-

dzielni wpłacali każdy po 25 zł., a zobowiązywali się w razie potrzeby do wpłaty kwoty trzykrotnie wyższej. Nigdy jednak potrzeba ta nie zaszła. Członków spółdzielni było około 50-60. Członków czynnych, to jest takich, którzy przychodzili na zebrania klubu „Gospodarki Narodowej" i pisywali do pisma było około 30-40.

Przygotowania techniczne trwały między marcem a majem roku 1931. Pierwszy numer „Gospodarki Narodowej" ukazał się w maju tegoż samego roku.

„Gospodarka Narodowa" powstała jako dwutygodnik. Za wzór służył jej w pewnym stopniu londyński „Economist". Pismo zawierało rodzaj artykułu wstępnego, pisanego przez jednego z członków Komitetu Redakcyjnego i dyskutowanego na jego zebraniu w najmniejszych szczegółach. Był to artykuł niepodpisany, wyraz poglądów tegoż właśnie komitetu. Następnie szły 2, 3, 4, zależnie od długości, artykuły podpisane, omawiające jakieś szersze zagadnienia. Później podpisane inicjałami krótkie uwagi, poświęcone już tylko jakiemuś ograniczonemu problemowi. Wreszcie (także podpisane inicjałami) notatki, często złośliwe, lub humorystyczne, oświetlające drobne szczegóły bieżących spraw.

Projektowana początkowo rubryka wydawnictw nie została wprowadzona. Ważniejsze wydawnictwa omawiane były w artykułach, uwagach, czy notatkach.

Praca członków komitetu redakcyjnego była bezpłatna. Honoraria autorskie, bardzo zresztą skromne zaczęły być płacone dopiero po kilku miesiącach istnienia pisma, gdy się przekonano, że ma ono podstawy istnienia dzięki dostatecznej liczbie prenumeratorów.

„Gospodarka Narodowa" nabrała najpierw znaczenia jako pismo. Związany z pismem tym klub dyskusyjny rozwinął swą działalność dopiero później.

Całokształt każdego numeru był omawiany na zebraniach Komitetu Redakcyjnego, który kwalifikował nadesłany materiał i dyskutował porządek i charakter części przeznaczonej do druku. Zresztą przez pierwsze parę lat członkowie Komitetu Redakcyjnego wypełniali piórami swymi większą część numeru.

Komitet Redakcyjny składał się z pięciu osób : Czesław Bobrowski, redaktor, Aleksander Ivanka, Tadeusz Łychowski, Józef Poniatowski, Kazimierz Sokołowski.

Po kilku tygodniach istnienia pisma Czesław Bobrowski wyjechał na roczny przeszło pobyt zagranicą (jako dyrektor „Sowpoltorgu" do Moskwy). Miejsce jego w Komitecie Redakcyjnym zajął świeżo przybyły do Warszawy Bohdan Łączkowski a funkcje redaktorskie objął Kazimierz Sokołowski.

Pracą i wysiłkiem tych kilku ludzi „Gospodarka Narodowa" nie tylko ustaliła swój byt jako pismo, lecz zyskała poważny wpływ na opinię publiczną w zakresie spraw gospodarczych. Zgodnie ze swoim zasadniczym celem — szukania dróg

— „Gospodarka Narodowa" redagowana była jako „wolna trybuna". Dopuszczana była bardzo duża rozpiętość zdań. Często zdarzało się, że w tym samym numerze ukazywały się dwa polemizujące ze sobą artykuły. Z tego tytułu stawiono „Gospodarce" zarzut, że nie wiadomo czego chce. Odpowiedź na te zarzuty była zawsze ta sama: zadaniem pisma nie jest propagowanie z góry ustalonych haseł, a wprost przeciwnie — przedstawienie problemu ze wszystkich możliwie stron, tak by przez pogłębioną analizę doprowadzić do najsłuszniejszych decyzji tych, którzy mieli ją powziąć. O przyjmowaniu artykułów decydował przede wszystkim ich poziom.

„Gospodarka" była pismem apolitycznym. Wśród członków klubu i pisujących do pisma istniał bardzo duży wachlarz poglądów od socjalistów (Władysław Diamand), do endeków (Józef Wejtko, Tadeusz Marchwiński), poprzez wszelkie odcienie stosunku do obozu rządowego.

Jedną z pierwszych trosk „Gospodarki" była walka z próbami naklejania jej etykiety. Dlatego przez dłuższy czas unikano umieszczania artykułów osobistości znanych na firmamencie polityczno-gospodarczym. I tak na przykład gdy po kilku tygodniach istnienia pisma ówczesny wiceminister Skarbu, Stefan Starzyński, chciał umieścić artykuł swój w „Gospodarce Narodowej", jeden z członków Komitetu Redakcyjnego otrzymał delikatną misję zniechęcenia go do tego, a to w obawie, że ukazanie się na łamach „Gospodarki" takiego artykułu przesądziłoby na długo o naklejeniu na pismo etykiety „pismo zbliżone do Stefana Starzyńskiego".

Znacznie później dopiero, gdy pismo było znane i miało ustaloną markę, gdy działał w pełni klub „Gospodarki Narodowej", zaczęto zapraszać do zabrania głosu, czy to na łamach pisma czy w ciągu zebrania dyskusyjnego, znanych działaczy polityczno-gospodarczych, jak profesorowie Henryk Tennenbaum i Edward Lipiński, czy były minister Matuszewski.

Jedną z „etykietek" z którą pismo walczyło od początku była nazwa „pismo młodych urzędników państwowych". W nazwie tej zawarta była prawda, jeśli chodzi o stan faktyczny, co do pracy zawodowej większości współpracowników „Gospodarki". Nie była to natomiast prawda, gdy wziąć pod uwagę charakter pisma i swobodę z jaką poruszano szereg spraw. Dla uniknięcia możliwych nieporozumień, wynikających z pomieszania funkcji urzędowych i swobodnie wyrażanych opinii w „Gospodarce", większość współpracowników pisma pisywało pod pseudonimem, czy nawet paroma pseudonimami. I tak na przykład z częściej używanych pseudonimów: Czesław Bobrowski - Tomasz Kornicz, Bohdan Łączkowski - Wiktor Dębowiecki, Kazimierz Sokołowski - Kazimierz Brodnicki itd. Pisywali oczywiście także i pod swoimi nazwiskami, zwłaszcza gdy chodziło o bardziej „zasadnicze" wystąpienia.

O zwyczaju tych pseudonimów wiedziano. Stąd wynikały

czasem zabawne nieporozumienia: jeden z członków ,,Gospodarki'', rzadko pisujący miał mało rozpowszechnione nazwisko. Nazywał się Patrycy Dziurzyński. Gdy zjawił się kiedyś na zebraniu klubu wywołało to wielkie zdziwienie, gdyż przypuszczano, iż to jeszcze jeden pseudonim któregoś z członków Komitetu Redakcyjnego.

Na jesieni roku 1932 powrócił do Warszawy Czesław Bobrowski. Z Komitetu Redakcyjnego wystąpił wówczas Ivanka, a miejsce jego zajął Bobrowski, który przejął też redaktorstwo pisma.

Od roku 1933 pismo podpisywał rozszerzony dziesięcioosobowy Komitet Redakcyjny, który jednak zbierał się bardzo rzadko. Redakcja pisma pozostawała w dalszym ciągu w rękach pięcioosobowego tak zwanego ,,Komitetu Ścisłego''. Ten ,,Komitet Ścisły'' stanowili: Bobrowski, Łączkowski, Łychowski, Poniatowski, Sokołowski, a ,,Komitet Rozszerzony'' oprócz wyżej wymienionych pięciu członków ,,Komitetu Ścisłego'': Henryk Greniewski, Aleksander Ivanka, Wacław Jastrzębowski, Michał Kaczorowski, Zygmunt Szempliński.

Od roku 1933 rozpoczyna się również okres szczególnie ożywianej działalności klubu dyskusyjnego ,,Gospodarki Narodowej''. Zebrania odbywały się co tydzień, lub co dwa tygodnie — zależnie od okresów. Jeden z członków klubu, lub zaproszony gość wygłaszał rodzaj krótkiego referatu, w charakterze zagajenia dyskusji. Później miała miejsce dyskusja. Była to wolna wymiana zdań, gdyż klub, tak jak i pismo był ,,Wolną Trybuną'', jednoczącą ludzi o zupełnie różnych nieraz poglądach. Czasem waga niektórych spraw doprowadzała do wielozebraniowych ,,tasiemcowych'' dyskusji, nie tylko z zaproszonymi gośćmi, ale częściej jeszcze — między członkami Klubu. I tak na przykład sprawa kierunku polityki finansowej państwa to jest ,,deflacji'', czy ,,nakręcania koniunktury'' była tematem bardzo długiej dyskusji, w której głównymi oponentami byli Józef Poniatowski i Kazimierz Studentowicz — obydwaj członkowie Klubu i bardzo często pisujący do ,,Gospodarki''.

Przewodniczącym klubu ,,Gospodarki Narodowej'' był Michał Kaczorowski.

Do Klubu ,,Gospodarki'' ściągano wszystkich tych, którzy doń pasowali z tytułu zakresu pracy, zainteresowań i poziomu. A także — wieku. Poza paroma wyjątkami, członkowie ,,Gospodarki'' rekrutowali się z ludzi urodzonych w pierwszym dziesięcioleciu wieku XX-go, a więc wówczas, gdy zebrania się odbywały: młodych, albo bardzo młodych.

Z tytułu pewnego rodzaju przypadkowości w doborze ludzi nie wszystkie działy życia gospodarczego i polityki gospodarczej były jednakowo silnie reprezentowane. W niektórych zakresach ,,Gospodarka'' była silniejsza w innych mniej ,,silna''. Tak samo w niektórych sprawach istniała większa, w innych mniejsza rozpiętość poglądów.

Duża zgodność poglądów na sprawy polityki rolnej, oraz na zagadnienia ubezpieczeń społecznych doprowadziła do ukazania się dwóch numerów specjalnych „Gospodarki" w roku 1933.

Jeden z nich, pod redakcją Łączkowskiego, a przy udziale Poniatowskiego i Krzyczkowskiego poświęcony był sprawom rolnym i reformy rolnej. Drugi pod redakcją Bobrowskiego, a przy udziale Szemplińskiego i Greniewskiego — sprawom ubezpieczeń społecznych.

Te dwa numery były charakterystyczne przez to, że odwrotnie do tendencji „Gospodarki": zachowania charakteru „Wolnej Trybuny" były „kierunkowe" i wypowiadały się w spornych wówczas zagadnieniach: za reformą rolną, za utrzymaniem i rozszerzeniem ubezpieczeń społecznych. Numer rolny we wstępnym artykule Łączkowskiego pt. „Wielki Niemowa" poruszał nawet już zupełnie polityczną sprawę dopuszczenia chłopów do udziału w odpowiedzialności za losy państwa.

Tutaj należy poruszyć jedno zagadnienie: czemu się to działo, że przy istniejących rządach „twardej ręki" „Gospodarka" miała stosunkowo dużą swobodę pisania bez ściągnięcia na siebie prześladowań.

Otóż przede wszystkim twardość ówczesnych rządów, jak zawsze zresztą w Polsce łagodzona była przez swojski bałagan. Poza tym Polska, pomimo policyjnego charakteru dyktatury, nie była państwem totalistycznym, a BBWR nie była monopartią. Charakter monopartii miał mieć dopiero, zgodnie z zaleceniami różnych Biur Planowania — OZON. BBWR był zlepkiem różnych tendencji, nieraz tęgo kłócących się między sobą. Dla policji, dla normalnej cenzury „Gospodarka" była czymś umieszczonym zbyt wysoko: wiadomo było, że w skład jej wchodzą wyżsi urzędnicy. Jeśli chodzi o poszczególnych ministrów to po prostu często bali się zaczepiać „Gospodarkę". Wiedzieli, że w skład jej wchodzi szereg najpotrzebniejszych im, najlepszych fachowców. Poza tym wiedzieli, że „Gospodarka" istnieje także w innych ministerstwach, gdzie koledzy ich z ławy rządowej nie zawsze byli im najżyczliwsi. Wszczęcie wojny z „Gospodarką" mogło danego ministra ośmieszyć i narazić na skutki odwrotne od oczekiwanych, zwłaszcza iż większość z kolejnych ministrów zdawała sobie sprawę, że nie ma właściwie żadnej przyczyny dlaczego on, a nie kto inny ma pozostawać u steru danego resortu.

Jeśli chodzi o aparat bezpieczeństwa na wyższym szczeblu: wiedziano, że „Gospodarka" jest zespołem dyskusyjnym, a nie żadną grupą, dążącą do zagarnięcia władzy. Toteż traktowano wypowiedzi jej nie jako przejaw opozycji, a czegoś co zgodnie z obecną terminologią w państwach demokracji ludowej można by nazwać: samokrytyką. W tych warunkach, by wykończyć „Gospodarkę" trzeba byłoby uchwały rządu jako całości, a nie niezadowolenia tego, czy innego ministra, czy nawet — jak się

zdarzało — premiera. Otóż ,,Gospodarka'' nie była znowuż do tego stopnia groźna. Jeżeli po jakimś numerze któryś minister był niezadowolony, to po innym cieszył się, że jego koledze się dostało. Zresztą ataki na rząd, czy poszczególnych jego członków nie były bynajmniej zadaniem ,,Gospodarki''. Jeśli miały miejsce, to na tle krytyki zarządzeń, zawsze z uzasadnieniem fachowym wyrażanego poglądu i przy starannym unikaniu wszelkich akcentów personalnych.

W ten sposób, dzięki całemu szeregowi okoliczności ,,Gospodarka'' przechodziła przez oka różnych sieci, które w innych warunkach nad nią by się zwarły. Przyczyniło się to z czasem do wytworzenia pewnego rodzaju legendy na temat ,,Gospodarki Narodowej''. Uważano ją za tak potężną ,,sitwę'', czy ,,mafię'', która na bardzo wiele sobie może pozwolić i ciągnie wiele nici w sprawach polityki gospodarczej.

Otóż — było tak i nie było tak.

Grupa ,,Gospodarki Narodowej'' nigdy nie była sitwą w ścisłym tego słowa znaczeniu. Był to zespół ludzi o podobnych zainteresowaniach, dyskutujący na ich temat, którego członkowie bardzo często prawie się nie znali jeśli chodzi o ich życie prywatne. Nie była to,, mafia'', gdyż nie dążyli oni do zagarnięcia władzy ani nawet do jakiegoś obsadzenia planowego swoimi ludźmi różnych stanowisk. Istniały oczywiście pomiędzy poszczególnymi członkami ,,Gospodarki' bliższe przyjaźnie. Istniały wypadki solidarności ,,Gospodarki'' na przykład z reguły, gdy któryś z jej członków miał coś ,,oberwać'' za ,,Gospodarkę'', albo i w innych wypadkach. Tak na przykład gdy wskutek konfliktu z min. Floyar-Reichmanem, ówczesny naczelnik wydziału polityki handlowej, Łychowski, otrzymał dymisję — solidarność ,,Gospodarki'' zagrała na całego, by przy następnej zmianie rządu powrócił na zajmowane uprzednio stanowisko.

Jeśli chodzi o wpływ na szereg zarządzeń gospodarczych, to rzeczywiście istniał. Znowuż jednak : niejednolity w różnych działach i nie według jakiegoś z góry ustalonego planu, a zależny od tego, gdzie, w jakim stopniu ,,Gospodarka'' była reprezentowana. Członkowie ,,Gospodarki'' awansowali i w końcowym istnieniu pisma i klubu w charakterze ,,Wolnej Trybuny'' to jest na przełomie lat 1935-1936 — ,,Gospodarka'' liczyła : pięciu dyrektorów departamentu (Bobrowski, Geppert, Krzyczkowski, Łączkowski, Poniatowski), kilkunastu naczelników wydziału (w tym : Kaczorowski, Ivanka, Łychowski, Sokołowski, Rudziński, Gryziewicz, Pilch, Jastrzębowski, Greniewski), parudziesięciu radców ministerialnych i kierowników referatu. Wśród członków ,,Gospodarki'' znajdowali się poza tym przedstawiciele samorządu gospodarczego (Józef Jakubowski, Marchwiński, Łopieński), organizacji zawodowych przemysłu (Witold Czerwiński, Tadeusz Zamoyski), wreszcie — ,,prywatni'' przemysłowcy, lub handlowcy (Stefan Meyer, Władysław Diamand). Szczególnie silnie była zawsze reprezentowana ,,Gospodarka'' w zakresie

spraw rolnych. Oprócz pierwotnej grupy (Poniatowski, Łączkowski, Krzyczkowski, później Bobrowski) doszła młodsza ekipa znakomitych specjalistów w zakresie gospodarki rolnej (Stanisław Gryziewicz, Edward Iwaszkiewicz, Jacek Rudziński, Stanisław Skwarczyński).

Ale od bezpośredniego wpływu, to jest w zakresie funkcji urzędowych tego, czy innego członka ,,Gospodarki", ważniejszym był ów wpływ, który ,,Gospodarka" wywierała przez swoje artykuły, uwagi i notatki (a także przez wyrobienie osiągnięte na licznych zebraniach dyskusyjnych) na całokształt administracji gospodarczej i życia gospodarczego państwa. Wpływ ten jest oczywiście trudno wymierzalny. Można tylko tytułem przykładu przytoczyć parę dziedzin.

I tak np. bardzo długo dzięki rozmaitym wydawnictwom pseudo-patriotycznym istniało przekonanie, że Polska jest krajem bogatym, tylko chodzi o dobre zagospodarowanie go itd. Jedną z zasług ,,Gospodarki" było przeciwstawienie temu poglądowi tezy, że Polska bynajmniej nie jest krajem bogatym, że jej podstawy surowcowe i gleby są raczej ubogie (chodzi oczywiście o Polskę w granicach sprzed roku 1939) i że głównym bogactwem Polski jest — praca.

Książka Józefa Poniatowskiego o ,,Przeludnieniu Wsi" była jednym z najważniejszych wydawnictw w Polsce między dwoma wojnami. Wskazywała ona i uzasadniała cyframi istnienie największej bolączki struktury gospodarczej Polski. Tezy książki tej były wielokrotnie wykorzystywane przez ,,Gospodarkę".

Postawienie na czele hierarchii celów potrzeby uprzemysłowienia kraju było dalszym punktem, wybijanym przez ,,Gospodarkę". Następnie właściwy stosunek do polityki rolnej, że na przykład Polska, poza jęczmieniem browarnianym nie powinna być krajem eksportującym zboże (znowuż teza Józefa Poniatowskiego), że nacisk powinien być kładziony na produkcję hodowlaną, a nie produkcję zbożową itd.

Na tle sprawy uprzemysłowienia: walka z niektórymi formami super-protekcjonizmu (artykuł Łączkowskiego pt. ,,Czosnek", wyśmiewający motywację nowej taryfy celnej). Krytyka działalności szeregu przedsiębiorstw państwowych, między innymi Państwowych Zakładów Przemysłowo-Zbożowych, pozostających pod kierownictwem wszechpotężnego wówczas Wiktora Przedpełskiego.

Tematem szeregu artykułów i notatek, w których się specjalizował Sokołowski był stosunek biurokracji gospodarczej do ,,szarego człowieka". Chodziło oczywiście o tępienie przerostów tej biurokracji.

Sprawa naśladownictwa wzorów niemieckich, przy innej zupełnie strukturze gospodarstwa była tematem artykułów Łychowskiego (,,Przymierze polsko-pruskie") i Łączkowskiego (,,Ex Germania Lux").

Sprawy oddłużenia, polityki skarbowej, ,,równania na 60"

itd. były obok zasadniczego tematu kierunku polityki gospodarczej (deflacja, czy nakręcanie koniunktury) traktowana w szeregu artykułów, między innymi Bobrowskiego, Ivanki, Poniatowskiego, Studentowicza, Meyera itd.

Przerostami biurokracji i organizacją ubezpieczeń społecznych zajmowali się Szempliński i Greniewski.

Walka z kartelami była tematem, o którym pisali wszyscy członkowie Komitetu Redakcyjnego.

Wyraźnie była też atakowana „mocarstwowość" i teza wyznawana przez ówczesne kierownictwo MSZ, że można „oderwać" politykę zagraniczną od stanu ekonomicznego Polski (między innymi w sprawie tej artykuł Łączkowskiego „Nie można budować mocarstwa na pustych brzuchach").

Szereg artykułów o stopniu interwencjonizmu i o zakresie „bezplanowej, planowej gospodarki" pióra różnych autorów, itd., itd.

Jednym z ważniejszych osiągnięć „Gospodarki" było to, że stanowiła ona rodzaj ogniwa pośredniego między naukowcami, zajmującymi się pracami teoretycznymi, a praktykami życia gospodarczego, nie rozumiejącymi często najważniejszych osiągnięć naukowych.

Głównym ośrodkiem prac teoretycznych w Polsce był Instytut Badania Koniunktur Gospodarczych i Cen, gdzie pod kierownictwem prof. Edwarda Lipińskiego pracowała grupa „ekonometryków" to jest ekonomistów, stosujących metody matematyczne do oceny zjawisk gospodarczych. Trzeba dodać, że Polska była jednym z najbardziej zaawansowanych krajów w tej dziedzinie i że na kongresach międzynarodowych była ona w pierwszej linii wraz ze Stanami Zjednoczonymi, Niemcami i Szwecją.

Grupa, pracująca pod kierownictwem prof. Lipińskiego (Landau, Kalecki, Breit, Poniatowski, Wiśniewski, Łączkowski, Zagórski, Skrzywan) osiągnęła bardzo poważne rezultaty. Michał Kalecki równolegle do Keynesa i zupełnie niezależnie od niego doszedł do matematycznego opracowania mechanizmu cyklu koniunkturalnego. Ludwik Landau, wraz z Kaleckim, dzięki niesłychanie żmudnej pracy obliczył dochód narodowy Polski. Breit opracował analizę handlu zagranicznego. Poniatowski — zużycie nawozów sztucznych, jako jeden ze wskaźników sytuacji w rolnictwie. Łączkowski ustalił sezonowe wahania podaży zbóż, tak zwany „cykl świński", sezonowe wahania cen szeregu artykułów rolnych oraz elastyczność konsumpcji niektórych z nich. Wiśniewski zajmował się przygotowaniem i analizą wielu wskaźników statystycznych itd.

Były to wszystko prace ważne dla polityki gospodarczej, ale trzeba było je rozumieć. Na łamach „Gospodarki" znajdowały się praktyczne wnioski z osiągnięć naukowych.

Gdy w roku 1932 ustąpił z prezesury T-wa Ekonomistów były premier Władysław Grabski, a wybrany został nowy zarząd

(prof. Lipiński — prezes, Łączkowski — sekretarz generalny) członkowie ,,Gospodarki'' przyczynili się do ożywienia i podniesienia poziomu zebrań tego towarzystwa.

Rok 1936 jest ostatnim rokiem ,,Gospodarki'' jako ,,wolnej trybuny''. W roku tym część członków klubu pod przewodnictwem Bobrowskiego i Krzyczkowskiego przekształciła go na ,,Zespół'', o określonych celach i kierunku. Tej samej ewolucji podległo pismo. Nie oznaczało to formalnego rozłamu. Ale wiele z dawniejszych, najbardziej aktywnych członków ,,Gospodarki'' przestało przychodzić i pisywać. ,,Zespół'' nabrał charakteru politycznego między innymi przez zbliżenie się do ówczesnego ministra Rolnictwa i Reform Rolnych -- Juliusza Poniatowskiego.

Rok 1939 — wojna — rozproszył ,,Gospodarkę'' — od Rosji poprzez Bliski Wschód, po Londyn. Większość pozostała w kraju. O losach członków ,,Gospodarki'' decydował przypadek.

W okresie lat 1945-1949 poszczególni członkowie ,,Gospodarki'' odgrywali wybitną rolę w Polsce. Czesław Bobrowski, jako prezes Centralnego Urzędu Planowania był wraz z kilkoma innymi dawnymi członkami ,,Gospodarki'' twórcą pierwszego Planu trzyletniego odbudowy Polski; Michał Kaczorowski ministrem Odbudowy; Kazimierz Sokołowski — wiceministrem Handlu; Dietrich — wiceministrem Skarbu; Jastrzębowski — dyrektorem departamentu Min. Handlu Zagranicznego; Ivanka — dyrektorem departamentu budżetowego; Łączkowski — w czasie swego krótkiego pobytu w Polsce mianowany dyrektorem biura ekonomicznego w Min. Spraw Zagranicznych. Jego miejsce zajął następnie Łychowski. Jeden z najmłodszych członków ,,Gospodarki'' — Michałowski został ambasadorem w Londynie. A równocześnie: Kazimierz Studentowicz był do sierpnia br. w więzieniu w Polsce. Stanisław Skwarczyński zginął w Katyniu.

Józef Poniatowski był członkiem Rady Narodowej w Londynie, Gryziewicz opracował numery krajowe ,,Kultury'', a obecnie wykłada w Adis Ababa; szereg innych z mniej lub więcej czynnych członków ,,Gospodarki'' jest na emigracji: Czerwiński, Zamoyski w Londynie, Jakubowski we Francji, Diamand i Meyer w Brazylii itd.

Trudno jest sądzić dzisiaj: co, jak, dlaczego. Przypadek w życiu wszystkich grał tak wielką rolę od siedemnastu lat! Lepszą perspcktywę da dopiero historia.

W latach 1946-1947 mówiono o ,,grupie'' ,,Gospodarki Narodowej'' w Warszawie, jako o pewnego rodzaju grupie politycznej. Przyśpieszenie rytmu rewolucji zepchnęło większą część ludzi dawnej ,,Gospodarki'' z zajmowanych przez nich miejsc. Pod tym względem ,,Gospodarka'' stała się jedną z ofiar ,,zimnej wojny''...

Tym niemnicj nie należy niedoceniać wkładu grupy ludzi

o tak cennym przygotowaniu i doświadczeniu, do odbudowy gospodarczej zniszczonej przez wojnę Polski.

O wielu rzeczach z tego okresu trudno jest jeszcze teraz pisać, między innymi ze względu na brak danych.

A poza tym cóż jeszcze można napisać? Chyba uronić łzę nad kolejami losów grupy ludzi, którzy należą do nieszczęśliwych roczników na prawdę przygotowanych do służby Polsce. Kiedy im było dane — pracowali jak mogli. Osiągnięcia mieli niemałe. Żadnemu jednak z nich los nie pozwolił wykazać pełnej miary możliwości.

Jako grupa należą już dzisiaj do przeszłości. Stanowią jeden z elementów dziejów tego pokolenia, w które uderzyła zawierucha wojenna i jej konsekwencje w chwili, gdy praca jego dla narodu i państwa mogła być i była najbardziej wartościowa. Są to te niewymierzalne statystycznie straty Polski.

Janusz NEGRYŃSKI

Kongres P. E. N. Club'u i jego polskie echa

Od dawna już żadne wydarzenie nie wywołało w emigracyjnym środowisku intelektualnym tyle zainteresowania, komentarzy i polemik, co odbywający się w Londynie, w dniach 8-14 lipca br., 28-my Kongres Międzynarodowej Federacji P.E.N.-Clubów. Spotkały się bowiem na nim odrębne polskie grupy pisarskie — z Ameryki, z Anglii i z kraju, co zresztą pośrednio wskazuje na pożytek tego rodzaju kongresów, często pochopnie lekceważonych przez ludzi nieobeznanych z ich wewnętrznym, intensywnym życiem, ukrytym poza zewnętrzną fasadą publicznych ceremonii i wystawnych rautów.

800 AUTORÓW

Był to największy z dotychczasowych Kongresów PEN-Club'u i zarazem największy chyba ze wszystkich zjazdów literackich, bo do Londynu przybyło blisko ośmiuset autorów, w czym prawie siedmiuset z zagranicy. Londyn jest miastem o znacznej, aczkolwiek jakby poufnej i dyskretnej tradycji literackiej. Osiedlił się tu Henry James i Karol Marks, przebywał tu niegdyś Erazm z Rotterdamu, Voltaire, Châteaubriand, a jednym z mało znanych, a niewątpliwie efektownych wydarzeń w historii nowoczesnej powieści było jedyne w ich życiu spotkanie między dwoma wielkimi nowatorami : James Joyce'm i Marcelem Proust'em.

Oczywiście najliczniej obesłali kongres gospodarze.

Istotną cechą Kongresu było przybycie trzech delegacji spoza ,,kurtyny odwilży'', to jest z Czechosłowacji, Polski i Węgier, przy czym ośmioosobowa delegacja polska była najliczniejsza i najpoważniejsza z Janem Parandowskim na czele jako gościem honorowym, specjalnie zaproszonym przez PEN-Club angielski.

Naszą literaturę emigracyjną reprezentowało 10 polskich członków Centrum ,,Writers-in-Exile'' oraz parę osób należących wyłącznie do PEN-Club'u angielskiego.

Bardzo liczne obesłanie Kongresu świadczy nie tylko o turystycznych atrakcjach Anglii, ale i o żywotności, mimo nieustannych krytyk, tego dziecka epoki Ligi Narodów, zrodzonego z ówczesnego międzynarodowego optymizmu, z naiwnego entuzjazmu Wellsa, z wiary Galsworthy'ego w zapomnieniu win i błędów przeszłości, we wspólność ideałów kulturalnych. Założenie PEN-Clubu było jednym z ostatnich gestów, wyrastających z europejskiej tradycji humanistycznej, jednym z ostatnich błysków jej pięćsetletniego światła. H.G. Wells pojmował PEN-Club jako zgromadzenie ludzi wolnej myśli i wolnego pióra, indywidualistów świadomie stających ponad podziałami wytwarzanymi przez różne rodzaje solidarności. Dziś natomiast dyskutuje się namiętnie sprawę ,,zaangażowania się pisarza'', przejęcia się duchem czasu i problem służby na rzecz wyraźnej idei politycznej. Mimo tych zmian, znakomity powieściopisarz, E.M. Forster, mógł jeszcze powiedzieć: ,,Reprezentujemy ludzkość wznosząc się ponad przypadkowe różnice rządów, języka, rasy czy koloru skóry. Pamiętajmy, że instynkt twórczy istniał w człowieku, zanim jeszcze wynaleziono narodowość''. Zdanie, zawierające wprawdzie wiele słuszności, ale pod którym nie byłoby łatwo podpisać się autorowi należącemu do literatury, wyrastającej właśnie z narodowego charakteru jej społeczeństwa.

PISARZ I CZYTELNICY

Otworzyło Kongres przemówienie wybitnego polityka konserwatywnego R.A. Butlera, do niedawna ministra skarbu, obecnie przywódcy partii rządowej w parlamencie i członka ,,gabinetu wewnętrznego'' w rządzie angielskim. Butler należy do polityków-intelektualistów, miłośników sztuki, o których tak trudno u nas, a których we Francji tak często spotyka się na Quai d'Orsay, w pałacu Rady Ministrów, w Anglii zaś i na ławach ministerialnych w parlamencie i w armii. Lord Wavel, dowodząc podczas ostatniej wojny korpusem brytyjskim na Bliskim Wschodzie układał i wydawał antologie wierszy, pisanych przez jego żołnierzy; R.A. Butler jest w Anglii prezesem Royal Society of Literature, aczkolwiek nie mógłby o sobie powiedzieć, jak jeden z premierów królowej Wiktorii, Disraeli, który mawiał: ,,Jeśli chcę przeczytać powieść, to ją piszę''.

Butler, mówiąc głównie o zjawisku nowej publiczności, nowych odbiorcach dzieł sztuki, dotknął głównego tematu tegorocznego Kongresu: ,,Autor i czytelnicy: zagadnienia porozumienia i oddziaływania''. W latach powojennych coraz silniej występowały zmiany społeczne będące wynikiem wyrównania dochodów i powszechnego nauczania, podnoszonego na coraz wyższy szczebel. W Anglii podwaliny pod ten stan rzeczy położono w sa-

mych początkach wojny. Jest jakiś powiew wielkości myśli i tchnienie odwagi tego narodu, że w 1940 roku, pracując w schronach, przygotowywano tekst Education Act, ustawy która w 1941 roku głęboko zmieniła warunki uzyskania średniego i wyższego wykształcenia, oraz rozwinęła system stypendiów państwowych do zakresu niespotykanego w innych państwach. Przypomina to prawie Napoleona układającego na Kremlu, podczas pożaru Moskwy, statut Komedii Francuskiej, czy Eurypidesa troszczącego się o inscenizację ,,Elektry'' w najcięższych dniach wojny peloponeskiej. Wojny mijają, sztuka i nauka zostają.

Jednocześnie ze wzrostem świeżych zastępów czytelników rozwinęły się nowe sposoby zaspakajania ich potrzeb i popularyzowania literatury. Masowe przedruki wybranych książek, tanie wydawnictwa kieszonkowe, kluby książki, nadawanie powieści w odcinkach przez radio — wszystko to niepomiernie zbliżyło pisarza do społeczeństwa, prawdopodobnie przyczyniając się też do ostrości problemu ,,zaangażowania się''. W poezji — autorzy, których tomy nie były w stanie przekroczyć w sprzedaży kilku setek, dzięki radiu zyskują miliony słuchaczy; w Anglii są poeci nowego pokolenia utrzymujący się wyłącznie z radiowych recitali poetyckich i przekładów na użytek mikrofonu poezji obcej; w Ameryce okazało się, że gdy wybór wierszy jest właściwie drukiem na wpół prywatnym, teksty poetyckie nagrane przez autorów na płyty patefonowe potrafią osiągać rekordy sprzedażne.

Radio wywarło nawet wyraźny wpływ na kształtowanie się nowego stylu poetyckiego. Dłuższe poematy opisowe, forma prawie zanikła, odżywają pod wpływem audycji radiowych; język wierszy staje się prosty, zwarty, ostry, łącząc dążenie do wyraźnej rytmiki i kompozycji quasi muzycznej z zachowaniem kolokwialnego porządku zdania.

Ale rozszerzenie oświaty i powszechne prawo wyborcze wnoszą demagogię nie tylko do polityki. Trudna sztuka nawiązywania nici porozumienia między jednostkami usuwa się w cień wobec potrzeby przemawiania do tłumu. G.M. Trevelyan, jeden z czołowych historyków, w ,,Historii społecznej Anglii'' wyraża obawę, że ,,nowoczesna oświata powszechna wytworzyła rzesze umiejące czytać, ale niezdolne do rozróżnienia rzeczy wartych przeczytania''.

Na posiedzeniach literackich Kongresu zajmowano się sprawą powstania jakby dwóch kategorii publiczności, a w związku z tym, dwóch grup pisarzy lub nawet dwóch osobowości artystycznych u jednego i tego samego autora. Podkreślano więc, że lepiej płatna praca dla telewizji, radia, filmu odciąga autorów od właściwych zadań zużywając ich siły : pisarz twórczy stopniowo spada do kategorii pisarza-producenta, związanego z przemysłem rozrywkowym. Elmer Rice dowodził, że opanowanie przez przemysł środków przemawiania do wielkiej rzeszy słucha-

czy prowadzi do pojawienia się ukrytej formy cenzury w krajach, których ustawodawstwo cenzury nie przewiduje. Niknie wobec tego swoboda stanowiska pisarza, kontrowersyjność jego wypowiedzi, bezpieczny banał zabija oryginalną myśl.

W interesującej dyskusji zdania podzieliły się: jedni kładli nacisk na powaby i zarazem niebezpieczeństwa nowych technik jak film, radio, a zwłaszcza telewizja, podczas gdy inni, jak na przykład V.S. Pritchett wystąpili z twierdzeniem, że w społeczeństwie pozostaje jak gdyby ta sama suma wrażliwości artystycznej: oświata nie tworzy jeszcze odbiorcy dzieła sztuki, prawdziwa publiczność jest zawsze publicznością elitarną, wszelka twórczość na użytek mas nie ma znamion trwałości i nie przyczynia się do rozwoju kultury. Stąd też i nowe formy działalności artystycznej, uzyskane dzięki nowoczesnym wynalazkom, stoją poza marginesem prawdziwej sztuki, ilekroć odwołują się do mas. J.B. Priestley, wręcz przeciwnie, głosił że autor winien iść ze swoją publicznością, że jest jego obowiązkiem nie pozostawiać jej na łup „sztuki ogłoszeń". Jeżeli telewizja wypiera czytelnictwo, pisarz winien opanować technikę teatru telewizyjnego. Warto w tym miejscu zanotować interesujący pomysł znanego krytyka amerykańskiego, I.A. Richardsa, że telewizja może dostarczyć nowej i cennej formy recytacji poetyckiej: w chwili czytania utworu przez autora czy aktora na ekranie winien zjawiać się tekst wiersza.

Istniejący materiał do tej dyskusji wniosło przemówienie oficjalnego delegata PEN-Club'u polskiego, Ant. Słonimskiego. Słonimski bronił tezy konieczności zdobywania jak najszerszych mas dla jak najwartościowszych postaci kultury. W Polsce powstaje zjawisko nie znane w tym samym stopniu w innych krajach: imponujący bowiem wzrost czytelnictwa, wspomagany przez taniość książki, jest spontaniczny i bynajmniej nie zwraca się ku pozycjom o wątpliwej wartości. Przeciętny, minimalny nakład powieści, wynosi 10.000 w pierwszym wydaniu, tom wierszy ukazuje nię w ilości 3-5.000 egzemplarzy, podczas gdy bardziej znani poeci z łatwością osiągają nakład 50-60.000 dla swych zbiorów. Zaprzeczałoby to twierdzeniom Pritchetta i dowodziło, że w Polsce w nowych warstwach czytelników, zdobytych dla literatury, nie przeważają reakcje prymitywne.

Słonimski twierdził, że dla dotarcia do nowego czytelnika i rozbudzenia jego wrażliwości konieczna jest rewolucja społeczna. Jest to teza idąca zbyt daleko. W Anglii na przykład ogromnym powodzeniem cieszą się tanie wydania klasyków literatury światowej, od Homera zacząwszy — kończąc na Zoli i Huxleyu. Ale równocześnie trzeba przyznać, że zniknęło tu bezrobocie i niedostateczne wynagrodzenie robotnicze. Zmiana więc struktury gospodarczej społeczeństwa, a nie radykalny przewrót, wydaje się warunkiem koniecznym dla zjawiska masowego czytelnictwa.

Słonimski przyznał, że proces społeczny, którego wynikiem

dodatnim jest podniesienie się oświaty i wzrost zainteresowań kulturalnych w szerokich masach, przynosi zarazem ,,pewne trudności'' (*some inconveniences*). Było to łagodne określenie na przemożny wpływ państwa na literaturę, na brutalne ,,administrowanie'' sztuką i żądanie od niej wykonywania programu dydaktycznego. Mówca stwierdził że pod tym względem cel zniweczył sam siebie i dodał, że w tej chwili odbywa się odwrót od popełnionych błędów.

Nie zostało jednak powiedziane, że w Polsce nadal nie ma miejsca na swobodne ścieranie się różnic światopoglądowych, na pełną wolność sądu intelektualnego, że zamarł eksperyment artystyczny, a nauki filozoficzne znajdują się w stanie upadku. Zrozumiałe względy muniały stworzyć tę różnicę między zagranicznym wystąpieniem Słonimskiego, a jego lapidarnymi, dosadnymi określeniami na ostatniej sesji Rady Kultury i Sztuki.

Uwagi Słonimskiego przyczyniły się do wprowadzenia problemu mecenatu. Gdy zniknął mecenat prywatny, wraz z zubożeniem klasy średniej a upowszechnieniem oświaty, rolę mecenasa sztuk i nauk przejmuje państwo. Ale jakie państwo, jaka komisja artystyczna odważyłaby się na przykład przyznać stypendia Baudelaire'owi czy Verlaine'owi w poezji, Joyce'owi czy Kafce w prozie? Polskie doświadczenia ostatnich lat źle wróżą o wielkoduszności i o zmyśle krytycznym mecenatu państwa. Toteż min. Butler bardzo słusznie podkreślił w swym przemówieniu inauguracyjnym, że w Wielkiej Brytanii zawsze przyjmuje się zasadę, iż państwo nie powinno stykać się bezpośrednio ze sferą nauki i sztuki; rozdziałem funduszy zawsze zajmuje się niezależny fachowy czynnik społeczny. I to powinno stanowić pożyteczny wzór dla krajów socjalizmu. Charles Morgan poszedł jeszcze dalej w swej zwięzłej definicji : ,,Jedynie artyści wiedzą, czym jest sztuka i lepiej żeby i państwo i różni filistyni zostawili ich w spokoju''.

NIEPEWNOŚĆ I OBAWY

Na innych posiedzeniach zajmowano się rolą krytyki oraz historią jako gałęzią sztuki, znów odzyskującą miejsce odrębnego rodzaju literackiego. Z referatów przebijał wniosek, że gdy dziś na zachodzie Europy jednym z dominujących kierunków filozoficznych w środowiskach uniwersyteckich jest logiczny pozytywizm, wywodzący się z założeń Wittgensteina, idei dających koncepcję życia ludzkiego trzeba szukać w historii. Stąd powrót historyka do roli pośredniego nauczyciela ludzkości, starającego się wykryć w jej losach działanie pewnych praw lub wzorów, stąd znaczenie dzieła Arnolda Toynbee i studiów filozoficzno-historycznych Butterfielda.

Wśród dyskusji nad metodami krytyki główny spór toczył się o jej artystyczny, czy też — przeciwnie — naukowy charakter. Z głównym tematem Kongresu związały go uwagi, że nowe

techniki artystyczne, jak radio i telewizja, powinny doprowadzić do powstania także i nowych gałęzi poważnej krytyki, ponieważ tylko poprzez stałą analizę i ocenę można przyczynić się do podniesienia poziomu tych technik do rangi sztuki. Osobne sekcje omawiały wystąpienie świeżych metod artystycznych w poezji i powieści.

W całości przebieg dyskusji kongresowych wywołał wrażenie wyraźnego rozdziału między pisarzami a rozległą dziedziną nowych środków trafiania do czytelnika, zmieniającego się coraz częściej w widza patrzącego na ekran telewizyjny. Jako jedno ze źródeł postawy, nacechowanej raczej rezerwą i niepewnością reakcji, można by wymienić często izolację pisarzy od życia, stworzenie z pisarstwa odrębnego zawodu, tracącego związek z życiem takim, jak je przeżywają przeciętni ludzie współczesnej epoki. Występowanie prądów w rodzaju autentyzmu czy nawet realizmu socjalistycznego potwierdza swymi próbami zasypania tej przepaści jej rzeczywiste istnienie.

Zarazem artysta, pozbawiony dawnego mecenatu, dawnej publiczności dającej mu pewne oparcie moralne i materialne, z lękiem spogląda zarówno na pomoc państwa, jak i na ponętne oferty telewizji czy filmu : w obu wypadkach jego wolność doznaje skrępowania, jego wizja artystyczna — zwężenia i zubożenia. Tak zwane szerokie masy, coraz czynniej wstępujące i na arenę dziejową i w życie kulturalne nie wydały jeszcze swoich własnych artystów; oklaskują one nadal twórców wywodzących się z odmiennej i raczej elitarnej tradycji kulturalnej. Problem ten może rozwiązać dopiero przyszłość, Kongres stwierdził tylko jego istnienie. Pesymiści zapewne pozostali przy zdaniu, że prawdziwa sztuka zawsze będzie wyłącznie udziałem ograniczonej grupy, gdyż wrażliwość na dzieło sztuki i wysoki stopień inteligencji są takim samym darem losu jak zdolności twórcze. Optymiści skłonni są wierzyć, że postęp materialny pozwoli na taki rozwój oświaty iż wykształcenie smaku w masach ludowych sprawi, że równoczesne pozostawanie w obiegu dobrej i złej literatury będzie podlegać odwrotnemu niż w ekonomii działaniu prawa Greshama : rzecz dobra wyprze złą. Wreszcie ludzie o poglądach zbliżonych do kierunków marksistowskich posiadają nieco mistyczną wiarę w lud, w człowieka prymitywnego, sądząc iż instynkt twórczy tkwi we wszystkich ludziach i że jedynie warunki życiowe stępiły jego działanie. Wyzwolenie człowieka od trosk materialnych powinno — w myśl tych założeń — wyzwolić zarazem ogromną falę twórczości, przemieniając kształtującą się dzisiaj ,,kulturę masową''.

REZOLUCJA I PROTESTY

Debaty literackie Pen-Club'u polegają na swobodnych wypowiedziach uczestników; w tym roku sprawna organizacja oraz prace przygotowawcze zapewniły że referaty skupiały się wokół

paru naczelnych zagadnień. Natomiast rezolucje kongresowe są wynikiem gorących sporów i formalnego głosowania, w którym każde Centrum rozporządza jednym tylko głosem.

Przebieg głosowania nad wnioskiem w sprawie wprowadzenia języka niemieckiego jest publiczną tajemnicą i wykazuje rolę odegraną przez delegację polską i delegację Centrum ,,Writers-in-Exile'' (pisarze emigracyjni). Na poprzednim kongresie w Wiedniu równa ilość głosów padła ,,za'' jak i ,,przeciw'', co automatycznie przeniosło sprawę jako nierozstrzygniętą na kongres londyński. Tutaj powstała podobna sytuacja, przy czym delegacja polska wstrzymała się od głosu, rozsądnie unikając posądzenia o zasadnicze antagonizmy polityczne. Nadało to stanowisku delegatów pisarzy emigracyjnych rolę decydującą : oddanie głosu przeciw rezolucji powtórzyło równowagę głosów, osiągniętą w Wiedniu, i znów odroczyło całe zagadnienie.

Centrum australijskie przedstawiło wniosek domagający się bądź zawieszenia, bądź też nawet skreślenia z listy członków Federacji tych PEN-Clubów, które nie dają gwarancji, że ich działalność nie podlega ograniczeniom sprzecznym z wymaganiami Karty zasad P.E.N. Chodziło o pośrednie potępienie tych państw środkowo-europejskich i azjatyckich, gdzie cenzura w połączeniu z dotkliwymi represjami wobec jednostek (z rozstrzelaniem włącznie) odbiera pisarzowi jego swobodę twórczą, a nawet wszelką możliwość pracy intelektualnej. Zastosowanie się do tego wniosku musiałoby na przykład dość szybko doprowadzić do zastosowania sankcji moralnych wobec PEN-Club'ów węgierskiego, czechosłowackiego i polskiego.

Oczywiście kąpani w gorącej wodzie ludzie, szukający przede wszystkim zaspokojenia własnej ambicji poprzez swoisty ,,ekshibicjonizm patriotyczny'', bez myśli o następstwach takich popisów, są z góry gotowi przyklasnąć każdemu projektowi, który by ,,środkami demokratycznymi' jak najskuteczniej odcinał od Zachodu społeczeństwa i tak już oddzielone od niego linią wpływów rosyjskich. Jeżeli dziś, po wieloletniej przerwie, pisarze z Polski i sąsiednich krajów mogą przyjeżdżać na Kongresy PEN-Club'u, jest to jedna więcej wątła nić praktycznie łącząca ich ze światem, z którego od wieków czerpała ich własna tradycja kulturalna; przerwanie tej nici wyrządzi tylko szkodę, którą może się pysznić lekkomyślny emigrant, ale za którą *oni* zapłacą. A zresztą, czyż jest to cena warta jednej więcej pustej demonstracji, przypominającej i tak rzeczy ogólnie wiadome? Delegacja Centrum Writers-in-Exile głosowała przeciw australijskiej rezolucji; wniosek ten upadł.

Przyjęto natomiast i przedstawiono następnie na plenum Kongresu rezolucję, zgłoszoną łącznie przez Centrum Writers-in-Exile, Centrum Estońskie, Centrum Łotewskie i nowojorskie Centrum literatury w języku żydowskim. Mówiła ona :

> ,,PEN-Club'y zebrane na swym 28. Międzynarodowym Kongresie w Londynie są głęboko przejęte liczbą pisarzy, którzy w różnych

częściach świata nadal znajdują się w więzieniach, w miejscach przymusowego pobytu, w obozach pracy, lub też którym uniemożliwia się ogłaszanie ich prac ze względu na ich poglądy, pochodzenie lub język. Kongres wzywa wszystkie Centra do wykonania postanowienia Karty PEN-Club'u poprzez *a*) uczynienie wszystkiego co leży w ich mocy, aby uzyskać przywrócenie wolności tym autorom, *b*) dopomożenia pisarzom którzy nie są pozbawieni wolności, ale którym odmawia się prawa ogłaszania ich prac, do wydawania ich drukiem."

Rezolucję, niezwłocznie po złożeniu jej na międzynarodowym zarządzie, poparł delegat Centrum polskiego. Na plenum przyjęto ją jednomyślnie, po czym minutą milczenia uczczono pamięć wszystkich pisarzy, którzy padli ofiarą prześladowań dogmatycznych, totalistycznych reżymów.

Nie przeszła natomiast osobna rezolucja nowojorskiego Centrum literatury w języku żydowskim, protestująca przeciw wymordowaniu za rządów Stalina licznych przedstawicieli tej literatury w Związku Sowieckim. Zgłoszono ją, niestety, już po terminie przepisanym przez regulamin obrad, co automatycznie wymaga kwalifikowanych dwóch trzecich dla jej przyjęcia. Mimo więc uzyskania zwykłej większości nie mogła być akceptowana przez zarząd.

Drugą uchwałą Kongresu było przyjęcie rezolucji, zgłoszonej jeszcze w Wiedniu przez ,,Deutsches Centrum : Ost und West''. Nazwa ta jest myląca; przybrał ją demonstracyjnie, podkreślając swe aspiracje do zjednoczenia Niemiec i do członkowstwa pisarzy z Niemiec Zachodnich, Pen-Club Komunistycznych Niemiec Wschodnich. Dyskutowanie rezolucji we Wiedniu, znajdującym się jeszcze pod nadzorem czterech władz okupacyjnych, okazało się kłopotliwe dla gospodarzy. W Londynie wywołała ona również żywe sprzeciwy, jak i gorące obrony. Oto jej tekst :

,,Międzynarodowa Federacja PEN-Club'ów, doceniając niezmierną powagę czasów w jakich żyjemy, oraz nieograniczone wprost niebezpieczeństwa zagrażające rodzajowi ludzkiemu wskutek rozwoju środków masowego zniszczenia, wyraża swą sympatię wszystkim pisarzom którzy uważają za swój obowiązek uświadamianie swych bliźnich o całej rozciągłości tej groźby."

Wśród mówców, sprzeciwiających się rezolucji, zabierał głos Cz. Miłosz, który zaznaczył, że niedostatecznie sprecyzowany tekst obejmuje zarówno autorów, rzeczywiście słuchających głosu sumienia, jak pisarzy w rodzaju I. Ehrenburga, będących tylko głosem każdorazowej tendencji propagandowej. Największe jednak wrażenie wywarło lakoniczne wystąpienie delegatki japońskiej, która oświadczyła krótko : ,,Myśmy poznali z bliska bombę atomową, nie chcemy odnawiać tej znajomości''. Przyjęto rezolucję niewielką większością głosów, która nie stanowiła większości wszystkich głosujących wobec powstrzymania się od głosu wielu delegacji. Przewodniczący, prof. Denis Saurat, uzna

rezolucję za uchwaloną, co wywołało później zgłaszanie różnych zastrzeżeń.

Jakiekolwiek by wobec nich zająć stanowisko, trzeba stwierdzić, że dwie przyjęte rezolucje kongresu londyńskiego wyrażają pewną wspólną świadomość świata intelektualnego: przerażenie osłabieniem się pozycji pisarza, lekceważeniem praw jednostki i obłędnym wyścigiem zbrojeń. Wpływ środków masowego oddziaływania na myśli i uczucia, jak film, radio, telewizja, związanych wskutek swej strony technicznej albo z wielkim przemysłem, albo z państwem, zabierają z rąk pisarza, z rąk samotnej, niezależnej, uczciwej jednostki możność swobodnej, pogłębionej dyskusji z drugą jednostką — czytelnikiem.

Tak by wyglądała konkluzja Kongresu, przeżywającego swe emocje intelektualne w węższym gronie, gdy tłum kongresowiczów zapełniał przyjęcia i przeróżne pokazy. Na miejsce ustępującego prezydenta Federacji, Charles Morgana, wybrano André Chamson, znanego powieściopisarza, członka Akademii Francuskiej, dyrektora Petit-Palais w Paryżu. Najbliższe trzy lata pokażą czy będzie on umiał być równie zdecydowanym szermierzem zasady niepodległości pisarza, jak odważny, stanowczy i bezkompromisowy w tych sprawach Charles Morgan.

Z POLSKI — I NIE Z POLSKI

W skład ośmioosobowego zespołu przybyłego z Polski, obok J. Parandowskiego weszli: Michał Rusinek, Antoni Słonimski (delegaci z prawem głosu), Kazimierz Brandys, Jan Brzechwa, Maria Dąbrowska, Antoni Mirek-Olcha, Jerzy Zawieyski. J. Iwaszkiewicz nie mógł przyjechać z powodu stanu zdrowia. Przemówienie Słonimskiego w dyskusji nad problemem nowego czytelnika zostało nagrane przez radio brytyjskie; Jan Parandowski wygłosił na jednym z posiedzeń literackich piękny odczyt o stosunku wytwarzającym się między autorem a czytelnikiem; pisarze przybyli z Polski spotykali się często z innymi delegacjami, odwiedzali pisarzy emigracyjnych, byli niewątpliwie najżywszym i najczynniejszym zespołem spoza linii politycznej przecinającej dziś Europę.

Najważniejszym posunięciem delegacji PEN-Club'u polskiego było zgłoszenie Warszawy jako miejsca jednego z najbliższych kongresów. W 1957 roku Kongres odbędzie się prawdopodobnie w Japonii, która zaprosiła PEN-Club'y do Tokio jeszcze na wiosnę bieżącego roku. Następne miejsce zajmuje Izrael, który zgłosił swe zaproszenie we Wiedniu, wobec jednak naprężonej sytuacji na Bliskim Wschodzie wybór Izraela może być mało prawdopodobny. W 1958 roku Kongres powinien zatem odbyć się w Polsce, a w razie jakichkolwiek trudności, związanych z zaproszeniem japońskim, może nawet niespodzianie zjawić się perspektywa kongresu w Warszawie już w najbliższym roku. Sprawy te decydują się ostatecznie na posiedzeniach mię-

dzynarodowego zarządu, będącego stałą władzą Federacji. W razie konkretnej możliwości Kongresu w Polsce zdanie Centrum Writers-in-Exile będzie mieć duże znaczenie.

Wielu członków zespołu podejmowały serdecznie koła emigracyjne w Londynie, odnawiając przedwojenne przyjaźnie, ciesząc się szczególnie gorąco z przybycia najznakomitszej współczesnej autorki polskiej, Marii Dąbrowskiej, oraz dwóch pisarzy których ostatnie lata zmuszały do długotrwałego milczenia: M. Rusinka i J. Zawieyskiego. Szkoda jednak, że nie wszystkie miejsca w delegacji zostały wykorzystane równie właściwie i że środowiska polskiego w Londynie nie odwiedziło więcej prozaików i poetów średniego i młodszego pokolenia.

Z licznych spotkań londyńskich warto zanotować wieczór u H. Naglerowej, na którym między innymi była M. Dąbrowska i Kazimierz Wierzyński, śniadanie w Café Royal w Londynie, popularnym miejscu spotkań literackich, sięgającym tradycją doby Oscara Wilde'a, gdzie podejmowano Marię Dąbrowską, Jana Parandowskiego z żoną, Michała Rusinka z żoną, Jerzego Zawieyskiego oraz gościa z Ameryki, prof. W. Weintrauba. Goście z Polski mieli więc dużo sposobności do poznania życia emigracji, zapoznania się z jej klimatem uczuciowym, poglądami, zaznajomienia się z sytuacją swych kolegów, którzy zdecydowali się na dalszą pracę literacką poza granicami kraju.

W ostatniej chwili członkowie PEN-Clubu polskiego z Warszawy spróbowali zbiorowo zrewanżować się za doznawaną gościnność, prosząc do siebie tych pisarzy emigracyjnych, z którymi zdążyli się jeszcze tuż przed odjazdem porozumieć, na pożegnalne śniadanie. Oprócz gospodarzy wzięli w nim udział : J. Czechowicz-Mieroszewska, Z. Broncel, Z. Grabowski, J. Jasieńczyk, J. Mieroszewski, B. Taborski, J. Tokarski, J. Sito, W. Strzałkowski. Wśród długiej rozmowy wzniesiono trzy toasty. Pierwszy za pomyślność kultury polskiej, wykazującej że potrafi przetrwać najcięższe próby i najboleśniejsze podziały, drugi — za pomyślność najstarszego i najmłodszego pokolenia pisarzy (wywołał ten spontaniczny toast J. Zawieyskiego widok M. Dąbrowskiej, gawędzącej z młodym poetą J. Sito, wychowanym już w Anglii ale piszącym swe wiersze piękną polszczyzną) i trzeci — za prawdziwie wolnego człowieka w państwie rzetelnej sprawiedliwości społecznej. Ten ostatni toast wyraził ideał o jakim zapewne marzy dziś olbrzymia większość narodu polskiego i w kraju i poza krajem.

Literaturę emigracyjną na Kongresie reprezentowali przede wszystkim pisarze, należący do Centrum Writers-in-Exile. Było ich 10 : C. Wieniewska, Z. Broncel, Z. Grabowski, A. Janta, T. Lisiewicz, C. Miłosz, Z. Nowosielska, Wit Tarnawski, S. Westfal, K. Wierzyński. Część wyżej wymienionych należy również do centrum angielskiego, ale jedynie PEN-Club, zrzeszający pisarzy emigracyjnych, daje im prawdziwą możność kontaktu z przedstawicielami innych literatur i wpływania na de-

cyzje, zapadające na posiedzeniach międzynarodowego zarządu Federacji. Ci, którzy na terenie międzynarodowym nie podkreślają swego charakteru pisarza-emigranta politycznego i trzymają się na uboczu od Centrum Writers-in-Exile, należąc wyłącznie do PEN-Club'u angielskiego, nie odegrali na Kongresie londyńskim żadnej roli.

K. WIERZYŃSKI i M. RUSINEK

Kongres zakończył się 14 lipca wycieczkami do najstarszych uniwersytetów angielskich: Oxford i Cambridge. W dwa dni później Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie podejmował obiadem literackim trzech polskich gości ze Stanów Zjednoczonych: K. Wierzyńskiego, prof. W. Weintrauba i A. Jantę. Niestety, przebieg tego zebrania zawiódł pokładane nadzieje.

K. Wierzyński jest wybitnym pisarzem, którego utwory zapewniły mu już trwałe miejsce w historii naszej literatury. Ze Stanów Zjednoczonych przyjechał do Europy po raz pierwszy od wielu lat; spodziewano się go tu z niecierpliwością i wzruszeniem, a po wspólnym z nim obiedzie literackim wielu spodziewało się cennego i trwałego wspomnienia. Liczono więc 16 lipca na przemówienie Wierzyńskiego, które by niejako zapełniło przedział tylu lat rozłąki i związało się z jego programem poetyckim; od innych mówców spodziewano się zwięzłej oceny i barwnej syntezy twórczości tak znakomitego poety. Tymczasem Wierzyński, odpowiadając na powitania, nie wyszedł poza zdawkowe słowa pozdrowień, zabarwione niemal tonem pewnego lekceważenia dla zebranych, witający go zaś mówcy wieczoru, z wyjątkiem dowcipnego intermedium J. Sakowskiego i dowodów wzruszenia złożonych przez czcigodnego prof. M. Kukiela, dali popis przeraźliwego banału, nie zaprawionego ani jedną oryginalną myślą, ani jednym ciekawszym sądem krytycznym. Co gorsza, nawet polszczyzna tych wystąpień pozostawiała wiele do życzenia.

Przewodniczącemu (T. Terlecki) nie można pogratulować taktu w wyborze na pierwszego mówcę Ferdynanda Goetla; jedyne, niefortunne zresztą, uzasadnienie takiego wyboru można znaleźć w chęci nawiązania (jakże niepotrzebnego) do pamięci jędrzejewiczowskiej Akademii Literatury, której i Goetel i Wierzyński byli członkami przed wojną. Nazwisko Goetla łączy się z powieścią ,,Z dnia na dzień'', ale także i z wypowiadanymi na krótko przed wojną zachwytami dla faszyzmu i z poważnymi zarzutami dotyczącymi jego postępowania podczas okupacji niemieckiej, jakie mu postawił Stefan Korboński w obu swych rewelacyjnych książkach. Goetel nigdy nie dał na nie wyczerpującej odpowiedzi. Następnie Janusz Jasieńczyk, recenzując na łamach ,,Kultury'' wspomnienia wojenne Goetla, wydane przez Veritas, zarzuty te powtórzył, znów stwierdzając, że Goetel zamiast sprawę wyjaśnić, starał się je w swej książce pominąć.

Jakkolwiek daleko szłaby tolerancja emigracji, nie są to kwalifikacje do występowania w imieniu pisarzy polskich w Anglii.

Przygnębiającego obrazu dopełniło mimo woli wystąpienie Aleksandra Janty. Opisywał on dobrobyt społeczeństwa polskiego w Ameryce, charakteryzując zarazem sposób, w jaki zużywa ono swoje dość wysokie dochody. Janta podkreślił, że w jednym tylko z większych miast amerykańskich znajduje się około 800 ,,tawern'' (powtarzam eufemizm mówcy), należących do polskich właścicieli. Tygodniowy ich obrót wynosi około 800 dolarów, co znaczy że w ciągu miesiąca wydaje się tam na alkohol 400.000 dolarów, a w ciągu roku 20 milionów dolarów. Równocześnie polskie fundusze kulturalne wyrażają się wprost śmiesznymi sumami. Tak na przykład nagroda, ufundowana w Detroit za utwór literacki związany z walkami AK nie sięga nawet stu dolarów.

Słuchał wszystkiego — co nadało prawie historyczny charakter temu spotkaniu — gość z Polski, członek Związku Literatów z Warszawy, Michał Rusinek, autor ,,Człowieka z bramy'', ,,Burzy nad brukiem'' i tłumaczonej właśnie na holenderski i niemiecki ,,Wiosny Admirała''. Rusinek pozostał w Londynie po zakończeniu Kongresu PEN-Club'u, po wyjeździe swych kolegów do Paryża. Dało mu to możność wyrażenia chęci udziału w koleżeńskim spotkaniu pisarzy emigracyjnych. Zgodnie z obyczajem naszych ,,obiadów literackich'' każdy członek Związku ma prawo wprowadzenia jednego gościa. Czy można sobie wyobrazić by ktokolwiek powiedział ,,nie'' pisarzowi z Polski, który ma odwagę cywilną uczestniczenia w zebraniu emigracyjnym, uważając że zawsze łączy nas polskość i służba sztuce narodowej ? Czy można pomyśleć, by ktoś zamknął nasze drzwi autorowi, który sam przez długie lata porał się z trudnymi warunkami, patrząc jak leżą nie wznawiane jego powieści przedwojenne i jak próżno czekają na druk jego rękopisy powojenne ?

Wprowadzającym M. Rusinka był J. Mieroszewski, na obiad przybył on w towarzystwie niżej podpisanego i R. Kiersnowskiego. Na kilka dni wcześniej zawiadomiono o tym gospodarzy obiadu : J. Czechowicz i J. Kowalewskiego, którzy, rzecz jasna, nie wyrazili żadnych zastrzeżeń. Poinformowano również o niezwykłym gościu prezesa Związku, T. Terleckiego. Rzecz była prosta i oczywista. Mogła być tylko powodem do radości, że zmiany w kraju postąpiły na tyle daleko, że pisarz stamtąd nie obawiał się dla siebie nieprzyjemnych następstw z racji udziału w obiedzie emigracyjnego środowiska literackiego.

Mimo to przewodniczący nie znalazł dla gościa z Polski miejsca przy stole honorowym, przy którym zasiedli goście z Ameryki. Nie chciał też znaleźć dla niego *ani jednego słowa powitania*. Działał w tym wbrew nastrojowi sali, gdzie wszystkie twarze zwracały się w stronę stolika w kącie, zajmowanego przez Rusinka i przez tych, którzy od razu pospieszyli go przy-

witać. Cały wieczór toczył się jak gdyby na dwóch planach: formalnym i rzeczywistym, zmieniając się z minuty na minutę z obiadu na cześć Wierzyńskiego, Weintrauba i Janty z udziałem Rusinka, w obiad na cześć Rusinka z udziałem tamtych.

Gdy stół prezydialny uporczywie utrzymywał swą ślepotę i głuchotę na rzeczywistość, Janusz Jasieńczyk trzykrotnie prosił o głos, by móc przynajmniej stwierdzić obecność na sali gościa z Polski. Dwa, trzy lata temu oburzone przemówienia potępiały Żelazną Kurtynę, skarżyły się na zatrzaśnięcie drzwi między krajem a zagranicą. Dziś — pisarza z kraju, dawnego przyjaciela i znajomego wprost nie chciano dojrzeć. Rusinek odczuł to i powiedział do otaczających, że gdy on nie bał się tu przyjść, Terlecki najwidoczniej boi się go przywitać.

Po każdym następnym mówcy Jasieńczyk znów dopominał się o głos. Ale ponieważ chwalimy się, że zawsze stosujemy „środki demokratyczne", głosu nie otrzymał. Obawiam się, że choć w Polsce ciągle dzieje się wiele rzeczy złych i margines swobody słowa w rzeczach istotnych jest nadal skromny, ta sytuacja byłaby jednak nie do pomyślenia w warunkach „odwilży" na zebraniu Związku Zawodowego Literatów w Warszawie.

A przecież przewodniczący wieczoru miał przed sobą tak prostą i łatwą sytuację! Rusinek przyszedł nie dla zwracania na siebie uwagi czy zamącania w czymkolwiek programu uroczystości urządzonej na cześć naszych kolegów z Ameryki, przeciwnie — chciał się do niej przyłączyć. Wystarczyłoby powiększyć o nazwisko Rusinka listę witanych życzliwie gości i stwierdzić fakt miłej niespodzianki, na którą jeszcze tak nie dawno nie można byłoby liczyć w najśmielszych oczekiwaniach. Aż dziwić się można, że Terlecki, człowiek wrażliwy, a jako znawca teatru czuły na reakcje publiczności, swą ofiarną pracą na stanowisku prezesa Związku dający wielokrotnie dowody ile mu zależy na powadze i znaczeniu tej organizacji, ze wszystkich możliwych wyjść — wybrał najgorsze. Konsekwentnie przemilczawszy obecność Rusinka na sali podczas całego zebrania, po zakończeniu wieczoru podszedł do niego i z rozbrajającą naiwnością wypowiedział przy wszystkich sekretne zdanie: „Nie chciałem pana przywitać, by panu nie zaszkodzić".

Zwrot ten musiał ośmieszyć emigrację w oczach krajowego pisarza, pokazując mu jak słabo prezes Związku orientuje się w wewnętrznych warunkach polskiego życia. Toteż Rusinek odparł żartobliwie: „A ja się z panem przywitam, choć to panu zaszkodzi na emigracji". Rusinek nie przeczuł, że tego rodzaju zjawisko wśród firmowych, emigracyjnych obrońców demokracji wkrótce zacznie występować w postaci świadomie organizowanego terroru ze strony wszelkich miernot.

Stanowisko Terleckiego było wynikiem swoistej obsesji, według której każde słowo uznania np. dla osiągnięć artystycznych w kraju, wypowiedziane zagranicą, automatycznie „łamie" życie

pisarza w Polsce. Z tych właśnie fantastycznych względów pre: zes Związku Pisarzy odrzucił w zimie rb. myśl zrobienia wieczo ru, poświęconego twórczości Dąbrowskiej, oraz wieczoru, któr miał uczcić jubileusz Parandowskiego. W całej zresztą działal ności Związku występuje ta nuta odżegnywania się od niebez piecznego ducha, zwanego Krajem. Każdy bowiem przykład, i: w kraju powstają pewne wartości podważa teologiczną teorię że emigracja jest świętością narodową poprzez sam fakt istnieni bez względu na swe cechy i osiągane wyniki. Fałszywe inter pretowanie oficjalnego stosunku do pisarza w kraju (to nie wła dze są potrzebne Dąbrowskiej i Parandowskiemu, lecz zgoła odwrotnie) jest częściowo psychologicznym przeniesieniem w tam ten układ naszych własnych, niezbyt przyjemnych stosunków emigracyjnych. Tu bowiem, jeśli autora dostrzeże, albo co gor sza, pochwali krytyka krajowa, od razu zaczyna się przeciw nie mu kampania złośliwych recenzji i perfidnie rozsiewanych podej rzeń. A być cytowanym przez pisma w kraju, to prosta drog narażania się na *donosy* do władz kraju osiedlenia.

Na domiar złego nie jest to obsesja całkowicie szczera, gdy stanowi ona świadome wspieranie zapory przeciw wszelkiej kon frontacji życia kulturalnego emigracji z życiem kulturalnym kra ju w obawie, iż każde zdrowe porównanie może zaszkodzić prze różnym emigracyjnym wielkościom, możliwym wyłącznie w atmo sferze małomiasteczkowego ghetta paru dziesiątków tysięcy pol skiego Londynu, może zwrócić uwagę na ubóstwo krytyki, esseis tyki, studiów historyczno-literackich, na dychawiczne tempo ży cia intelektualnego.

Jedną z najtypowszych, najpowszechniejszych reakcji ludz przyjeżdżających z kraju jest zdanie: ,,Ależ wy nie kupujec książek, nie czytacie, nie prowadzicie dyskusji politycznych ar filozoficznych. Między śpiewaniem hymnów politycznych a gra niem w brydża nie ma u was nic pośrodku''.

Wróćmy jednakże do obiadu Związku, albowiem, niestety nie jest to jeszcze wszystko. Po wyczerpaniu listy mówców udzie lono głosu dr. Witowi Tarnawskiemu — stało się w blisko dwi godziny po rozpoczęciu zebrania, gdy już każdej chwili, wsku tek nastroju sali, groził jawny wybuch skandalu. Dr Tarnawsk w zręcznych i taktownych słowach próbował naprawić gaf przewodniczącego. Podkreślił, że oto obecni są nie tylko mi goście z Ameryki, ale jest i gość z Polski, tym milszy, że ta mało spodziewany. Stało się to hasłem do ogólnej hucznej owac na cześć Rusinka. Urósł on do rozwiaru symbolu; entuzjaz sali stał się demonstracją tego, co czuje rzesza emigracyjn w przeciwstawieniu do wszelkich zawodowych prezesów, równ odciętych od prawdziwych nastrojów kraju, jak i nastrojów em gracji. Długotrwałe oklaski, serdecznie wyciągnięte ku niem dziesiątki dłoni wynagrodziły Rusinkowi te długie chwile, kied mógł pomyśleć że Polacy nie potrafią już rozpoznać Polaka.

Odpowiedział Rusinek na przemówienie Tarnawskiego w kilku skromnych słowach, mówiąc, że zrezygnował ze spotkania z odnalezionym przyjacielem, z człowiekiem który podczas wojny ocalił mu w Niemczech życie, byle móc choć przez parę godzin znaleźć się po tylu latach w gronie dawnych kolegów, spotkać ludzi tak mu niegdyś bliskich. Kończąc Rusinek podziękował dr. Tarnawskiemu że swymi uwagami ,,poprawił topografię serca'', o której mówiono na tym wieczorze, włączając do niej, obok Ameryki i Anglii także i pisarzy tworzących w kraju.

Wywołało to nową owację. Nie przeszkodziło to Z. Nowakowskiemu, którego *nie było* na tym wieczorze i który przemówienia Rusinka *nie mógł* słyszeć ani czytać (gdyż nie było ogłaszane), określić je jako *,,prowokacyjne''*. Terlecki swym przewodniczeniem na tym pamiętnym zebraniu dał nie tylko przykład nietaktu i niezręczności, lecz popełnił jeszcze jeden z najcięższych u pisarza grzechów : grzech skąpego serca. Nowakowskiemu zaś sumienie publicysty pozwoliło wydać wyrok ,,prowokacji'' na słowo uczciwego człowieka, rzetelnego pisarza, niesplamionego służalczością i zmienianiem poglądów dla materialnego zysku, których to słów nie słyszał i nie mógł dokładnie znać. Ów stempel ,,prowokacji'' tak lekkomyślnie na nie nałożony, obraża tych wszystkich którzy z radością i przekonaniem oklaskiwali koleżeńskie pozdrowienie złożone przez Rusinka jego kolegom po piórze na emigracji. Gdyby Z. Nowakowski był na tym zebraniu, słysząc te brawa, patrząc na ten spontaniczny wybuch entuzjazmu, nigdy by — mam nadzieję — swego nieszczęsnego określenia nie użył.

Felieton Z. Nowakowskiego ukazał się na łamach londyńskiego ,,Dziennika Polskiego'', pisma w którym J. Kowalewski określił (10.8.56) Marię Dąbrowską, najznakomitszą współczesną polską powieściopisarkę, działaczkę społeczną zasługującą na najwyższy szacunek za odwagę cywilną i bezkompromisowość, jako ,,reprezentantkę reżymowej organizacji''. Nowakowskiego mógł ponieść temperament publicystyczny, wątpię jednak by dumny był z sąsiadowania na łamach wspomnianego pisma z tak dojrzałym myślicielem i tak subtelnym stylistą jak J. Kowalewski.

,,Dziennik Polski'', który drukuje felieton Nowakowskiego, występujący przeciw wszelkim próbom ogłaszania w kraju jakichkolwiek utworów pisarzy emigracyjnych, jest — formalnie przynajmniej — kontrolowany przez Komitet Powierniczy, składający się z A. Bogusławskiego, St. Balińskiego, J. Sakowskiego i W. Czerwińskiego. Otóż ,,Życie Warszawy'', pismo często i gęsto cytowane przez ,,Dziennik Polski'' w różnych wypadkach, a w tym jednym właśnie przemilczane, ogłosiło felieton A. Słonimskiego zapowiadający ukazanie się w Polsce obszernego wyboru wierszy St. Balińskiego. Tę samą informację, uzupełnioną szczegółami projektowanego wydawnictwa, podały audycje radia warszawskiego. Jak dotąd, na łamach ,,Dzien-

nika" nie ukazało się żadne oświadczenie Komitetu Powierniczego, zaprzeczające tej wiadomości.

St. Baliński jest znakomitym poetą, a jego utwory, będąc istotną częścią naszej kultury narodowej winny być udostępnione polskiemu społeczeństwu bez czekania — jak sądzę — na zgon autora, jak to się stało jeśli idzie o spuściznę literacką Lechonia. Takie wiersze Balińskiego jak „Kolęda Warszawska 1939", „Wizja ghetta", „Smutny młodzieniec" należą już dziś do wstrząsających arcydzieł liryki polskiej powstałych w dniach wojny. Jeżeli je można przekazać całemu narodowi, byłoby poważną odpowiedzialnością zamykać je w naszej angielskiej szkatułce, z chwilą gdy zjawi się możliwość ich druku w Polsce. Nie chodzi tu więc o sprzeciw wobec projektu ukazania się takiego zbioru w kraju (to zostawiamy tym, którzy w idealnych nawet warunkach niczego nie będą mieć do ogłoszenia po swych jałowych latach, spędzonych na rzucaniu się z jednej kalumnii w drugą). Chodzi o to, że na łamach niektórych organów prasy emigracyjnej mamy do czynienia ze swoistą — jak widać — niby to katońską, skargowską moralnością hołdującą w rzeczywistości zasadzie: „Niech nie wie prawica, co czyni lewica". Tę metodę, nie cofającą się równocześnie przed jawnym głoszeniem hasła konieczności sterroryzowania opinii publicznej na emigracji, trzeba ujawnić właśnie w imię publicznej służby.

Zdzisław BRONCEL

Postscriptum. — Temat obecności Rusinka na zebraniu, urządzonym przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, przesłonił inne sprawy związane ze wspomnianym obiadem literackim. Trzeba więc przypomnieć, że jednym z gości honorowych był prof. Wiktor Weintraub, wykładowca historii literatury polskiej na uniwersytecie harwardzkim w Cambridge w Stanach Zjednoczonych, autor pierwszej w języku angielskim monografii o poezji Mickiewicza, napisanej z wielką świeżością spojrzenia na wartości i błędy tej imponującej swą linią rozwojową twórczości. W roku mickiewiczowskim Związek winien był poświęcić tak wybitnemu gościowi osobne zebranie, które dałoby sposobność do dyskusji nad poetyką Mickiewicza, nad współczesnym odczuwaniem jego utworów. Połączenie tego z wieczorem na cześć Wierzyńskiego — słusznie mu zresztą należnym — nie było właściwym rozwiązaniem; nie było też konieczne wobec kilkumiesięcznego pobytu prof. Weintrauba w Wielkiej Brytanii, gdzie pracuje on nad studium o mistyce Mickiewicza. Ale i tu emigracyjna małość i zawiść potrafiła znaleźć swoje drogi.

Jan Olechowski

Dzień zaczynało się dość wcześnie. Ulice zatopione były jeszcze w cieniu, ale w trattoriach i fiaschetteriach między Porta Pinciana a Via Sistina podawano już wermuty z beczki. Nazywano je tam assenzio albo absinthito, tak jak za Cezara i Cicerona. Błędem jest mniemać, że dobry wermut musi pochodzić z Turynu. Absintiathum jest starsze niż Turyn i wędrowało w ciągu wieków z południa na północ. Rzymskie assenzio beczkowe po dziś dzień rodzi się w Apulii, w Sansevero i Locorotondo. Dnia zaczynać nie uchodzi winem wytrawnym; rankiem trzeba pić rzeczy albo gorzkie albo słodkie, jeśli się pragnie zachować sprawność gardła i umysłu na resztę dnia.

Przy wermutach najstosowniej pisać, ale z tym koniecznym warunkiem, żeby będąc w kompanii siąść z dala od siebie, wspólnym przechwalaniem smaku czasu nie oszukując i nie mitrężąc.

W wierszach dwu zbiorów wydanych pod tytułami: ,,Prostą jak sosna wyrosnąć'' i ,,Chwila nocna'' autorstwa Jana Olechowskiego płynie przeważnie rzymski wermut, nazywany gdzie indziej również aperitiwem, a dawnymi czasy absyntem. Otóż w rzymskie ranki powstawały wiersze Olechowskiego. Pisał je, głośno sobie przepowiadając gotowe strofy, ale byle pozór mógł go od wierszy oderwać. W Rzymie szkoda było każdej chwili życia, nawet na pisanie wierszy. Przeto Janek na pierwszy lepszy znak składał ochoczo we czworo arkusik listowy, na którym zaczął wiersz, po kilkudziesięciu najwyżej minutach medytowania i pisania, co oznaczało, że na dzisiaj pracy dosyć i trzeba trochę odetchnąć. Pora na codzienną passeggiatę.

Każde dziecko wie, że Via Sistina prowadzi ku Trinità dei Monti i na Plac Hiszpański, a tu już cały Rzym pod ręką: i włoski, i polski, i powszechny: pałac królowej Marysieńki, kościół zmartwychwstańców, Café Greco, schody wydeptane stopami Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Norwida, poetów angielskich, francuskich, niemieckich, hiszpańskich. Na prawym skrzydle Placu Hiszpańskiego stoi dom Keatsa i Shelleya, lewym biegnie Aleja Mickiewicza; Schody Hiszpańskie bratają poetów wszystkich narodów. U stóp Schodów fontanna Berniniego, jak kastylijskie źródło poetów całego świata. Jakże by można pomyśleć, aby tymi schodami nie pomykał co dnia zakochany w Rzymie polski poeta? Łatwo rzec: pomykał. Bo na schodach aż gęsto od rzymskości! Trzeba więc co krok przystawać i patrzeć na kwiaty, jakich nie ma nigdzie na świecie, i na fanciulle, jakich także gdzie indziej nie uświadczysz, wszyst-

ko jedno czy strojne wykwintnisie, wypieszczone jak owoce ciep larniane, czy dziczki-li tylko.

Zatem wolno się szło w dół po schodach ku siostrzanym uli com, biegnącym od Placu Hiszpańskiego ku Corso, a otwiera jącym sezamy kuchen i piwnic. Święte prawo mezzogiorna naka zywało strudzonym pielgrzymom zasiąść do stołu zastawioneg skromnie, ale pożywnie. Kończyło się zwykle na Via della Croce słynnej z najlepszych makaronów. Mniejsza zresztą o capellin in brodo, fettucine i tagliatelle. Główne znaczenie pasty, ni wiadomo dlaczego po świecie nazywanej makaronem, polega n tym, że toruje ona znakomicie drogę winu. Rzymskie cannellino które od wieków broni się skutecznie wywożeniu poza Rzym tym się odznacza, że nawet w pozorniejszej ilości nie wysusz gardła. Tedy Castelli Romani, zwłaszcza jeśli z Vel letri albo Grottaferrata, podnosiły ducha na dalszą wędrówkę p Rzymie.

Pojadając makaron Janek lubiał wspominać pobyt w Rosji w obozach, w więzieniach i na wolności, już w wojsku. Smaczn opisy kończył nieodmiennie westchnieniem: ,,Jaka szkoda, ż ciebie tam nie było! To kraj!"

Przed słońcem najlepiej się schronić w ciasne uliczki międz Tybrem a Corso, gdzie kiedyś rozciągało się Pole Marsowe Olechowski rozkoszował się włóczęgą, a raczej błądzeniem. Po ciągały go nie tylko nowoczesne corsa i starożytne fora, ale tak że zaułki bez wieku, ślepe ulice, podwórka, nieznane trattorie nory i spelunki, wszystko, co miało posmak nowości i tajemni czości. W okolicy Via di Ripetta i Scrofa koło Panteonu, w ara beskach i plątaninie podwórek, placyków i przesmyków odkry wało się codziennie coś nowego, jakby zabłąkane i zapóźnion cienie z czasów cezarów, no i jeśli upał gęstniał lub powia rześki wiaterek, trzeba było, rozumie się, sięgnąć po kube napitku bez nazwy, o smakowitości niespotykanej poza tym ciaśninami.

Kiedy już słońce przebijało okna Kolosseum i Cyrku Na większego, wchodziło się na Kapitol, skąd Rzym widać w ra mach ze złota, a potem na forum, bo forum ożywa zawsze o za chodzie. Przyjrzawszy się o zmierzchu uważnie rzymiankom n na Via Nazionale (a co wieczór wszystkie piękności wychodz z ram portretów rzymskich galeryj na ulice), należało powita wieczór. Gdzie? Oczywiście, na Piazza Navona. Fontanny ju plotkowały, a ludzie zazdrościli studniom sytości. I tak nały kawszy się bursztynowego ,,Est-est-est" wolno i dostojnie zmie rzało się zakosztować miłego chłodu do fontanny Trevi, i dal krętą jak los linią ulic del Tritone i Vittorio Veneto do Pincio aby pochwalić nową noc życia. Tu zawsze był kres rzymskic dni i nocy.

Piazza del Popolo, jak pierścień na palcu ulicy Cola d Rienzi, lśnił w dole swymi kamieniami, a Rzym pod mieczem

Anioła oddychał niebieską mgłą. Nocą w Pincio powstawały pomysły wierszy Olechowskiego, z refleksji zebranych w ciągu długiego dnia i z tej mgły błękitnej.

Gdy Rzym, jak ołtarz ofiarny
W błękitnych dymach utonie,
A wieże wzniosą błagalnie
Ku niebu kamienne dłonie —

Gdy drzewa w Pincio najcichsze
Przytłumią bijące serce,
Bóg jest chyba najbliżej —
Posłuchaj. W drzewach szepce.

Nic by pozornie nie wróżyło nastrojów, myśli i wierszy religijnych po dniach spędzonych w sposób opisany, zwłaszcza że nie starożytność tylko i nie miłość sztuki wyłącznie były celem włóczęg poetyckich. A jednak niemal cała twórczość Jana Olechowskiego jest, najprościej mówiąc, modlitewna.

Zwykli ludzie widzą świat w kolorach, poeci widzą go w tęczy. Toteż w duszach poetyckich wszystkie przedmioty i zjawiska są rozszczepione i złożone. Poeta nie uznaje określonych granic rzeczy. Dlatego obraz poetycki i środki wyrazu, a zwłaszcza metafora, są zwykle tak trudne do uchwycenia dla czytelników, zwyczajnych nazywania rzeczy po imieniu i odróżniania poszczególnych barw, linij, kształtów i przedmiotów. Poeci patrzą na świat przez kryształ rozszczepiający kolory. Żadnej rzeczy, ani żadnej sprawy nie widzą prosto, w jednym kolorze, w jaskrawych konturach. To poetyckie widzenie dotyczy także postępowania. Życie i czyny poetów bywają zwyczajnie dziwne, niepojęte, zagadkowe. Poczytuje się to za chwiejność i giętkość, w rzeczywistości jest to niepewność, wynikająca z tęczowego widzenia rzeczy. Twierdzenie, że jakiś z poetów żył tak jak pisał, da się zastosować tylko do bardzo nielicznych wyjątków, a opiera się przeważnie na niedostatecznej znajomości żywotów.

Jan Olechowski nie patrzył na życie po katońsku. Wiódł je na sposób cygański. Nie dbał nigdy o strój, ni o to, co będzie jadł jutro i skąd weźmie na to środki. Miłował włóczęgę, beztroskę, kompanię, biesiadę. Był ciekaw wszystkich smaków życia, niczym win włoskich. Nie umiał stawiać sobie granic w upajaniu się urodą świata. Padł też ofiarą tej pasji, za gorącej jak na wątłe ciało.

Za największe piękno poczytywał świat dotykalny zmysłami, za największe dobro — życie, za prawdę... Prawdy Olechowski na własną rękę nie dociekał. Wielbiąc stworzenie i chwaląc życie był głęboko wierzącym, a prawda dla wierzących jest objawiona. Poeci zachwytu nad życiem, rozmiłowani w urodzie świata, są duszami naturalnie chrześcijańskimi. Kto bowiem chwali stworzenie, ten wielbi Boga, który, wedle Pisma, przyjrzawszy się stworzonemu światu uznał go za dobry. A ziemia

to wszak jedna z doskonałych prowincji Bożych. Dlatego święci piękno i dobro dostrzegają w każdej rzeczy na tym świecie, nawet najbardziej nędznej, więc i w cierpieniu. Złem jest tylko to, co zakłóca przyrodzony porządek. Kto nie pojmuje piękności stworzonego świata, może mieć zawód także i w niebie.

Olechowski tak bardzo kochał życie, że radość czerpał nawet w złych losach, a każdy smutek i nieszczęście traktował jak przelotną chmurę. Umierał w strasznych cierpieniach nerek, nie skarżąc się ani słowem. Gdy stanął na rozstaju dróg po skończonej wojnie, taki zakreślał program na „Przyszłość":

Może przyjdzie wszystko zapomnieć,
Nawet bajki z dziecinnych lat —
Byle tylko utrzymać w dłoni
Gałąź życia, którą wstrząsa płacz.

Ale miłość z lirycznych nut
W ustach naszych, w oczach zostanie.
Tylko mi się już nie smuć, nie smuć,
Cyraneczko miła, kochanie.

A oto wiersz z czasów włoskich pod tytułem „Nadzieja":

Smutek na twarzach zamiera,
Jak ryte w kamieniu męstwo
I dzień się świtem otwiera
Po dniach naznaczonych klęską.

To pyszna ziemska uroda
Chwyta cię w kształty i barwy —
Biją w wiosennych ogrodach
Pąków zielone salwy.

Próżno się schylasz na chwilę,
Gdzie śmierci zastygłe znaki —
Już płyną drżące motyle,
Już dzwonią na alarm ptaki.

I już cię wiedzie za rękę
Puszystej łąki pogoda —
Byś ujrzał samotną rzekę
Wyciągającą ramiona —

Gdzie niebo wolno odsłania
Przez powłóczyste gwiazdy
Twarz dalekiego wezwania
W wieczór gasnący i jasny...

Byś wtedy zrozumiał klęcząc
U brzegu leśnych strumieni
Kwiaty, co płoną i szepcą:
„Życie jest szumem nadziei"...

Beztroska poety nie płynęła tedy z lekkomyślności, ale z przekonania o słuszności takiego ujmowania życia. Mimo swego talentu i dużych zdolności, nie traktował nigdy poważnie ani swych studiów ani twórczości. Nie celebrował swojej osobistości, co tak często zdarza się poetom, nie układał rysów twarzy w grymas tajemniczej zadumy. Był skromnym po franciszkańsku, chociaż jego dorobek pisarski, w poezji, prozie i publicystyce, jest pokaźny. Obok wierszy rozproszonych w antologiach i czasopismach, po Olechowskim pozostały dwa tomiki poetyckie: ,,Prostą jak sosna wyrosnąć'', wydany w ,,Bibliotece Orła Białego'' w Rzymie, roku 1944, i ,,Chwila nocna'' (,,Oficyna Poetów i Malarzy'', Londyn 1950), powieść osnuta na przeżyciach w Rosji, drukowana w odcinkach londyńskiego ,,Tygodnika Ilustrowanego'' w roku 1949 (pod pseudonimem St. Korczeń), liczne artykuły o tematyce literackiej i politycznej. Olechowski znany był jako świetny recytator. Mógł mówić wiersze godzinami, ale nigdy nie mówił swoich własnych.

Po tym wszystkim co się rzekło, nie trzeba jednak sądzić, aby to był człowiek płochy. Cechowała go wiara i wierność. Gdy Janek raz się do kogoś przywiązał, gdy raz coś pokochał, żadna siła nie mogła skruszyć jego miłości i przyjaźni. Do końca życia pozostał ślepo wierny swoim studenckim ideałom narodowo-radykalnym (jako student w Warszawie należał do grupy literackiej, zorganizowanej przez młodego muzyka Bronisława Kopczyńskiego, wydającej czasopismo poetyckie dla robotników pn. ,,W natarciu''), posiadał licznych, czasem dość dziwacznych przyjaciół, ze wzruszeniem wspominał nawet Rosjan, którzy mu w więzieniach i obozach okazali serce, nawet jeśli byli to funkcjonariusze NKWD, wierny był swej wielkiej przygodzie życia — wojaczce i towarzyszom broni, wszystkim swym przeżyciom i wzruszeniom. Nikt piękniej i serdeczniej nie umiał pamiętać — wędrówki po Rzymie to były codzienne odwiedziny przyjaciół. Poezja Olechowskiego jest manifestem przyjaźni i miłości. Wyznał w niej po wielekroć miłość matki, siostry, żony i synka. Należał szczęśliwie do pokolenia, które nie miało na pokaz uczuć patriotycznych. Wiara wreszcie sprawiła, że poezja Olechowskiego jest religijna, a wiersz ,,Modlitwa'' sięga wyżyn współczesnej polskiej liryki religijnej.

Urodził się w Zwiahlu, na Ukrainie w roku 1917, zmarł w wieku 39 lat w Nowym Jorku. Stracił ojca w dzieciństwie. Wychowała go matka, nauczycielka w Lublinie, później w jakimś miasteczku w Górach Świętokrzyskich. Góry Świętokrzyskie są w poezji Olechowskiego synonimem raju.

Pozwól mi w noce podobne,
Gdy wieczność schyla się nisko,
Słyszeć jak modlą się sosny
Na stokach Gór Świętokrzyskich.

Studiował polonistykę w Warszawie, kontynuując studia

po wojnie i rozszerzając je o rusycystykę w uniwersytetach rzymskim i londyńskim. Ostatnie lata życia spędził jako dziennikarz w radio Wolnej Europy w Nowym Jorku. Już w październiku 1939 został aresztowany i wywieziony do Rosji. Spędził dwa lata w więzieniach i obozach koncentracyjnych pod Archangielskiem. Z armią wydostał się z Rosji na Środkowy Wschód. Brał udział w kampanii włoskiej 2 Korpusu, w stopniu podchorążego, jako żołnierz 2 Brygady Karpackiej. Bywał na froncie, ale nie zaniedbywał żadnej okazji, aby pisać do periodyków 2 Korpusu, zwłaszcza do ,,Orła Białego''. Wolał pióro od karabina.

Na poezji znał się doskonale. Żył nią i wielbił poezję podobnie jak życie. Nie trzeba było zbytnio nalegać, aby zaczął wielogodzinne recytacje wierszy Gałczyńskiego, Lechonia, Zawistowskiej, a także Błoka, Jesienina i Majakowskiego, w oryginale i polskich przekładach, znał też i deklamował wiersze francuskie, ale szczególną, rzec by można braterską, miłością darzył Gałczyńskiego. Wydany w Rzymie w ,,Bibliotece Orła Białego'' zbiorek przedwojennych i wojennych wierszy Konstantego Ildefonsa składa się w znacznej części z tekstów zapamiętanych i dlatego też ,,wyszlifowanych'' przez Olechowskiego. Gałczyński był dla niego księgą poetyckiej mądrości. Cytował go w różnych okolicznościach życiowych i spopularyzował szeroko wśród szarych szeregów 2 Korpusu. Podchorąży Olechowski był na Wschodzie i w Italii chorążym polskiej poezji.

Strażnicy więzień sowieckich wzywali Olechowskiego w wolnych od zajęć chwilach na recytatorskie biesiady i lali łzy nad ,,Listem znad rzeki Limpopo'', nad zieloną Natalią, nad Kirą tancerką i dolą srebrnego Konstantego. Zdolności recytatorskie Janka były kluczem do wielu serc. Przyznawał, że ten dar osładzał mu nieraz życie w łagrach i więzieniach.

Mówił zaś wiersze jak wirtuoz, z niezwykłą umiejętnością ewokacji obrazów, kształtów, dźwięków i barw. Mówił je twardo, prosto, z naciskiem, niemal rozkazująco, tak że w czasie recytacji miękli najwięksi sceptycy. Liryce przywracał męskość, uczuciom godność. Praktykował poezję w życiu, porywał ku niej siłą przekonania.

Jaka jest poezja Olechowskiego?

Był on, jak się rzekło, zbyt zakochany w życiu, aby się nałamywać do ciężkich i wytrwałych wysiłków. Toteż był zaprzeczeniem rady klasycznej polerowania wierszy manu diurna ac nocturna. Pisał dość łatwo, ale wiersze dojrzewały w nim długo. Nie rozmazywał się lirycznie i nie uprawiał poetyckiej kokieterii. Każdy jego wiersz był dojrzałym owocem procesu poetyckiego. Czy były to owoce dobre, to już sprawa smaku; w każdym razie nie były podrabiane. Poezja Jana Olechowskiego jest refleksyjna i retoryczna, w formie prosta i oszczędna. O jej rzetelności świadczy niemal zupełna wolność od wyraźnych wpływów. Mimo zamiłowania do wielu poetów i niezwykle chłonnej

pamięci, Olechowski wsłuchiwał się tylko we własne rytmy, zapatrzony był we własne wizje i wierny własnym refleksjom.

Był ulubionym poetą żołnierzy, ściślej mówiąc 2 Korpusu, dzięki walorom swej poezji : smutnej lecz nie łzawej, retorycznej, lecz nie deklamatorskiej, religijnej, lecz nie dewocyjnej, szlachetnie lirycznej, lecz skupionej, mocnej, męskiej. Poezja jest istotnie najwierniejszą towarzyszką żołnierza, bo trud żołnierza i treść jego przeżyć zmierzyć i pojąć potrafią tylko poeci. Nie ma dla tamtych spraw lepszego niż poetycki języka. Miłość przygody, lekceważenie złego losu i cierpienia, wierność wreszcie sprawiły, że Jan Olechowski stał się ulubionym poetą żołnierzy.

Cóż, słowa się powtarzają, tak jak i ludzkie przymioty, ale trudno Jana Olechowskiego nazwać inaczej niż poetą wiernym.

W ostatnich tygodniach pobytu w Rzymie coś nam raz strzeliło do głowy, aby wspólnie z Olechowskimi, którzy już wtedy spodziewali się potomka, przeczytać ,,Pana Tadeusza''. Czytanie ,,Epilogu'' przypadło w udziale niżej podpisanemu. Z początku szło jako tako, ale rychło zaczęło mnie ściskać w gardle. Wtedy Nina wybuchnęła płaczem a Janek, ,,jak trup blady'', wstał z krzesła i oświadczył : ,,No to zbióreczka na nową butelkę''. Taki to był człowiek : nie znosił smutku ni rozpaczy. Polak.

Jan BIELATOWICZ

Z PAPIERÓW POŚMIERTNYCH POETY

W papierach pozostałych po śp. Janie Olechowskim pozostał jeden wiersz, który przypuszczalnie nie był dotąd nigdzie drukowany.

WIECZÓR W KENSINGTONIE

Ten wieczór w Kensingtonie spokojnych nocy nie wróży,
Ani świtów różowych, jak senne ramiona żony.
Czoło nieba brwi ciemne na horyzoncie chmurzy
I drzew gałęzie opadły ruchem dłoni zmęczonych.

Pejzaż jest nieruchomy. Zachodzące zorze
Rozwierają nad miastem obojętne płótno,
Ukazując daleko — w kształcie i kolorze
Urodę niedościgłą, tęsknotę okrutną.

Wtedy rozumiesz, bliska, że to nie zwykła troska,
Skryte łzy nasze w muszle pocałunków składa,
Gdy w nagłym skurczu żalu czujemy, jak rozpacz
Krokiem nocnym, zwierzęcym do serca się skrada.

O NAGROBEK DLA POETY

Zwłoki śp. Jana Olechowskiego zostały złożone na St. Charles Cemetery, parafii Brooklyn, w pobliżu Farmingdale, na Long Island. Działka, na której je pochowano, należy do kategor najuboższych. Nie wolno na niej stawiać nagrobków, lecz tylk kamień rozpoznawczy, to jest małą płytkę z różowego granitu Na płytce wolno umieścić tylko nazwisko, bez imienia.

Postawienie nagrobka z pełnym imieniem i nazwiskiem ora napisem trzywyrazowym wymaga przeniesienia szczątków n inne miejsce, droższej kategorii. Koszt przeniesienia zwłok i postawienia nagrobka wynosi w przybliżeniu 1.000 dolarów. Niestety, P. Nina Olechowska nie rozporządza tak dużą sumą. Mogłaby zdobyć najwyżej jej połowę.

Wydaje się nam, że przyjaciele poety, których za życia mia tak wielu, powinni pośpieszyć z pomocą wdowie i przesłać n nagrobek dla Jana Olechowskiego choćby drobne kwoty do redakcji „Kultury". Na ten cel otwieramy zbiórkę.

REDAKCJA

Książki

Rzeczywistość widzialna

Rzadko kiedy udaje się poecie pisać tak jak chciałby pisać. Rzadko kiedy zdaje sobie sprawę że pisze inaczej niż myśli że pisze. Wyobraźnia, zaalarmowana wzruszeniem, oddaje mu do dyspozycji cały zasób posiadanego materiału : słowa-znaczenia, słowa-dźwięki i słowa-rytmy. Do niego należy organizowanie i zwieranie elementów, do niego należy wbudowanie w wiersz wektora, który zmusi wyobraźnię czytelnika do pójścia tą a nie inną ścieżką wzruszenia. Rzecz jasna że proces ten nie może być wyrachowany, a wiersz nie zabrzmi czysto i nie dotrze głęboko, jeżeli budując go, poeta obliczał wysokość płomienia, bądź też ważył na miligramy ilość aliteracji.

Po to, aby poezja była poezją, a nie rymowaną ładnością, lub retoryką, niezbędna jest odwaga wypuszczenia w pewnej chwili cugli wiersza, potrzebne jest ryzykanckie przymknięcie oczu nad brzegiem przepaści, aby słowa, wolne od czujności twórcy i jego drobiazgowej opieki, poniosły wiersz w wymiar poza codzienny, w meta-fizykę, w meta-logikę. Nie treść, chociażby najciekawsza, wyprowadza czytelnika poza bramy powszedniości, ale słowo gorejące, ludzkie czy przeciwludzkie. Reszta jest literaturą i wyręczaniem historyków czy pamiętnikarzy.

Dwóch poetów, pośród naszych pisarzy, rozumie pierwszorzędną rolę słowa : Gombrowicz i Przyboś. Gombrowicz nie pisze tak zwanych książek do czytania, ale idzie słowami, żyje słowami i męczy się słowami. Jak ów Józef K. z ,,Procesu'' Kafki, świadom jest swego ,,aresztowania''. Żyje osaczony własnym, zżeranym przez swą myśl człowieczeństwem. Kiedy pod koniec ,,Transatlantyku'' huczy jego mowa, wiemy że to już nie autor opisuje zamierzone treści, ale że słowo przejęło władzę i panuje. wyrywa Gombrowicza Gombrowiczowi, otwiera go i patroszy z sensu i z najprawdziwszego bezsensu. Triumf twórcy niszczącego świat i siebie, aby słowa żyły.

O ile patronem Gombrowicza jest niewątpliwie ów ,,Anic lewy'', burzyciel tradycyjnej rzeczywistości, o tyle natchnienien Przybosia jest rzeczywistość. Rzeczywistość pojmowana nowo cześnie. Możemy się o tym przekonać raz jeszcze, czytając nowy tom Przybosia, ,,Najmniej słów'' (*).

Jest to zbiór liryków, nazwanych bądź wierszami, bądź skromnie, ,,materiałami poetyckimi''. Nieomal cały pisany jes w pierwszej osobie. Poeta, przewodnik po naturze, stara się nam ukazać coraz to inną rzecz ziemi, coraz to inne sprawy ludzi.

Wierność rzeczom, które się dzieją wokół twórcy, rozwij w jego poetyce typ *wiersza okolicznościowego*. Powie ktoś, ż wszystko na świecie jest okolicznością. Tak, ale pośród gęstwy zjawisk, małych i wielkich, banalnych i nadzwyczajnych, pisar musi umieć wybierać. Inaczej jest jak ów rybak zachłannie opróż niający sieć. Poeta musi umieć gardzić płotką wzruszenia.

Wspominam o tym dlatego, ponieważ obok wierszy świet nych i odkrywczych tom Przybosia zawiera też widokówki Widokówki, gdyż błahe doznanie poety pozostaje błahą wido kówką nawet wtenczas, jeśli poeta utrwalił je w zwartej, nowo czesnej formie. Zdarza się, niestety, że i forma jest oleodruko wa, jak np. ,,A widziałeś ty snopowiązałkę — kombajn? /Te maszyna ogromna — okara!/ Siecze, wiąże, orze, sieje, siecze.. i tak wkoło''. (,,List do brata na wieś'', str. 69). Podobni w innym wierszu (,,Wiosna 1953''), gdzie czytamy:

....

To tu dawna, malowana sielskość;
to, co drewniane, stare,
pęka od naszego śmiechu!
Tu przepada zmora wyspiańska
na weselu miasta na wsi
we dworze przeczarowanym w szkołę.
Chłopskie dzieci patrzą przez okno błękitnie...

W miejsce chałup z chochołem: strzecha,
m u r o w a n e czeka na tego który wapno gasi
i na nasz napis al fresco:

,,Ogrodniczo-kwiaciarska
spółdzielnia
imienia
Jasia i Kasi''.

(,,Wiosna 1953'', str. 80

W miejsce ,,dawnej, malowanej sielskości'', zamiast aby j zniszczyć czymś *nowym*, Przyboś wymalowuje, raz jeszcze, błę kitny widoczek i kto wie czy nie ckliwszy od tamtych à l Rydel...

(*) Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1955, str. 214.

Tu dotykamy już nie tyle warsztatu, ile pewnego rysu osobowości pisarskiej Przybosia, jego optymizmu. Nie zdając sobie z tego sprawy, poeta współżyje z największym wrogiem swojej liryki. Jest to optymizm człowieka, dla którego świat iskrzy się od słońca, szumi zieleniami i dzwoni od tanecznych kroków młodzieży i dzieci. Tak, trzeba o tym powiedzieć, Przyboś, poeta bezkompromisowy, najnowocześniejszy poeta polski, patrzy na świat zbyt łagodnie. Potrafił jak nikt inny pośród poetów bić się o prawo do eksperymentowania, jak nikt inny mówić prawdę w oczy lakiernikom socrealizmu — ale kiedy sięga po pióro, natychmiast otacza go tęcza i wszystkie uroki wsi. Świat staje się wówczas powolnym jego wizji terrarium, nad którym pochyla się, aby przestawiać drzewa, odwracać obłoki, wytaczać słońca na wzgórza, lub zawiesić na niebie samolot, ,,klucz wiolinowy dali''. Jak sam o tym pisze, staje się ,,bibliografem czterech stron świata''.

Nie bierzemy, rzecz jasna, za złe poecie umiejętności cieszenia się wszystkim. Radość życia jak i dar miłości może pobudzić twórcę do napisania rzeczy wielkich, niezbędny jest jednak jakiś filtr, dzięki któremu czytelnik otrzyma tylko profil szczęścia, które rozpierało pierś poety. Reszta musi być milczeniem.

Być może iż Przyboś zdaje sobie jednak sprawę z optymistycznego tonu swoich wierszy, skoro w ,,Objaśnieniach'', będących zwięzłymi rozprawami na temat poezji, tak definiuje liryzm. ,,Liryzm jest to poryw ku wszechludzkiemu szczęściu utrwalony w słowie''. Jest to definicja, która nie obejmuje niestety poetów tej miary do Lautréamont, Rimbaud, czy Baudelaire...

A kiedy, na końcu rozdziału, dodaje iż ,,poeta zwrócić się musi nieraz — całą siłą swojego porywu ku szczęściu — przeciw tym, których dziełem jest nieszczęście drugich'' zaczynamy się obawiać czy to przypadkiem nie czas kultu wąsatej jednostki wpłynął na ten czarno-biały podział ,,porywu ku szczęściu''...

Skoro już widzieliśmy czemu ulega Przyboś, zobaczmy z kolei w czym celuje, w czym osiąga niezaprzeczalną przewagę nad współczesnymi poetami polskimi.

Tak jak są poeci *rozumujący świat*, i lirycznie lub retorycznie komentujący złożoność jego zjawisk i zagadnień — tak też istniejący *poeci widzący*. Okiem ich wizji jest metafora. Przeciwnicy metafory, najczęściej poeci należący do pierwszej z wymienionych kategorii, nie doceniają (*et pour cause!*) owego mechanizmu w umyśle poety, tego gromnika, wznoszonego naraz z powierzchni słów i ściągającego na wyobraźnię najwyższe niebiosa nagłej radości i mrużącego szczęściem olśnienia. Jak pisze Przyboś :

... I patrz ! Pierwszy grad — burza w pąkach !

Zamiast dawać liczby proste i wymierne, łatwo sprawdzalne, społecznie sprawdzalne — poeta metafory umie w jednej chwili

podnieść do n-tej potęgi nasze dotychczasowe wzruszenie, potraf jednym ruchem składni odtrącić oklepaną, euklidesową prze strzeń naszego widzenia i nauczyć nas przed chwilą jeszcze nie znanego ładu świata i uczuć.

NOC MAJOWA

Z głębi snu wyniósł mnie na powierzchnię jawy
jakby oddech — niczyj a ogromny.

Gwiazdka stała nad ruiną Warszawy
jak najwyższy, najmniejszy pomnik.

Oddychała odrodzona zieleń,
dźwięk był tkliwy i nikły.

Nam, którzyśmy ich śmierć zamilczeli,
śpiewał słowik — z ich ciszy odmilkły.

1945 (str. 15

Utwór ten nie jest zbudowany według wzoru dwa a dw daje cztery, a pomimo to tak bardzo godzimy się z jego głosem tak bardzo dowierzamy wielkiemu śpiewowi polskiego poety Osiem kruchych linijek ma w sobie siłę dzwonu, co głosem drżą cym, jak od płaczu po przyjaciołach, zwiastuje odradzanie si zieleni i śpiewu. Wiosnę wolności.

Tyle samo czułości i poetyckiego mistrzostwa zawiera inn wiersz zbioru :

SIEROTKA

Boi się — jak w czasie nalotu. Aby zaciemnić pokój —
odwróciła do ściany lustro
i — bezradna — palcem tak chudym, że zmazałaby nim
światło ze szyby —
kostką palca stuka w moje okno.

(str. 116)

W przeciwieństwie do wspomnianych już poetów *rozumi jących świat,* bądź pacykujących go poezją, Przyboś nie odpis z życia mniej lub bardziej trafnych gestów sieroty, ale stworz ją, każąc jej zachowywać się trafniej i prawdziwiej niż *w rzecz wistości.* Sierotka Przybosia odprawia symboliczne gesty p wszechnego sieroctwa. Utwór potwierdza raz jeszcze możliwoś i konieczność zastępowania rzeczywistości sztuką.

Przyboś jest reformatorem naszej liryki. Każdy ruch po tycki, zwłaszcza w okresie burzy i naporu, przynosi lub przyna mniej zapowiada reformę. Takim ruchem była też Awangard Dzięki niej nasi poeci dowiedzieli się nareszcie, że można n tylko krzyczeć, mając głowę okręconą sztandarem, że można n tylko publicznie skakać przez sznurek, dlatego że wiosna — a

że można też *spojrzeć na spięcia słów jako na cel operacji twórczej.*

Dowiedzieli się że ,,układanie pięknych zdań'' wybiegać może daleko poza literaturę, przebijając niekiedy pułap, gdzie bytują zjawiska, ,,o których nie śniło się filozofom''.

Przełożyłem niedawno kilka wierszy Przybosia na francuski, miałem więc sposobność czytać tę poezję w jaskrawym świetle warsztatu i ważyć ją, słowo po słowie, mając na dnie myśli utajoną obawę : co też o niej powiedzą tutaj ? Jak uchwyci tutejszy grunt, przebrana w strój zachodni ? Są to stałe troski tłumacza pragnącego aby podróż z mowy do mowy, którą organizuje nie umniejszyła w niczym rzetelnego blasku zjeżdżającej w gości dalekiej poezji.

Pośród wybranych przeze mnie wierszy znajduje się utwór, który Przyboś nazwał ,,materiałami do nie napisanego wiersza o ,,Fontannie Aretuzy'' Szymanowskiego''.

Tak jak zwiedzający pracownię malarza prosi o szkic, ,,rzucony na gorąco'', tak i ja wybrałem spośród materiałów Poety skromną ćwiartkę papieru, z której można odczytać jeden z najtrwalszych wierszy naszej poezji współczesnej.

*

Diament rysujący sen : jawa rozprysnęła się na dźwięki.

*

Roziskrzone niknienie w szkliwie, drążonym na głębokość
oddechu — jak chwycić powietrze?

*

Źródło — przeciwbijące we mnie.

*

Srebrny strumień płynący złotem pod swój prąd.

*

W ciszy słowa — wirujący diament : odmiennia milczenia.

*

odcisnąć usta w diamencie : nazwać.

(str. 181)

Przyboś — poeta nie schlebiający ,,szerokim rzeszom czytelników''. Przyboś — kartograf wyobraźni, nanoszący niestrudzenie wciąż nowe barwy na pożółkłe obszary poetyckiego świata Polaków.

Marian PANKOWSKI

" Ostatnie utwory " Pawlikowskiej

Wydany niedawno przez Oficynę Poetów i Malarzy w Londynie tom pośmiertny ostatnich utworów Marii Pawlikowskiej, powstałych w Anglii podczas ostatniej wojny, nie spełnia nadziei, jaką można było pokładać w twórczości poetki tej miary co Pawlikowska. Wiersze wojenne autorki, która zdobyła sobie zasłużoną sławę miniaturami poetyckimi, odznaczającymi się nie tylko powierzchowną błyskotliwością i polorem ale także nieraz głębią i bystrością poetyckiej wizji, są w porównaniu płaskie, nudne a czasem nawet żenujące. Cały ten tom twórczości lat wojennych jest poświęcony tematyce w taki czy inny sposób związanej z wojną, to znaczy z tematyką niespotykaną poprzednio w poezji Pawlikowskiej.

Wojna jako temat ma rozmiary kolosalne i niejednego poetę przytłoczyła swym ciężarem. Jest to temat, który bardziej może od innych wymaga zachowania pewnej perspektywy i proporcji. A na to jest przecież niezmiernie trudno się zdobyć w okresie wojennym kiedy zacierają się ustalone normy i wartości. Dlatego też choć ,,poezji wojennej'' jest zawsze pod dostatkiem, wartościowe utwory wojenne należą do rzadkości. Podobnie i twórczość Pawlikowskiej wykazuje kompletne załamanie wobec tematyki wojennej.

Tymon Terlecki, który z wielką starannością przygotował obecny tom do druku, słusznie twierdzi we wstępie, że wojna zrujnowała dotychczasowy ,,klasycyzm'' poetycki Pawlikowskiej. Jest to jego zdaniem ,,wstrząsające widowisko''. Dodaje on jednak: ,,...wybrzmiała ta poezja miniaturowa... nagłych dojrzeń, błysków i olśnień — tonem solidarności ludzkiej, wysokim tonem idealistycznym i humanitarnym''. Może i rzeczywiście w utworach tych brzmi ,,ton solidarności ludzkiej'' — dość częsty to sentyment w ,,poezji wojennej'' — ale niestety nie zastępuje on jaskrawo rzucającego się w oczy wyjałowienia sił twórczych Pawlikowskiej. Zmaganie się jej z tematyką wojenną — świadczące zresztą dodatnio o sumienności i wrażliwości jej poetyckiej wizji — okazuje się zupełnie bezowocne.

Pawlikowska uzyskała wybitną pozycję w naszej literaturze ponieważ w przeciwieństwie do całych zastępów swych współzawodniczek nie bała się pisać od siebie, wykorzystywać w pełni cechy swej kobiecości. Od dwuch najjaskrawszych wad poezji kobiecej (rozlewności i uczuciowości) odgraniczyła się, już w najwcześniejszych swych utworach, rygorystyczną formą wyrazu i postawą ironicznej obserwacji. Błyskotliwe, dowcipne, czasem i wstrząsające pointy jej czterowierszy, które zrodziła kobieca intuicja a nie męska logika, jak i bystrość a zarazem i delikatność ironii, uwydatniają ,,kobiecość jej ,,poetyckiego światopoglądu''. Świat w którym Pawlikowska obracała się to świat ballad i romansów, tajemniczych kochanków, chińskich piesków i młodopolskich wzlotów. Był to świat wysubtelnionych uczuć i deli-

katnych marzeń, stworzony przez literaturę. Pawlikowskiej nie olśniewał jednak bez reszty urok tych wycackanych zjaw: umiała spojrzeć na nie okiem niezaangażowanego widza, i dlatego też poezja jej zasługuje na wyróżnienie. Nawet w wypadkach, gdy w pełni ulegała powabom tego kryształowego świata, robiła to nie tylko z wdziękiem — umiała posługiwać się też zaskakującymi skojarzeniami, które bywają oznaką wielkiej poezji:

Obłóczona światu i jawie,
Ziemskim okryta całunem
Leżała kiedyś
Krzyżem na trawie,
Rozpamiętując pocałunek.

Nic więc może dziwnego, że wobec kataklizmów wojny Pawlikowska stanęła bezradna, że nastąpiła ruina nie tylko jej „klasycyzmu", ale i całego jej świata poetyckiego. Jej próby traktowania wojny jakby to był romans damy z towarzystwa wyglądają dość groteskowo. Czterowiersz, który obejmował postać *la précieuse*, łamie się pod ciężarem apokaliptycznej wizji, jaką dla Pawlikowskiej stała się wojna. Pawlikowskiej widocznie nie starczyło sił, by u schyłku swego życia porzucić konwencje, którymi dotychczas z powodzeniem operowała, a zarazem opracować formę poetyckiego wyrazu, współmiernego z nowymi przeżyciami.

Ostatnie utwory zawierają przeplatankę szkicowników poetyckich i wierszy. Szkicowniki składają się z rozmyślań „filozoficznych" które mają wytłumaczyć istotę wojny. Oto typowe przykłady tych naiwnych i banalnych sformułowań:

„Nie płacz, człowieku! Naturze smutki swoje przekaż! Patrz jak szczodrze, nieskończenie, deszcz łzy roni za ciebie. Jak młody gaj brzozowy, obniżoną chmurą uduchowiony, tęskni w imię twoje. Wierzba-płaczka traci wszelką nadzieję i nawet pociechy nie żąda; wyręcza cię, załamując ramiona..."

„Nic tak nie zbagatelizowało pracy człowieka, jak samolot, wyrodny jego twór... Kto pierwszy na świecie z wysokości bombardował? Zapomnieliście opowiadań podróżników z dawnych powieści dla młodzieży, egzotycznych starych rycin francuskich? Małpy rzucają kokosami nie tylko w ludzi, lecz i na przemykającego się tygrysa, którego szczególnie nie cierpią".

Następująca cytata, przypominająca Norwida, nie tylko bystrością obserwacji ale i tendencją do systematyzowania i usymboliczniania zjawisk, należy niestety do wyjątków:

„Z kościelnej wieży, spiżowy globus, turkusowo zzieleniały, runął, strącony pociskiem armatnim.

„Toczył się ulicą wśród ryczącego, gwiżdżącego, wybuchającego chaosu, wśród totalnej ciemności pożarowych dymów, niskim pułapem wiszących nad miastem. Aż się zatrzymał przy kopcu wyrwanej ziemi i tam już osiadł. Podczas krótkotrwałej przerwy w nalotach, zebrały się małe dzieci, otoczyły go, dosiadły, próbowały ruszyć z posad.

„Ziemia przyciągnęła ten planetoid kilkumetrowego obwodu, świat, który czuł się bezpieczny obok złotego krzyża kościelnego, a znał tylko dotknięcie deszczu, gradu i stóp gołębich".

Podobnie i w wierszach Pawlikowska próbuje moralizować i filozofow po linii absurdalnych i sentymentalnych analogii między człowiekiem a św tem przyrody :

Bracie, marzący o świecie bez wojen,
Jakież są płonne urojenia twoje!
Spójrz, nawet chmura atakuje chmurę :
Stalowa złotą — niebne tocząc boje.

Czasami przyczyn wojny poetka szuka w grzechach ludzkości, z wynikie równie opłakanym :

Lawina grzechu rośnie wciąż, zbrodnicza...
Już nie żałuję dzisiaj Karłowicza,
Że go zabiła, pośród górskich szczytów,
pociskiem śniegu
Siła przyrody, czysta i dziewicza!

W rzadkich, bardzo rzadkich wypadkach natrafiamy na czterowiersz, pos dający *esprit* i bystrość intelektu przedwojennej Pawlikowskiej :

Chwalimy czyn wojenny, że jest „przyrodniczy".
„Instynkt — mówimy — walki pragnie i zdobyczy".
„Lwy, nie ludzie!" — wołamy w formie komplementu,
Po czym znowu o „duszy". — Ach, ileż zamętu!

Ostatnie utwory będą przyjęte z zainteresowaniem przez miłośnik poezji Pawlikowskiej. Będą oni mogli śledzić ostatni — z punktu widzen tworzywa poetyckiego i charakteru pisarki bardzo ciekawy — okres twórczości. Jest to natomiast niebezpieczna książka dla neofitów : prze wojenne wydania Pawlikowskiej są prawie nieosiągalne a po wojnie uka się w Polsce tylko jeden, słaby zresztą, wybór jej wierszy w czterotysię nym (!) nakładzie. Niejeden więc młody miłośnik poezji, rozpoczynają swą znajomość Pawlikowskiej od tego właśnie zbioru, może się łatwo niej zniechęcić.

Ostatnie utwory przedstawiają poważne osiągnięcia wydawnicze, choć dlatego, że jest to wydanie pełne i definitywne. Kraj, w którym „każ książka wychodzi za późno" wydań definitywnych potrzebuje jak najbardzi Obecne wydanie nasuwa tylko jedno zastrzeżenie — nie tyczące zresztą mego tomu bezpośrednio. W „Zamknięciu" znajduje się dość dziwna no ka edytorska : „Przeczytałem notatniki Pawlikowskiej w nocy poprzedzają dzień jej pogrzebu i nie pamiętam nic równie wstrząsającego. Ten do ment jest tak poufny, że zapewne nigdy nie będzie mógł być ogłosz w całości". Czy rzeczywiście *nigdy?* Czy jest to objaw pruderii, kt zniszczyła już pracę niejednego redaktora?

Adam CZERNIAWSKI

Lwów oczami Ukraińców

Ukraińcy pilnie czytują polskie książki i pisma, lecz, niestety, bardzo niewielu Polaków czyta po ukraińsku. Należy się więc obawiać, że, o ile jakiś ukraiński dobroczyńca nie przełoży fragmentów i nie umieści ich na łamach „Wiadomości" to książka St. Szacha „Lwów — miasto mojej młodości" (1) pozostanie zupełnie nieznane nawet lwowianom. Trudno jest wyławiać polonica z tej książki, bo gdzie jak gdzie, ale we Lwowie polonica i ucrainica są pomieszane tak, że nieraz nie dadzą się oddzielić. Wśród wspomnień p. Szacha znajdujemy też rozmowę prof. Romera z Clemenceau w r. 1919, w której przewódca polskiej delegacji powiedział: „Granica etnograficzna między Polakami a Ukraińcami przechodzi przez łoże małżeńskie, a miasto Lwów leży akurat w samym środku tego łoża, czego najlepszym dowodem jest choćby rodzina Szeptyckich: jeden brat, metropolita greko-katolicki, jest Ukraińcem, a drugi brat rodzony jest Polakiem i to wybitnym polskim generałem".

Sama geografia predestynowała Lwów do takiej roli: miasto leży na dziale wód między Wisłą a Dniestrem, innymi słowy na europejskim dziale wód między Bałtykiem a Morzem Czarnym. Do dorzecza Wisły należy stare i średnie miasto, Łyczaków i dzielnica stryjska, do dorzecza Dniestru Persenkówka, okolica dworca głównego i tak zwany nowy Lwów. Na samym dziale wód leży góra Świętojurska z katedrą-siedzibą metropolity jednając oba dorzecza. (I rzeczywiście trudno o lepszy symbol niż ta katedra obrządku wschodniego ale podległego Rzymowi i sama zbudowana przez architektów zachodnich w stylu włoskim).

Szach zauważa, zdaje się słusznie, że polonizacja Lwowa miała miejsce nie za potężnej Rzeczypospolitej przedrozbiorowej (ta się takimi rzeczami nie troszczyła) ani nie za „demokratycznej", jak ją nazywa, Polski okresu dwudziestolecia, ale właśnie za Austrii. Badając cmentarze lwowskie Szach zauważył ciekawe zjawisko w połowie XIX wieku: dziadek ma napis nagrobny po ukraińsku, syn mieszany ukraińsko-polski, a jego żona i dzieci już czysto polskie. Tak było nawet z grobowcem rodzinnym metropolity Łytwynowycza, którego cała rodzina miała napisy po polsku.

Jak dalece szło polszczenie się warstw wyższych i jak dalece język ukraiński zostawiano wyłącznie chłopom, świadczą za-

(1) Stepan Szach, *Lwiw — misto mojeji molodosty*. Czastyny I i II. Wydawnyctwo „Chrystyjanśkyj Hołos", Muenchen 1955, 267 str.

rządzenia biskupów z końca XVIII i początku XIX wieku, a więc z najgorszego dla Polaków okresu okupacji austriackiej. Wszystkie te zarządzenia są redagowane wyłącznie po polsku, a w „Konstytucji" synodu w Walawie przykazuje się tylko, aby dzieci na wsi uczono „rusczyzny".

A zresztą polonizacja trwała, bo autor pisze o pewnej lwowskiej rodzinie „o historycznym ukraińskim nazwisku" (ale je, niestety, dyskretnie przemilczał), której dziadek był greko-katolickim księdzem, pięciu wnuków przeszło jeden po drugim na obrządek łaciński, a najmłodszy poszedł, jak mówiła matka, „śladami dziada" i został księdzem ale obrządku łacińskiego. Ten ostatni wypadek świadczy jednak nie tylko o polonizacji, ale i o coraz większej przepaści między oboma narodami. Nie każdy syn spolszczonej rodziny miał tyle hartu ducha, aby zostawszy księdzem powrócić do obrządku greckiego i poświęcić się pracy dla ukraińskiego ludu swej bliższej ojczyzny, jak to uczynił Andrzej Szeptycki.

Powołując się na „ideę jagiellońską" lubimy też wspominać owych Polaków „gente Ruthenus, natione Polonus". Jak dalece byli oni już anachronizmem w końcu XIX wieku, świadczy wspomnienie o profesorze V-go gimnazjum lwowskiego, Józefie Barewiczu, zmarłym w 1910 roku: *Prof. Barewicz był synem greko-katolickiego księdza, dyrektora polskiego gimnazjum państwowego w Samborze, ks. Tomasza Barewicza. Za to, że ks. Barewicz zanadto, jak mu zarzucali ówcześni patriotyczni księża Samborszczyzny, „podporządkowywał się Polakom", uderzył go po twarzy „patriotyczny" uczeń szóstej klasy Sas-Liskowacki, syn proboszcza z Listowatego koło Ustrzyk, w chwili gdy uczniowie wychodzili z cerkwi po mszy. Chłopca wyrzucono wtenczas ze wszystkich szkół Galicji, a jego kolega Józef Barewicz tak się obraził za zniewagę ojca na wszystkich Rusinów, że „przystał" do Polaków, ... przyznawał się do narodowości polskiej, choć był greko-katolikiem, a sam siebie określał urzędowo „gente Ruthenus, natione Polonus" (z pochodzenia Ukrainiec, z narodowości Polak)*. Ta historia jest ciekawa nie tylko jako *case story*, ale też dlatego, że p. Szachowi nasza „jagiellońska" koncepcja *gente Ruthenus, natione Polonus* to jest człowieka który był Rusinem będąc jednocześnie Polakiem, jest po prostu nieznana. Zresztą, jeśli chodzi o młodzież odepchniętą przez nietolerancję i szowinizm, to były i odwrotne wypadki. Znam młodą Ukrainkę ze Lwowa, której rodzice mówili po polsku, ale którą koleżanki w gimnazjum polskim tak prześladowały za jej obrządek greko-katolicki, że wreszcie musiała się nauczyć, nie bez wysiłku, po ukraińsku i przenieść do gimnazjum ukraińskiego. Dziś jest artystką ukraińską.

Inny wypadek, pikantny ze względu na okoliczności, to historia proboszcza cerkwi św. Piatnic, której kolatorem był magistrat miasta Lwowa. Proboszczem był ks. Wasylewski, który nazywał się Rusinem, ale w domu mówił po polsku. Po śmierci

ks. Wasylewskiego magistrat nie chciał „podpisać prezenty" proponowanemu przez kapitułę ks. Mochnackiemu, któremu polonia trembowelska „wystawiła złą opinię polityczną". A gdy następny proboszcz umarł w 1934, magistrat „podpisał prezentę" ks. E. Baczyńskiemu, ukraińskiemu proboszczowi miasta Brzeżany, gdyż — jak pisze p. Szach — *ojciec jego, c.k. profesor w gimnazjum brzeżańskim, był kilkoletnim gospodarzem klasowym Edwarda Rydza-Śmigłego, który został po śmierci Józefa Piłsudskiego marszałkiem Rzeczypospolitej Polskiej. Wówczas wszyscy brzeżańczycy poszli w górę w ówczesnym kursie politycznym w Polsce. I tak dla przykładu: za poparciem marszałka Rydza-Śmigłego wojewodą lwowskim został „brzeżańczyk", adwokat z Łodzi dr Alfred Biłyk, a za poparciem Biłyka w magistracie lwowskim dostał prezentę na parafię ksiądz E. Baczynskyj.*

Autor dał nam w pierwszym tomie wspomnienia o topografii, okolicy i architekturze Lwowa. W nich poczesne miejsce zajmują wspomnienia o czternastu cerkwiach i trzydziestu sześciu kościołach rzymsko-katolickich, a na koniec o katolikach obrządku ormiańskiego. Wspominając ostatniego arcybiskupa ormiańskiego, Teodorowicza, pisze, że był to mieszczański syn z Brzeżan i złotousty mówca. Obecnie katedrę ormiańską objęli sprowadzeni z sowieckiej Armenii księża ormiańscy nie uznający zwierzchności Rzymu.

Z innych ciekawostek religijnych dowiadujemy się, że były we Lwowie dwa kościoły wspólne dla wszystkich trzech wyznań. Jest też wspomnienie o synagogach, wśród których wyróżniała się renesansowa synagoga z XVII wieku przy ulichy Boimów, gdzie rabinem był ojciec późniejszego redaktora „Chwili" Henryka Heschelesa.

Druga cześć pierwszego tomu poświęcona jest szkolnictwu lwowskiemu i jego historii. Wśród wspomnień historycznych sprzed pierwszej wojny światowej zasługuje na uwagę wspomnienie o herbie Galicji, żółtym lwie na błękitnym polu (stąd żółto-błękitne barwy sztandaru ukraińskiego), jak również o hymnach narodowych: gdy zaczęło się przebudzenie narodowe w Galicji w roku 1848, galicyjscy Ukraińcy, czy, jak ich wtedy nazywano, Rusini, nie mieli ani własnej literatury ani nawet własnego hymnu. Na pierwszym zebraniu Głównej Rady Ruskiej nie wiedziano więc nawet jakim śpiewem zakończyć posiedzenie i dopiero generalny wikariusz kapituły (a późniejszy ostatni biskup unicki w Chełmie) M. Koziemski zaintonował starą pieśń religijną: „Preczysta Diwo Maty ruśkoho Kraju". Jednakże używaniu tej pieśni dla celów politycznych sprzeciwił się ks. biskup Jachimowicz, toteż powierzono młodemu księdzu Huszalewyczowi ułożenie innego hymnu, tak powstała „Myr wam bratja wsim prynosym", najpopularniejsza pieśń Galicji wschodniej do końca XIX wieku. Dzisiejszy ukraiński hymn narodowy „Szcze ne wmerła Ukraina" dostał się do Lwowa za pośrednictwem... polskiego powstańca z 1863 roku. Paulin Święcicki, uciekinier z Kijowa,

był gorącym ukrainofilem, wydawał nawet we Lwowie dwu zyczną gazetę *Sioło-Selo,* był pierwszym nauczycielem ukra skiego w wyższych klasach gimnazjum akademickiego, gd wprowadził literacki język ukraiński.

Hymn ,,Szcze ne wmerła Ukraina'' — jeszcze nie uma Ukraina — rozpowszechnił się we Lwowie dopiero z początki XX wieku, jak o tym świadczy wspomnienie p. Szacha : *Prz pięćdziesięciu laty było nas 57 uczniów w klasie I A gimnazju akademickiego we Lwowie. Czytaliśmy z ,,Ruskiej czytank ustęp pt. Nil, gdzie była wzmianka o staroegipskim hymnie cześć rzeki Nil. Nasz nauczyciel, wyjaśniwszy nam co to j hymn, zapytał jaki jest nasz hymn narodowy: W klasie nie po niosły się niczyje palce. Zdziwiony nasz profesor pyta : A j jest polski hymn. Zawołaliśmy wszyscy : ,,Jeszcze Polska nie z nęła''. Wtedy ja podnoszę palce i mówię nieśmiało : Nasz hy jest ,,Preczysta Diwo, Maty ruskoho Kraju''. Nie, zaprzec nasz wychowawca i wyjaśnia, że to stara pieśń kościelna. mną podniósł palce mój kolega o historycznym imieniu Iw Mazepa i mówi ,,Myr nam bratja''. I znowu pokręcił głową p profesor i wyjaśnił nam, że ukraińskim hymnem narodowym j pieśń ,,Szcze ne wmerla Ukraina'', którą usłyszymy na koncer szewczenkowskim.*

Tak więc wspomnienia p. Szacha poświęcone czasom sprz pierwszej wojny światowej są jakby historią ukraińskiego od dzenia narodowego w Galicji, a zwłaszcza we Lwowie. Wspo nienia powojenne są, mimo wielkiego umiarkowania autora, Polaka bardziej żenujące. Główny rozdział stanowią tam s rzeczy najprzeróżniejsze szykany administracyjne, jak przenos nie profesorów Ukraińców do gimnazjów polskich, aresztowa archeologów w terenie pod zarzutem szpiegostwa itd., itp. Tak przykład ukraińska szkoła powszechna imienia pierwszego po ukraińskiego w Galicji M. Szaszkiewicza, nie mogła się doczek nowego budynku, mimo iż mieściła się w starej ruderze bez p wietrza i bez światła. Trzeba było dopiero, aby jakiś poseł gielski przyjechał w 1926 i ,,opisał'' ją w gazetach, aby znala się fundusze i by w ciągu dwu lat Rada Miejska zbudowała woczesny wzorowy budynek, a dyrektorem szkoły mianowany stał nawet w 1929 były ukraiński pułkownik i osobisty adiut Petlury.

Wśród innych szykan dowodzących wprost braku zmy państwowego było niedopuszczanie Ukraińców (i Żydów też) różnych szkół. Tak np. portrecista Iwan Trusz, mimo że cen ny też wśród Polaków nie mógł się doprosić, by syna jego pr jęto w 1923 roku do szkoły przemysłowej i dopiero udało się na interwencję jego kolegi szkolnego a ówczesnego dyrekt policji lwowskiej. Podobnie więc jak z proboszczem z Brzeż można by sparafrazować znane wyrażenie i powiedzieć, że b to nietolerancja narodowa złagodzona przez protekcję.

Gorszy przykład głupoty to ukraińska czytanka szkolna

ukraińskich dzieci, w której hymn państwowy był umieszczony w języku polskim. Autor, a raczej tłumacz czytanki (gdyż przełożono ją w całości z polskiego) zrobił przekład ukraiński hymnu, ale ministerstwo czy też kuratorium odrzuciło go, nakazując umieścić hymn ,,jednolicie w całym państwie''. Tu można zauważyć, że dawna Austria miała więcej zmysłu państwowego czy też imperialnego, jako że hymn narodowy każdy śpiewał w swoim języku. U nas wzorowano się jednak raczej na carskiej Rosji.

Nie trzeba sądzić, że autor zatrzymuje się dłużej nad tymi wszystkimi szykanami wobec ludności ukraińskiej. Wspomina on je raczej mimochodem, pisząc słusznie w posłowiu, że owe czasy ,,należą do tej historii Lwowa, która już nigdy się nie powtórzy''. Natomiast gdzie może, p. Szach podkreśla wypadki przyzwoitego zachowania się wobec Ukraińców ze strony czy to polskich urzędników a nawet dygnitarzy czy też nauczycieli lub dyrektorów szkół, jak na przykład wizytatora Kazimierza Bruchnalskiego, który wystarał się o prawo powszechności dla szkoły SS. Bazylianek, Jana Gerlacha, dyrektora seminarium nauczycielskiego im. Bolesława Prusa, który przyjmował bez zastrzeżeń Ukraińców, czy ostatniego dyrektora V. Gimnazjum, Tadeusza Strojnego, który przyjmował chętnie uczniów, wyrzuconych z innych gimnazjów za ,,akcję antypolską''.

Przechodząc do tematów mniej drażliwych dowiadujemy się ze wspomnień p. Szacha, urodzonego w jednej z podlwowskich miejscowości, jak fatalną opinię miało miasto w okolicy. Opowiadano, że Lwów leży nad rzeką ,,pomyjową'', choć niegdyś *jak słyszałem od babuni, leżał tak wysoko jak nasze miasteczko. Jego rzeka była czysta, ludzie i zwierzęta pili z niej wodę. Ale ponieważ lwowianie z czasem zaczęli bardzo grzeszyć — przekleństwami, oszukaństwem, złodziejstwem, pijaństwem i wszelkimi ,,niewymownymi grzechami'', gorzej od pogan, to Pan Bóg ostrzegł miasto dwukrotnym trzęsieniem ziemi przed zagładą... Przy każdym trzęsieniu poziom miasta obniżał się, rzeka się zaśmierdziała, ale ludzie się nie poprawili. Kiedy przyjechać do Lwowa, to strach słuchać jak ludzie klną, jak na każdym kroku szachrują, jak kradną w żywe oczy ludziom z wozu, przed cerkwiami nie żegnają się ani nawet czapki nie zdejmują i jak tak dalej pójdzie, mówiła babunia, to Lwów jednego dnia zapadnie się za karę pod ziemię, bo dzisiejszy Lwów, to Sodoma i Gomora, a na tym miejscu powstanie śmierdzące jezioro jak obrzydliwe Morze Martwe, nad którym nawet nie przeleci żaden ptak. Zachowa się tylko cerkiew św. Jura ... aby ludzie z okolicy mieli gdzie chodzić do spowiedzi.* Dzisiejszego czytelnika ta sielska wizja Sodomy i Gomory pociąga patriarchalną jakąś i zaginioną pogodą.

Książka Szacha jest kopalnią wiadomości o Lwowie i lwowianach (z drugiej połowy XIX wieku i początku XX wieku. Wystarczy wspomnieć, że indeks zawiera 866 nazwisk i należy

przy okazji wyrazić żal, że brak jest indeksu budowli i ulic, nie odzownego w każdej książce poświęconej jakiemuś miastu.

Autor broni się w posłowiu przed zarzutami, z których jeden jest raczej słuszny, choć bez wielkiego znaczenia : nadmiar cytatów z ulubionych widać autorów łacińskich. Drugi zarzut, dotyczący jakoby zbyt małej ,,fachowości'' autora a za to zbyt wielkiego zajmowania się szczegółami, jest nieporozumieniem. Autor wspomnień nie pisze fachowej monografii, natomiast obowiązkiem jego jest wysypać przed oczy potomności wszystko co zawiera jego pamięć. Toteż raczej zarzuciłbym autorowi zbytni pośpiech, raczej za mało gawędziarstwa, za mało osobistych wspomnień, które dają nie fakty, te zawsze da się ustalić, ale atmosferę, która mija bezpowrotnie. Autor postawił sobie za zadanie podać barwny obraz pojedyńczych osób przemilczając słabe strony ich usposobienia. Świadczy to jak najlepiej o p. Szachu jako o człowieku, nieco gorzej jako o pisarzu. Aby podkreślić jasne miejsca, potrzebne są cienie.

Autor wspomnień musi mieć czas. I miejsce. Nie wolno mu mówić : ,,Należałoby jeszcze coś napisać o malowaniu lwowskich kościołów, obrazach, dzwonach itd., ale musi to odpaść z braku miejsca''. Na szczęście autor nie trzyma się zbyt konsekwentnie tej zasady, czemu zawdzięczamy wspomnienie o wielkim dzwonie Kyryło na wieży Korniaktów, którym wolno było dzwonić tylko dziesięć razy do roku.

Jeszcze jeden zarzut polegający na nieporozumieniu to, że wspomnienia napisane są ,,zbytnio po lwowsku''. A jakże inaczej zachować atmosferę i koloryt lokalny jak nie przez lokalny język? Zarówno Polacy jak Ukraińcy mają ostatnio tendencję do wstydzenia się lokalnego patriotyzmu, lokalnego pochodzenia nawet (każdy chce pochodzić z Warszawy), lokalnej formy języka. Miłosz odważył się na umieszczenie swej ,,Doliny Issy'' nie tylko na ,,ziemiach wschodnich'', ale nawet poza granicami Polski międzywojennej. I odważył się dać język lokalny i to nie tylko pod względem fonetycznym czy gramatycznym (sposób bodaj najłatwiejszy i najbardziej powierzchowny), ani nawet nie słownikowym (oprócz kilku słów jak świrno, braha czy krakwa), ale przede wszystkim pod względem składni i stylu. W ten sposób czytelnik z centralnej czy zachodniej Polski ma możność wejścia w bliższy kontakt z atmosferą kraju i bohaterami niż gdyby książka była napisana polszczyzną ,,poprawną'' to jest wypraną z wszelkiego smaku i zapachu. Podobnie należy wyróżnić drugiego pisarza emigracyjnego, Czarnyszewicza, za miejsce i za piękny język jego ,,Nadberezyńców''. Niestety, Czarnyszewicz dał się przekonać nienajmądrzejszym krytykom i jego ,,Wicek Żywica'' daje już język zbanalizowany, odarty ze smaku ziemi z której pochodzi. Oczywiście, książki Miłosza i Czarnyszewicza choć oparte na wspomnieniach, nie są autobiografiami a utworami literackimi. P. Szach miał zadanie o tyle łatwiejsze, że pisał zwykłe wspomnienia, ale należy mu się pochwała, że chciał pisa

tak, jak mówiono we Lwowie przed 1939 rokiem. Szkoda więc, że redakcja pisma *Chrystyjanskyj Hołos*, w którym książka się drukowała, pozwoliła sobie na ,,poprawianie'' języka autora. Należy mieć nadzieję, że dalszy ciąg wspomnień p. Szacha ukaże się w takiej postaci jaką nada im sam autor a może nawet w nieco lepszej szacie graficznej.

(AV)

Wydawnictwa amerykańskie

The Color Courtain: A Report on the Bandung Conference, by Richard Wright, World Publ., 1956, str. 221.

R. Wright, znany pisarz murzyński, wziął udział w konferencji w Bandungu jako obserwator i korespondent prasowy. Jak pamiętamy, celem tej konferencji była wymiana poglądów delegatów krajów afrykańskich i azjatyckich. Zagadnieniem najważniejszym ciążącym nad konferencją było pytanie: Z kim iść? Z Zachodem czy z komunizmem? Ściślej — z Ameryką czy z Rosją. Jak ważne jest to pytanie widać choćby na przykładzie gospodarza konferencji — Indonezji. Trzeci na świecie kraj pod względem bogactw naturalnych; ludność mówi dwustoma językami; 1.400 lekarzy przypada na 80 milionów ludności; wzrastający przyrost naturalny i spadająca wytwórczość. Ludność byłych kolonii europejskich słusznym tytułem niedowierza państwom zachodnim, bo pamięć rządów kolonialnych, szczególnie holenderskich jest zbyt świeża. Ale równie niechętnie spogląda na umizgi komunistów.

Według Wrighta konferencja w Bandungu była wyzwaniem Zachodu: Albo Stany Zjednoczone zechcą i potrafią przyciągnąć do siebie masy afrykańskie i azjatyckie, albo padną one ofiarą nowego kolonializmu sowieckiego. Wtedy jednak będzie już za późno by cały proces odwrócić.

The Changing World of Soviet Russia, by David J. Dallin, Yale University Press, 1956, str. 422.

David Dallin nie wymaga wprowadzenia jako autor książek i artykułów o Rosji. Jego ostatnia rzecz jest rozszerzeniem i jakby dalszym ciągiem poprzedniej jego pracy ,,The Real Soviet Russia'' wydanej w roku 1944. Analiza życia sowieckiego jest bardzo interesująca i pouczająca. Widać to szczególnie na przykładzie obozów pracy przymusowej. Dallin notuje tutaj pewne zmiany, w sensie poprawy warunków życia i traktowania więźniów. Zmiany te zaczęły się już w roku 1947, a później po śmierci Stalina. Przy-

czyna tego leży według Dallina w dwuch zjawiskach. Po pierwsze, Rosj poniosła tak poważne straty w czasie wojny, że siły robocze niewolników stały się bardzo poważnym czynnikiem gospodarki sowieckiej. Po drugie stała agitacja przeciwko sowieckim obozom pracy na Zachodzie zmusił Kreml do zelżenia ucisku. Osobiście nie bardzo jestem przekonany co d drugiego powodu. Pierwsza teza raczej wydaje się słuszna: gdy w rok 1953 wybuchł bunt w obozach Workuty, bezpośrednim jego skutkiem by brak węgla w okręgu leningradzkim. Drugim przykładem potwierdzającym tę tezę jest obecne zmniejszenie stanów Czerwonej Armii o ponad milio ludzi. Najprawdopodobniej chodzi tutaj o skierowanie ich do pracy w prze myśle i na roli. Wydaje się, że zelżenie ucisku w obozach było podykto wane koniecznością podniesienia produkcji.

Obecną zmianę kursu Dallin tłumaczy dwoma przyczynami: chęci Chruszczewa by zjednać i wciągnąć do obozu sowieckiego państwa neutralne a szczególnie emancypowane kraje azjatyckie; oraz gotowością Rosji do kon kurowania z Ameryką na polu pomocy gospodarczej. Dallin przypuszcza, ż będzie to dodatkowym obciążeniem dla i tak kulejącej ekonomii sowieckiej Sądzi on, że jest pewne podobieństwo pomiędzy rewolucją francuską a ro syjską (por. ciekawe uwagi prof. Kukiela ,,Czy już po Thermidorze?" v numerze 537 ,,Wiadomości") kiedy to skończył się okres terroru Jakobinów

Obecne społeczeństwo sowieckie odbiega zupełnie od wzoru społeczeństw przedrewolucyjnego i z pierwszego okresu rewolucji i Dallin nie sądzi b reżym sowiecki mógłby być zmieciony siłą. Czterdzieści lat dyktatury zatarł w pamięci ludzkiej wizje innego ustroju. By zmienić obecny rząd siłą trzeb by albo nawrócić do tradycji przeszłości, albo wypracować coś nowego. Al w Rosji nie ma ani przywódców takiego ruchu, ani organizacji, ani nawe nadziei na jej powstanie.

Six Keys to the Soviet System, by Bertram D. Wolfe, Beacon Press 1956, str. 258.

Jest to zbiór 18-tu artykułów autora ,,Three Who Made a Revolution" napisanych na przestrzeni ostatnich piętnastu lat. Tytuł może zmylić niejed nego czytelnika, bo trudno jest znaleźć klucz do systemu sowieckiego, ni mówiąc już o sześciu. Zbiór otwiera artykuł pt. ,,Walka o następstwo" — napisany w lipcu 1953 — i analiza nowego reżymu, ze stycznia 1955 Pierwszy traktuje o systemie, jaki przyjęli następcy Stalina, drugi podkreśla że następcy są ludźmi Stalina przede wszystkim i jego najbliższymi współ pracownikami. Artykuł o koordynacji przejawów kulturalnych potwierdz wizje Orwella. Wolfe uwydatnia znaczenie decyzji Sprzymierzonych trzy mania się zasady dobrowolnej repatriacji jeńców koreańskich. Tym akter zwrócono się po raz pierwszy pod adresem potencjalnych sprzymierzeńców i być może rozstrzygnięto wojnę na Korei. O stosunkach wewnętrznyc Wolfe pisze, że kontrola partii wzrastała lub zmniejszała się zależnie o stopnia zagrożenia z zewnątrz. Pierwszy plan pięcioletni zawarty był n 1.747 stronach, trzeci na 238 a piąty na trzech i pół i nie zawierał ni innego prócz propagandy i sfałszowanych danych statystycznych. Jest t graficzny dowód wzrostu siły partii. Ostatni artykuł jest przedrukiem memo

riału, jaki Wolfe złożył w charakterze głównego doradcy ideologicznego Voice of America. Memoriał ten podkreśla główne korzyści systemu demokratycznego i jego przewagę nad totalizmem sowieckim. Według Wolfe'a są nimi: reformy rolne, pokój i rozbrojenie, prawa robotników, swobody obywatelskie, wolność myśli, słowa i wyznań.

The Theme Is Freedom, by John Passos, Dodd, Mead Publ. 1956, str. 262.

Autor potężnej trylogii-montażu „U.S.A." przedstawił tutaj siebie w perspektywie historycznej. Dos Passos daje wyjątki ze swych reportaży i artykułów począwszy od 1926 roku w zestawieniu z prawdą obiektywną. Brał on udział w historycznych dzisiaj strajkach w Passaic i Harlan, rozmawiał w więzieniu z Sacco i Vanzettim, był w Rosji w roku 1928 tuż po wydaleniu Trockiego. Jako korespondent „New Masses" stał się pierwszym fellow-traveler'em w Stanach, zanim inni pisarze amerykańscy zaczęli komunizować. Był też jednym z pierwszych który przejrzał, bo w czasie wojny hiszpańskiej. W czasie ubiegłej wojny Dos Passos działał jako korespondent na Pacyfiku, a po zakończeniu wojny wyjechał do Niemiec. Tam uderzyło go, że Alianci zastosowali wobec Niemców politykę „mściwego odwetu" (?) a okazali całkowitą obojętność wobec narodów zagarniętych przez Rosję.

Nie wielu pisarzy miałoby odwagę na podobne zestawienie. Co uderza może najbardziej to porównanie rzeczy pisanych ówcześnie z obecnym komentarzem. Dos Passos-komunizujący pisał z pasją i zapałem, niemal w porywie. Dos Passos-rozumujący jest anemiczny i nudnawy.

The Permanent Purge, by Zbigniew Brzezinski, Harvard University Press, 1956, str. 256.

Praca dra Brzezińskiego ujmuje historycznie rozwój totalizmu sowieckiego pod kątem czystek, lub jak to określił B.D. Wolfe — jest studium totalnego dynamizmu. Teza autora brzmi: czystki są nieodzownym instrumentem totalizmu gdyż celem ich jest zapobieżenie stagnacji. O ile absolutyzm starał się nie dopuścić do zmian i zachować status quo, o tyle totalizm, zwrócony ku przyszłości, musi dbać o utrzymanie rewolucji w stanie ruchu. Zwolnienie lub zatrzymanie tego procesu może zwolnić tempo rewolucji lub nawet odwrócić jej kierunek. Terror czystek jest tym czynnikiem, który zapobiega przetworzeniu się partii w kółko dyskusyjne. Dzięki temu wszystkie przejawy życia państwowego stają się terenem walki, kampanii lub frontem. Sam mechanizm czystek ulega również zmianom, zależnie od sytuacji.

Po przejęciu władzy przez partię, pierwszym zadaniem było usunięcie wszelkich przeszkód natury konstytucyjnej, zagradzającej drogę do władzy absolutnej. Władza absolutna następnie dyktuje jedyną prawdę i przystępuje do przetworzenia ludzi według swego planu. W pierwszej fazie następuje likwidacja klasy przeznaczonej na zagładę, i ten rodzaj terroru przeznaczony jest na zewnątrz dla zastraszenia ewentualnych sprzymierzeńców dawnego reżymu. W drugiej fazie czystce podlegają elementy, które partia pozyskała dzięki swym powodzeniom, są to bowiem oportuniści i karierowicze.

W następnym rzucie padają idealiści i fanatycy partyjni jako element zb czynny i mogący zakwestionować dogmat nieomylności partii. W tym punkc wszyscy już entuzjastycznie zgadzają się na wszystko. Ale brak przeciwn ków nie świadczy o tym, że partia ich nie posiada, jest on dowodem ni udolności tajnej policji, która nie potrafi ich wykryć. Kompletna izolac obywateli wytwarza prawie powszechną nieufność. W tej fazie czystki nabi rają własnej szybkości i wymykają się spod kontroli. Następuje okres zwan ,,Jeżowszczyzną", gdzie każdy jest albo wspólnikiem albo już ofiarą. W buch wojny zwolnił ten proces czystek, ale zaraz po wojnie wszczęto s na nowo.

W zakończeniu dr Brzezinski podkreśla, że nie można spodziewać s zasadniczych zmian w Rosji. Być może nie będzie już takich masowyc czystek jak w latach 36-38, ale nie są one konieczne. Gdy reżym wsze na drogę terroru jako instrumentu rządzenia, nie może się teraz cofnąć be ryzyka utraty części władzy. Celem jest w dalszym ciągu władza absolutn

A Walk On the Wild Side, by Nelson Algren, Farrar, Strauss ar Cudahy, 1956, str. 346.

Podobnie jak i w poprzednich powieściach ,,Someone in Boots" i ,,Ma with the Golden Arm" bohaterami ,,A Walk on the Wild Side" są wa ranci, złodzieje, prostytutki, utrzymanki, szulerzy i narkomani. Algren n stara się wzbudzić uczucia sympatii dla tych mieszkańców pół-światka, i przeciwieństwie do Steinbecka nie dodaje im nic romantycznego. Opisy nader rzeczowe i brutalne. Jedna rzecz jest ponad wszelką wątpliwość prawość charakteru bohaterów. Ten zasadniczy podział ludzi na stojącyc po stronie przegranych i zwycięzców przypomina prymitywną koncepc S. Piaseckiego z trylogii sensacyjnej, z tym że Algren jest bardziej przek nywujący w wykończeniu artystycznym swej teorii.

Brainwashing: The Story of the Men Who Defied It, by Edwa Hunter, Farrar, Strauss and Cudahy, 1956, str. 310.

Edward Hunter jest twórcą terminu ,,brainwashing" i w pierwszej sw książce pt. ,,Brainwashing in Red China" opisał szczegółowo jego technik Rzecz obecna traktuje o stosowaniu tej techniki na wybranych osobnika w warunkach niemal laboratoryjnych. Tym razem ofiarami są Amerykani Hunter dokładnie opisuje poszczególne wypadki. Nacisk wywierany na ofia przy pomocy perswazji, później tortur, znowu perswazji, podstępów it Jednocześnie, korzystając z doświadczeń torturowanych, opisuje ich prz życia wewnętrzne, ciągłe zbliżanie się do progu wytrzymałości i sposo przeciwdziałania. Technika ,,brainwashing" oparta jest na badaniach odı chów warunkowych Pawłowa i została odpowiednio udoskonalona z dod kiem chińskich ,,specjalności". W rozdziale końcowym znany psychia amerykański dr Leon Freedom uzupełnia relację Huntera wyjaśniając w sp sób naukowy istotę ,,brainwashing". Komuniści stosują nowoczesną tera psychiatryczną na odwrót: zamiast leczyć chory umysł, doprowadzają schorzenia zdrowy. Dr Freedom nazywa to psychiatrią cortiviscerałną.

W tym ponurym obrazie są jednak i jaśniejsze plamy. Wiele ofiar poddanych „brainwashing" oparło się skutecznie i Hunter rozpatruje poszczególne punkty tej samoobrony umysłu. Najlepszą bronią jest wiara religijna, głębokie przekonania i zaufanie do słuszności porządku moralnego i politycznego. Niestety tej broni mamy za mało.

ZBM

Wśród czasopism amerykańskich

W ubiegłym miesiącu tygodnik „Time" poświęcił „cover story" historykowi amerykańskiemu Jacques Barzun (autor: *The French Race: A Study in Modern Superstition; Of Human Freedom; Darwin, Marx, Wagner; Romanticism and the Modern Ego; Pleasures of Music; Berlioz and the Romantic Century; Teacher in America; God's Country and Mine; Music in American Life*) i przy tej okazji zajął się sprawą intelektualistów w Ameryce.. Sprawa ta nie jest oczywiście niczym nowym i dyskusje na ten temat ciągną się z przerwami od wielu lat. Ostatnio jednak J. Barzun dolał oliwy do ognia analizując cały problem od początku.

Głównym zarzutem jaki intelektualiści wysuwają pod adresem społeczeństwa jest zapoznanie ich roli i wartości w życiu amerykańskim. Uważają się oni za dipisów we własnym kraju, odsuniętych na boczny tor. Tymczasem najwięksi intelektualiści amerykańscy robili wszystko, by wytyczyć przyszły kierunek antyintelektualny, głosząc, że Ameryka winna stać się krajem prostego człowieka. Młody naród amerykański nie chciał zajmować się teoriami, ani też intelektualiści nie mieli ochoty ich dostarczać. Gdy na początku XX-go wieku skarby sztuki europejskiej zaczęły napływać do Stanów, intelektualiści ruszyli w przeciwnym kierunku, do Europy. Po pierwszej wojnie ruch ten przybrał objawy masowej ucieczki i ekspatriaci nazwali się „zbłąkanym pokoleniem" (*lost generation*). W latach trzydziestych, gdy ludzie praktyczni stracili wszystko co mieli, zdawało się że wreszcie przyszła kolej na intelektualistów, których podejrzewano, że potrafią zapobiec skutkom kryzysu. Później nadeszła druga wojna i okres dobrobytu i znów zapomniano o ich istnieniu.

J. Barzun zadał sobie pytanie: jak się to stało, że Ameryka otworzywszy wrota dla wszystkich, straciła swe własne dziedzictwo kulturalne i dzisiaj pojęcie amerykanizacji równoznaczne jest z barbaryzacją? W Ameryce — mówi Barzun — nie ma ani ustalonych klas społecznych, ani elity intelektualnej. Intelektualista nosi teczkę i zajmuje się „zbieraniem faktów, spisywaniem ich i wydawaniem drukiem". Na skutek rozległości terenu, w Stanach nie powstało żadne centrum kulturalne w sensie europejskim.

„Parnas rozciąga się od morza, do morza". „Ameryka jest społecznością obejmującą wszystkie narody. Składa się z ludzkości i ludzkość jest je celem".

Czym mają się zajmować intelektualiści w kraju, w którym przywilej stały się udziałem mas? Na to pytanie odpowiada filozof Sidney Hook: — Powołaniem intelektualisty jest krytyczna niezależność. Intelektualist zdradza swe powołanie gdy staje się poetą laureatem status quo. Tak zwan intelektualiści — mówi dalej prof. Hook — są konformistami w swym włas nym kręgu, tak samo jak nie-intelektualiści. Wolą oni „umrzeć" niż zgodzi się z większością, nawet wtedy gdy większość ma rację. A J. Barzun do daje jeszcze: Intelektualiści nie mają znowu tylu powodów do skarg. Nigd przedtem nie było tylu mecenasów skłonnych udzielić im poparcia.

Najważniejszym faktem w dziejach XX-go wieku — mówi filozof Mor timer Adler — jest amerykańska rewolucja przemysłowa. Budzi ona wiel nadziei na przyszłość, choć na razie przerost wytwórczości odsuwa spraw kulturalne na dalszy plan. Na dłuższą jednak metę uprzemysłowienie wy tworzy wielomilionowe społeczeństwo arystokratyczne. Możemy stworzy Rzym lub Ateny dla milionów. Jesteśmy w stanie wytworzyć społeczeństw intelektualistów lub cyrki. Możemy wybierać. Intelektualiści nie powinn łkać, powinni planować na przyszłość.

♦

Największym fenomenem amerykańskiej demokracji w praktyce jes sprawa murzyńska na Południu Stanów. Problem ten istnieje oczywiście rów nież i na Północy, ale w innej formie. Kilka tygodni temu znakomity pisarz William Faulkner, sam południowiec z Mississippi, w „Liście do Północy" na łamach tygodnika „Life" dał do zrozumienia, że sprawy desegregacj rasowej w szkołach amerykańskich na Południu nie da się załatwić odgórni dekretem rządu, i że rozwiązanie należy pozostawić ludności Południa W numerze czerwcowym „Harper's Magazine" Faulkner powraca do teg zagadnienia (*On Fear: The South in Labor*). Faulkner podkreśla, że nie rozwiązalność tego problemu leży w niemożności pogodzenia dwuch faktów ustawy o równości rasowej w szkołach, wydanej przez rząd; i twierdzeni ludności Południa, że Biali i Czarni nigdy nie powinni uczyć się razem w te samej szkole. Ludnością Południa rządzi strach — mówi Faulkner — strach nie przed Czarnymi jako rasą, ale Czarnymi jako klasą społeczną, jak czynnikiem ekonomicznym. Murzyni zagrażają całemu systemowi gospodark rolniczej Południa.

Trzysta lat temu potomkowie dzisiejszych czarnych mieszkańców Połud nia żyli jako dzicy w puszczy afrykańskiej. Dzisiaj mogą się pochwali drem Ralph Bunche, Georg Washington Carverem, Booker T. Washingto nem i innymi. Jeszcze 90 lat temu Murzyn nie miał prawa posiadać skrawk ziemi, nie mówiąc o tym, że nie umiał czytać i pisać. Dzisiaj płaci podatk na ręce urzędnika, na którego wybór nie ma żadnego wpływu; jest właści cielem farmy i stać go na wysłanie dzieci na studia do uczelni na Północy Sprzęt rolniczy jakim uprawia swą ziemię jest taki, że Biały umarłby z głodu I tu leży źródło strachu Białych. Jeśli Murzyni doszli do tego nie mają żadnych praw, co się stanie jeśli staną się równi pod każdym względem

Dlatego Czarnym pozwola się umierać za Białych w czasie wojny, a nie pozwala się im wspólnie z Białymi uczyć abecadła.

Można przeklinać ten dzień w którym pierwszy ładunek czarnych niewolników sprzedano na rynku amerykańskim — mówi Faulkner — ale dzisiaj nie ma to już żadnego znaczenia. Podobnie, można żyć na Alasce i nie zgadzać się na śnieg. Otóż śnieg istnieje i trzeba się pogodzić z tym faktem. Przed pięcioma laty Faulkner zaczął podróżować po świecie. Zwiedzając różne kraje Europy, Bliskiego Wschodu i Azji doszedł do wniosku, że wiele z tych krajów mogłoby być już pod panowaniem komunistycznym, gdyby nie Ameryka. Ci ludzie tam, wierzyli i wierzą w ,,marzenie amerykańskie''. Mają zaufanie do Ameryki, nie dlatego że stoją za nią bogactwa i siła (Rosja ma je również), ale dlatego, że Ameryka oznacza również wolność i równość jednostki. Te pojęcia są jedyną bronią do zwalczania komunizmu. Amerykanie nie mogą pobić komunistów przy pomocy dyplomacji, bo są dziećmi w tej grze; ani produkcją, bo w wolnym kraju produkcja podlega różnym wahaniom. Jedyną i najskuteczniejszą bronią jest wiara, że człowiek może być wolnym.

Nie można wybierać wolności opartej o hierarchię stopni swobód, o system kastowy jak w wojsku. Musimy być wolni — mówi Faulkner w zakończeniu — nie dlatego, że głosimy wolność, ale dlatego że ją wprowadzamy w życie. Wolność prawdziwa jest równa.



Podział świata na kraje komunistyczne, niekomunistyczne i neutralne wytworzył również pewną rywalizację w dziedzinie kulturalnej. Przedmiotem tej rywalizacji są kraje neutralne, szczególnie zaś azjatyckie. Nigdy dotąd w czasopismach krajów wschodnio-europejskich nie ukazywało się tyle szkiców i przekładów z literatur krajów azjatyckich czy południowo-amerykańskich. To zainteresowanie jest dwojakiej natury. Intelektualiści krajów tak zwanych ,,zacofanych gospodarczo'' są potencjalnymi sprzymierzeńcami komunistów i można ich użyć jako zwierzęta pociągowe w procesie komunizacji ich krajów. Zbliżenie kulturalne, a więc wszelkie wymiany dóbr kulturalnych, jest tylko zasłoną dymną do właściwego ,,zbliżenia'' gospodarczego i politycznego.

W wolnym świecie sprawy te idą zupełnie innym trybem i nie wielu ludzi interesuje się zagadnieniami kulturalnymi i politycznymi krajów azjatyckich czy południowo-amerykańskich. Czasopisma nie poświęcają im wiele uwagi. Wiedza o nich rozprasza się w szczupłych gronach specjalistów.

Powstała w Stanach organizacja Intercultural Publications Inc., postawiła sobie za zadanie wymianę kulturalną ze wszystkimi krajami świata. Między innymi wydaje ona kwartalnik ,,Perspectives USA'' drukowany w czterech językach i rozprowadzony w 60-ciu krajach. Czytelnicy zagraniczni mają możność zapoznania się z bieżącą twórczością amerykańską, a więc literaturą, sztuką, itp. Jednocześnie niektóre czasopisma amerykańskie dają dodatki poświęcone innym krajom celem zapoznania z nimi czytelników amerykańskich.

Numer czerwcowy ,,The Atlantic'' poświęcony jest Indonezji (Perspective of Indonesia). Prócz artykułów zasadniczych informujących o historii,

sprawach gospodarczych, politycznych, literaturze, sztuce, religii itp. — do datek zawiera fragmenty prozy i poezji autorów indonezyjskich. Szczególni interesująca jest część o malarstwie, uzupełniona ośmioma stronami koloro wych reprodukcyj (warto jeszcze dodać, że prawdziwą niespodzianką wśró malarzy jest ekspresjonista Affandi przypominający Kokoschka).

Poza tym, dla zainteresowanych sprawami Indonezji dodatek zawier obszerną bibliografię.

ZBM

RYSY TWARZY

Pod powyższym tytułem ukaże się wkrótce nowa powieść Wacława SOLSKIEGO.

Treścią powieści jest życie człowieka: jego lata szkolne, jego młodość jego miłość i jego zmagania z otoczeniem i samym sobą w poszukiwani swojej życiowej drogi.

Kilka rozdziałów powieści drukowały londyńskie „Wiadomości". Na zywały się one: „Stefaniak", „Spacer po Piotrowskiej", „Helena" „Bal w szkole", „Niedziela".

Powieść RYSY TWARZY wyjdzie nakładem czytelników. Druko wana będzie w Anglii i przesyłana pocztą zamawiającym. Cena książk w przedpłacie wynosi 2 i pół dolara, w Wielkiej Brytanii — 16 szylingów w innych krajach — równowartość 2 i pół dolarów. We Francji, Belgii Danii, Holandii, w Niemczech Zachodnich, Szwajcarii, Indiach i Szwecj książkę zamówić można również za pobraniem pocztowym, płacąc za ni listonoszowi przy otrzymaniu książki w walucie danego kraju.

Wpłaty i zamówienia należy kierować na adres: WIADOMOSC (THE NEWS), 54, Bloomsbury Street, London W.C.1, ENGLAND zaznaczając, że jest to wpłata na RYSY TWARZY.

Wydanie książki w obecnych warunkach i udostępnienie jej czytel nikowi jest, wobec rozproszenia polskiej emigracji po całym świecie, spraw niezmiernie trudną. Autor prosi prasę polską na emigracji o przedrukowani niniejszego wezwania, a czytelników o możliwie rychłe zamawianie książki

Listy do Redakcji

Tel-Awiw, 23 lipca 1956.

Szanowny Panie Redaktorze !

Nie wiem, czy wiadomo Panu, że świetne Wasze pismo cieszy się tutaj, w Izraelu, bardzo dużą poczytnością. Żydzi z Polski, ci zwłaszcza którzy przybyli tutaj już po wojnie, albo w czasie wojny — nie zerwali więzów z językiem polskim. I to nie tylko dlatego, że nie wszyscy jeszcze znają biegle trudny język swej ojczyzny — są i tacy, którzy czytając literaturę i prasę hebrajską — nie przestają czytać polskiej. Wśród czasopism zaś emigracyjnych — ,,Kultura'' właśnie cieszy się wyjątkową popularnością dzięki swemu wysokiemu poziomowi, szerokim horyzontom i ciekawej treści. Dlatego też wydaje mi się, że będę wyrazicielką nie tylko przekonań własnych, ale i szerokich kręgów izraelskich czytelników, jeśli poruszę problem, oświetlony w artykule Mariana Pankowskiego, ,,Chuligani''. (,,Kultura'', Nr 6/104, czerwiec 1956).

Z jednego zdania w wymienionym powyżej artykule wynika, że autor był w Polsce w czasie okupacji hitlerowskiej. (,,Pamiętam jedenastoletniego Miśka, który w dniu imienin dał matce w prezencie pół metra pszenicy, wyhandlowanej za ileś tam setek ,Sportów''). Dlatego wydaje się nie tylko dziwne, ale zgoła nieuczciwe, że pisząc o demoralizujących wpływach czasów okupacji na młodzież i dzieci polskie — publicysta tej miary i tak świetnego pióra, jak Marian Pankowski — pomija zupełnym milczeniem główne źródło tej demoralizacji : sprawę Żydów. Tym dziwniejsze, że z brutalną prawie szczerością autor piętnuje wszystkie narodowe wady polskie, na których podłożu wyrosło owo, słynne obecnie w Polsce ,,chuligaństwo''.

Rozmiary tego ,,listu'', który — zdaję sobie z tego sprawę — należy jak najbardziej ograniczyć, nie dają mi możliwości ujęcia tej sprawy w jej całej rozciągłości, tak, jak ją znam, widziałam i przeżyłam. Autor wymienionego artykułu pominął jednak te sprawy milczeniem nie ze względu na brak miejsca. Więc dlaczego ? Bo, jeśli pisze ,,.... Przy dzieciach ,,ubijało'' się interesy, zapijając je wódką, przy dzieciach opowiadało się z uśmiechem o ,,wykończonych'' Niemcach. Rabunek mienia niemieckiego i zabijanie (będące przecież karą i odwetem !), przestało być aktem gwałtu, stając się czynem patriotycznym'' — to, wystarczy w tym jednym, wyżej zacytowanym ustępie — podstawić zamiast słowa ,,Niemiec'' — słowo ,,Żyd'' — i wszystko będzie się zgadzało co do joty. Bo przy dzieciach załatwiało się sprawy szantażowania Żydów i wyciągania od nich ostatniego grosza, przy dzieciach wydawało się w ręce Niemców ukrywających się Żydów, dzieci wiedziały, że wystarczy podejrzanego osaczyć gdzieś w bramie i spuścić mu spodnie, aby się przekonać, czy jest Żydem i wtedy zażądać okupu, albo zawołać pierwszego z brzegu, ,,granatowego'' albo niemieckiego policjanta. Marian Pankowski — jeśli był w Polsce w czasie okupacji hitlerowskiej —

nie może nie wiedzieć o tym że całe bataliony młodzieży polskiej, wciel do tak zwanego „Baudienstu", musiały brać udział w „akcjach", cz w mordowaniu całej ludności żydowskiej poszczególnych miasteczek polskic Był to naturalnie przymus, ale wiadomo także ile tam było nieprzymuszon ochoty i gorliwości. I nie wolno zapominać, że wódka, którą tę młodz pojono przed każdą taką „akcją" była wówczas nie komunistyczna, hitlerowska i całe to młode bractwo piło ją niemniej ochotnie, niż czyni dzisiaj.

Obiektywizm jest rzeczą trudną. Przyznajemy, że i nam, Żydom moż w wielu wypadkach uczynić ten zarzut, że nie umiemy być obiektyw Dlatego zawsze i wszędzie będę się starała i czyniłam to dotąd, czy w ramach pracy w Żydowskiej Komisji Historycznej, czy w publicystyce podkreślać każdy moment wielkiej szlachetności i niesłychanej odwagi ty Polaków, którzy bronili i ratowali ściganych, często z narażeniem życia wła nego i swych rodzin. Ofiarność tych ludzi uratowała życie setkom Żydó podłość innych skazała na śmierć tysiące.

Nie wolno publicyście żydowskiemu przemilczeć faktu, że było du Żydów wśród szpiclów i agentów Gestapo, nie wolno publicyście polskiem takiemu zwłaszcza, którego ust nie knebluje „reżym", ani „partia" — pis o demoralizującym wpływie czasów okupacji — z zupełnym pominięcie sprawy żydowskiej, która była tej demoralizacji zatrutym źródłem.

Długie lata pracy konspiracyjnej pozwoliły mi dokładnie obejrzeć ob strony medalu : jedna z nich, czysta i błyszcząca szczerym złotem była j nikły blask słońca, ślizgający się wstydliwie po powierzchni ciemnych, m nych wód, podczas gdy ta druga stała czarnym i nieprzebytym murem m dzy Żydami a życiem. Dla kogo to bowiem potrzebne były Żydom „ar skie" papiery, „aryjski wygląd", cały ten skomplikowany arsenał kłams i wykrętów, którym trzeba było ratować życie ? Dla Niemców ? Jaki N miec znał się na wyglądzie, na akcencie, na sposobie bycia, na legalny czy nielegalnych dokumentach ? Owszem, byli tacy niemieccy specjali w Gestapo, ale żeby się w ich ręce dostać — trzeba było najprzód dono Najdosadniej określił to mały, żydowski dzieciak, który po wojnie skła swoje zeznania i zapytany, czy mu pomagali Polacy, powiedział : „Byli ta co mi pomogli, wiedzieli, że jestem Żydem i nie powiedzieli Niemcom To była najlepsza i najbardziej upragniona pomoc.

Dzieci polskie, te które dnie i noce spędzały pod murem ghetta, trop uciekających, dzieci, które nauczyły się tej jedynej, niemieckiej praw że Żyda można i trzeba obedrzeć ze wszystkiego, co posiada, a pot wydać na śmierć — te dzieci wyrosły w młodzież i tworzą dzisiaj tr osławionej „chuliganerii". I jeśli mamy przyjąć, że powojenny, komunisty ny reżym nie potrafił wyplenić zła, to należy też stwierdzić, że rządy Pol przedwojennej nie dały rodzicom tych dzieci tych podstaw moralnych, k re by były osłoną przed podłością i zbrodnią.

Nowa, wzmożona fala antysemityzmu w Polsce, która przyszła raz z „odwilżą" jest jeszcze jednym dowodem, że usłużnym wymysłem wszelkie, obiektywne powody tego zjawiska. Za czasów Sławoja-Składko skiego było gospodarcze „owszem", teraz mówi się o dominacji Żyd w życiu politycznym, jutro będzie ich zbyt wiele w dziedzinie życia ku ralnego. Być może, że aż do ostatniego Żyda w Polsce znajdzie się wyt maczenie dla antysemityzmu. I nie o to już chodzi, aby ratować tego os niego Żyda. Jeśli jest tu coś do ratowania — to moralność i etyka wielki narodu, który jeśli teraz przepadł przy egzaminie, może go zdać wyśmien w przyszłym pokoleniu. A tej sprawie nie przysłuży się omijanie bolesn prawd.

Miriam HOCHBERG-MARIAŃSKA

Fryburg, 24. 7. 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

W Nr 10 (22. VII. 1956) tygodnika „Kierunki” ukazał się artykuł p. Mieczysława Kurzyny pt. „Gwarancje Jedności” w sprawie którego pragnę zabrać głos. P. Kurzyna, korzystając z „odwilży”, stwierdza najpierw niedwuznacznie, że Wiara i Kościół są w Polsce prześladowane, jest to, o ile wiem, pierwsze tego rodzaju publiczne stwierdzenie od paru lat i chciałbym na nie zwrócić uwagę. Oczywiście, p. Kurzyna nie używa tego wyrażenia, ale przytacza dość szczegółów konkretnych, aby wolno było jego myśl tak sformułować. Następnie autor stawia postulaty, bez zrealizowania których nie może być, jego zdaniem, „jedności narodowej”, to jest koegzystencji wierzących z komunistyczną władzą w Polsce. Postulaty takie są trzy: 1) zrozumienie społecznej roli katolicyzmu, 2) uznanie, że jedność Kościoła Powszechnego jest dogmatem, 3) zrozumienie, że istnieje tzw. „prąd postępowy” wśród katolików polskich.

Cały artykuł pisany jest ze stanowiska ideologii tzw. „katolików postępowych”, która nie może być przyjęta przez wierzącego (nawet niezależnie od potępienia przez Stolicę Apostolską) i jako taki jest nieinteresujący. Daje mi on jednak sposobność do przypomnienia czegoś, co p. Kurzyna starannie przemilczał, a co jest niewątpliwie *pierwszym* i najważniejszym postulatem katolickim w tej sprawie: przywrócenie do władzy prawowitych Biskupów.

Wydaje mi się, że wśród Polaków za mało jest zrozumienia ważności tej sprawy. Każdy wie, że jedność Kościoła polega na jedności z Papieżem, ale mało kto zdaje sobie sprawę, że równie istotna jest jedność z prawowitym biskupem. To jest jeden z *podstawowych* dogmatów wiary katolickiej: gdzie Biskup, tam Kościół. Ten dogmat jest właśnie systematycznie przemilczany w pismach „postępowców”. Oczywiście, znacznie wygodniej jest wyznawać posłuszeństwo (mocno w dodatku ograniczone) tylko względem dalekiego Rzymu. Znacznie mniej wygodny jest Biskup na miejscu. Praktyczniej jest mieć Biskupa w więzieniu, albo wydalonego, gdy diecezją rządzi jakiś agent Partii, a ci panowie z „Kierunków” mogą robić własną teologię i własną politykę kościelną.

Tylko, że to jest, nie waham się twierdzić, zupełne odstępstwo od Wiary. Z jej stanowiska *pierwszym* warunkiem koegzystencji jest przywrócenie prawowitych biskupów z ks. Prymasem na czele.

Pan Kurzyna wiele rozprawia o poniżaniu godności katolika, o przeczeniu jedności z Rzymem itd. Ale nie potrzeba nawet myśleć ze stanowiska nadprzyrodzonego, aby zrozumieć, że konkretnie ważniejsze jest co innego. Kiedy w „Potopie” wierne Rzplitej oddziały zbierają się przed pałacem zdrajcy Radziwiłła, Wołodyjowski nie słyszy wołania o poszanowanie godności, ani nawet o uznanie króla. Poprzez kraty więzienia dolatuje jeden tylko krzyk: „Pułkowników! Pułkowników!” Genialną intuicją wyczuł Sienkiewicz pierwszą reakcję każdego zdrowego społeczeństwa, zagrożonego przez nieprzyjaciela: tą reakcją jest żądanie przywódców. Przywódcami Kościoła w Polsce są Biskupi polscy. Pierwszym warunkiem koegzystencji jest przywrócenie im wolności i możności sprawowania władzy. Bez tego nie ma o czym mówić.

Racz Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy wysokiego szacunku.

I.M. BOCHEŃSKI, O.P.

Londyn, 4 sierpnia 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

Juliusz Mieroszewski omawia na łamach Pańskiego pisma sprawę wizyty pisarzy z Polski w Londynie z okazji zjazdu Pen-Clubów i ataki jakie pojawiły się w związku z tą wizytą w londyńskim „Dzienniku Polskim". Pozwoli Pan, że uzupełnię od siebie ten obraz wyjaśnieniem, którego nie zamierzam zamieszczać w „Dzienniku Polskim". Pismo, które sprawę przyjęcia wydanego przez pisarzy z Polski sprowadza do wulgarnych określeń „zafundowania „obiadu" przez Milnikiela", obejmując tym określeniem pisarzy tak szlachetnych i wybitnych jak Jan Parandowski i Maria Dąbrowska, nie nadaje się — jak sądzę — jako teren rzetelnej i poważnej polemiki. Mam natomiast wrażenie, że warto poinformować grono czytelnicze pisma poważnego i szanowanego jakim jest „Kultura", tym bardziej, że — jak się okazuje z kontaktów z Polakami z kraju — „Kultura" jest wysoce ceniona w Polsce.

Zajmuję miejsce na łamach Pana pisma i czas czytelników „Kultury" tylko dlatego, że „Dziennik Polski" wybrał sobie moją osobę za główny cel ataku. Nie bardzo rozumiem dlaczego to uczynił, skoro „Bywalec" w swojej kronice stara się pomniejszyć mój dorobek i rangę pisząc, iż „chociaż dziennikarz" to jednak zapisałem się w annałach literatury powieścią „Anna", potraktowaną lekko przez „Bywalca". Nie wstydzę się swojej kariery dziennikarskiej, ale dla informacji dodam, że zawód pisarski zacząłem książką o Josephie Conradzie wydaną w roku 1927 (pierwsze studium polskie o tym pisarzu), kontynuowałem wydaną w roku 1930 pracą o Walterze Paterze; powieścią „Ciszy Lasu" ogłoszoną w roku 1931 a przyjętą doskonale przez krytykę polską. Ślady tego uznania znaleźć można w opracowaniach literatury międzywojnia K. Czachowskiego czy J.E. Płomieńskiego i w dziesiątkach ocen i recenzyj. Podobnie ma się rzecz jeżeli chodzi o moje książki angielskie wydane pod własnym nazwiskiem oraz pseudonimem, łaskawie ujawnionym przez tego samego „Bywalca" bodaj w roku 1949 kiedy „Dziennik Polski" atakował mnie jeszcze gwałtowniej.

„Bywalec" zarzuca mi odmawianie pisarzom na emigracji prawa pisania po polsku, co miałem rzekomo uczynić w roku 1947, pisząc na łamach prasy w kraju. Chciałbym tę sytuację wyjaśnić.

Nie będę taić, że zakończenie wojny przyniosło — nie mnie jednemu — wielkie rozczarowanie środowiskiem polskim na emigracji. Dowolne oskarżanie o „zdradę" wielu ludzi, którzy szukali, nieraz rozpaczliwie, wyjścia z impasu w jakim się znaleźliśmy; roztrwonienie grosza, które uniemożliwiło powstanie pożytecznych inicjatyw (m. in. odpowiednio zaopatrzonego finansowo wydawnictwa, o co walczyła w Londynie grupa osób, wysuwając projekty takiego wydawnictwa podobnie jak i instytutu polsko-angielskiego); brak możności wypowiedzenia spokojnego i rzeczowego sądu; coraz wyraźniej występujący brak poważnej i odważnej myśli politycznej — te i podobne motywy sprawiły, że niejeden z nas starał się szukać rozwiązania na własną rękę. Kiedy w roku 1946 „Dziennik Polski" zaatakował pisarzy w kraju za ich postawę, pozwoliłem sobie bronić ich słowami, że kultura polska jest „ostatnią naszą linią obrony". Z rozmów, jakie prowadziłem w Londynie z ludźmi przybyłymi z kraju starałem się wyrobić sobie sąd o sytuacji — jeżeli chodzi o odcinek pisarski, to wiedziałem, jak ważną rzeczą jest dla nich pojawianie się prac pisarzy emigracyjnych w Polsce. „Dopóki można — powiedziano mi wiosną roku 1946 — należy dla nas pisać... bo przecież to, co piszecie dociera do waszego społeczeństwa. Nie wiemy jak długo potrwa ta możność penetracji z Zachodu". Te słowa, po-

dobnie jak list otrzymany z Krakowa a zawierający zdania: ,,dlaczego pisarze poza krajem nie mają pisać dla nas? Dlaczego mamy być jeszcze i tak karani?" — zdecydowały mnie jeżeli chodzi o zamieszczenie kilku szkiców na łamach prasy krajowej, podobnie jak wyrażenia zgody na wydanie przez prywatną spółkę wydawniczą ,,Awir" powieści ,,Anna" a przez Wielkopolską Sp. Wyd., kierowaną wtedy przez mojego starego znajomego i człowieka wielkiej prawości, śp. Szczepana Jeleńskiego (Bolesław Katerwa), tomu o Anglii. Tom ten nie pojawił się, albowiem jesienią roku 1947 odebrano mu przydział papieru. Żadnych honorariów za te rzeczy nie otrzymałem zagranicą; byłem natomiast rad, że mogłem nimi pomóc moim bliskim.

Na tle mojej decyzji pisania w kraju oraz listu, jaki na wiosnę roku 1947 napisałem w ,,Odrodzeniu" (w replice na uwagi Ksawerego Pruszyńskiego w artykule jego ,,Niedługo po bocianach"), wywiązała się polemika w londyńskim ,,Orle Białym" oraz w biuletynie wydawanym w Szwajcarii ,,Pod Prąd". Odpowiadałem na łamach ,,Orła Białego" i ,,Pod Prąd"; miałem zamiar odpowiedzieć na łamach miesięcznika ,,Horyzonty" (Szwajcaria), ale pismo to przestało wychodzić.

List mój w ,,Odrodzeniu" nie ukrywał mojego rozczarowania stosunkami na emigracji. Oceniałem w nim pesymistycznie myśl polityczną na emigracji; jeżeli chodzi o odcinek pracy pisarskiej to uważałem, że dola książki polskiej na emigracji przedstawia się bardzo źle i że istotny, masowy czytelnik znajduje się w Polsce. Uważałem dalej, że brak zaopatrzenia pisarzy polskich poza krajem — na tle braku odpowiednio wyposażonych wydawnictw — zmusi ich do pisania w obcym języku. Nie odmawiałem im prawa pisania po polsku; wyraziłem sąd, że będą zmuszeni pisać w obcym języku. Fakt, że wszystkie wybitne rzeczy polskich autorów jakie pojawiły się na emigracji pisane były albo po angielsku albo pojawiły się w przekładzie na angielski czy francuski (od książek gen. Andersa, Stanisława Mikołajczyka, gen. Bor-Komorowskiego i Z. Stypułkowskiego poprzez rzeczy Czapskiego i Miłosza aż po utwory Kuncewiczowej i Pietrkiewicza), potwierdzałyby moją tezę.

Mój list w ,,Odrodzeniu" nie był kierowany żadną chęcią przygotowywania sobie terenu czy ,,kariery". Chciałem powiedzieć — pisałem w roku 1947 na łamach ,,Pod Prąd" — to, co myślę o roli i znaczeniu emigracji, roli grubo — według mnie — przecenionej. Chciałem stwierdzić, że nie wszyscy Polacy na obczyźnie ulegają histerii, która kazała jeszcze nie tak dawno nazywać ,,zdrajcą" każdego kto chciał jechać do Polski... Chciałem podkreślić, że są ludzie, którzy starają się patrzeć możliwie trzeźwo na tragiczny splot wypadków, w który jesteśmy uwikłani. Przyznaję się otwarcie, że cieszę się każdym postępem w Polsce, że oceniam olbrzymi wysiłek naszego społeczeństwa... Nie rozumiem jak pisarze polscy mogą odsądzać od czci i wiary innego pisarza za to, że chce utrzymać mimo wszelkich trudności kontakt ze swojem społeczeństwem".

Wystąpienie moje było z jednej strony ostrzeżeniem, ażeby nie liczono nadmiernie na wpływy czy wagę emigracji; z drugiej próbą powiedzenia Polakom w kraju, że problemy ich i trudności są rozumiane. Oczywiście, był to odruchowy gest pisarza, który nie łudzi się co do skromności zasięgu swoich wpływów; gest taki uważałem jednak za wskazany w atmosferze wyraźnego żalu wielu Polaków w kraju do ludzi na emigracji, że nie chcą rozumieć ich sytuacji. Ponieważ piszę na łamach pisma poważnego i szanowanego gotów jestem uznać, że wnioski zawarte w moim liście do ,,Odrodzenia" były sformułowane może zbyt ostro. Chodziło mi wyłącznie o porozumienie z krajem; powodowany byłem obawą, że tracimy kontakt z krajem przez brak wyobraźni i zbyt pochopne potępianie ludzi, wydarzeń i dokonań.

Jeżeli dzisiaj nadarzy się sposobność do wydawania książek w kr to stwierdzam otwarcie, że chciałbym aby moje rzeczy — włącznie z tor o Anglii, który utknął w roku 1947 — mogły pojawiać się w Polsce. leży mi ogromnie na czytelniku polskim w Polsce; i nie zapomnę ni wzruszenia jakiego doznałem witając w roku ubiegłym w Wiedniu star przyjaciół, pisarzy szlachetnych, Jana Parandowskiego i Michała Rusir Chciałbym, ażeby moje książki pojawiały się w Polsce; nie chcę otrzymy za nie żadnego honorarium zagranicą, ale będę rad jeżeli honoraria te mogą moim bliskim. Godziłbym się na wydanie moich rzeczy i bez hon rium — albowiem rozliczne listy, jakie dostaję z Polski od osób mi z nych i nieznanych oraz rozmowy jakie toczę z Polakami z kraju w maitych punktach Europy, przekonują mnie o wielkiej jedności i solidarn jaka między nami istnieje. Radość powrotu do swoich czytelników jest większą zapłatą dla pisarza; zapłatą, dla której można znieść wszelkie at i insynuacje. Ponieważ zaś godność człowieka i pisarza polega także i odwadze myślenia i mówienia i odwadze przyznania się do pomyłek i błęd chętnie stwierdzam, że jeżeli moje wystąpienie w „Odrodzeniu" było pr jaskrawione w tonie, to na pewno nie miało na celu szkodzenia słusz i naczelnej sprawie: porozumieniu z krajem, porozumieniu z własnym s łeczeństwem.

Racz Pan przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy szczer szacunku.

Zbigniew GRABOWSKI

*

Londyn, sierpień 19

Szanowny Panie Redaktorze,

Proszę o wydrukowanie poniższego listu na łamach „Kultury". A pro dlatego że dotąd angażowałem się, w imię zasady wolności słowa, niejed krotnie w obronie „Kultury" jako pisma i jako zespołu.

Zakończenie artykułu p. J. Mieroszewskiego w lipcowym nume „Kultury" brzmi: „celem naszej polityki jest wyłącznie odzyskanie nie dległości, a nie... zagłada Związku Sowieckiego i wyniszczenie komuni na wszystkich lądach ziemi".

Uważam że postawieniem na swoich łamach takiej tezy „Kultura" j zespół wyłącza się ze społeczności ludzi, walczących o prawdziwą niep ległość Polski i wolność człowieka, ujarzmionego przez imperializm sowie Nie wchodzę w to, czy teza ta postawiona jest ze względów taktyczn czy Pan z zasady wyrzeka się walki z komunizmem i Związkiem Sowieck W każdym wypadku jest to oświadczenie bałamutne, a sprzeczne z cel naszej emigracji politycznej.

Oświadczam że dopóki Pan tezy takiej się nie wyrzeknie jawnie, jawnie ją Pan wydrukował, będę wszystkimi mi dostępnymi środkami de kratycznymi walczył o wyłączenie pańskiego pisma spośród pism wyraż cych opinię emigracji.

Dziękuję Panu za dotychczasowe bezpłatne przesyłanie mi „Kultury" na moją zresztą niegdyś wyrażoną prośbę.

Z poważaniem

Janusz KOWALEWSKI

Londyn, 8. 8. 1956.

Szanowny Panie Redaktorze.

W ciekawym a rzeczowym artykule p. E. Hinterhoffa „Armia Rokossowskiego" („Kultura" Nr 7-8 z 1956) znalazłem dwie nieścisłości.

Pierwsza to pisownia nazwiska gen. dyw. Juliusza Rómmla, który zawsze pisał swoje nazwisko przez „o z kreską".

Druga nieścisłość to twierdzenie autora, że gen. dyw. J. Rómmel „zakończył swoją karierę w 1939 roku jako dowódca obrony Warszawy".

Jako były szef sztabu obrony Warszawy stwierdzam, że gen. dyw. J. Rómmel nie był dowódcą obrony Warszawy. Dowódcą obrony Warszawy od dnia 3 września 1939 roku aż do dnia kapitulacji był gen. brg. Walerian Czuma.

Gen. dyw. J. Rómmel był natomiast dowódcą armii Warszawa i z podobieństwa nazw tych dwu dowództw, stałe nieporozumienia w prasie. Gen. dyw. J. Rómmel po klęsce armii Łódź, której był dowódcą, został mianowany przez N.D. w dniu 7 lub 8 września dowódcą armii Warszawa. W skład tej armii wchodziły: zgrupowanie Modlina pod dowództwem gen. Thommé, zgrupowanie gen. brg. W. Andersa i zgrupowanie obrony Warszawy pod gen. brg. W. Czumą.

Z czasem gdy obszar operacyjny armii Warszawa zacieśnił się do obszaru stolicy i twierdzy modlińskiej, gen. dyw. J. Rómmel opuścił dowództwo armii Warszawa i w dniu 18 września przeniósł się wraz ze swym szefem sztabu płk. dypl. A. Pragłowskim i adiutantem por. Nowickim do dowództwa obrony Warszawy.

Zachowując w pełni swoje stanowisko dowódcy armii Warszawa, gen. dyw. J. Rómmel w pełnej zgodzie i harmonii z gen. brg. W. Czumą, kierowali wspólnie dalszym przebiegiem obrony aż do kapitulacji, którą zdecydował gen. dyw. J. Rómmel na wniosek dowódcy obrony.

W końcu, mam nadzieję, że autor przedwcześnie uśmiercił gen. Rómmla.

Łączę wyrazy poważania.

T. TOMASZEWSKI, płk.



26. 7. 56.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jestem wdzięczny panu A. Kozłowskiemu za jego artykuł o lwowskim bałaku, umieszczony w Nr. 6/104 „Kultury". Jak się okazuje, wychowało nas obu to samo c.k. IV. gimnazjum we Lwowie i obaj znamy i jednakowo kochamy naszą lwowską gwarę.

Gwara ta, droga każdemu polskiemu sercu, umarła i już *nigdy* nie odżyje. Kiedyś, być może, wbrew wszelkim logicznym przewidywaniom, wrócimy do Lwowa, ale jej już tam nie zastaniemy. To, co powstawało przez kilkaset lat, nie da się stworzyć z powrotem w ciągu jednego pokolenia ludzkiego. Wyrażając się obrazowo, powiedziałbym że nasz kochany bałak leży teraz w trumnie i że jeszcze jest czas zrobić maskę pośmiertną a nawet fotografię zmarłego, mimo że już mrok zapomnienia zaczyna zwolna zalegać dom żałoby.

Tak, jeszcze jest czas, ale nie dużo go już zostało. Sądzę że by wskazane, aby się zebrali ludzie kompetentni i dobrej woli i utrwalili z łaku to, co jeszcze się da uchwycić. Za kompetentnych uważam je tylko tych, którzy gwarę lwowską znają dokładnie i bliżej się nią zajmo Nie wystarczy tutaj znajomość kilkunastu lub nawet kilkudziesięciu s Niestety, niewielu już takich znawców pozostało przy życiu. Umarł świetny ,,ekspert" bałaku prof. Kubik z lwowskiej Szkoły Realnej. wiem, czy jeszcze żyje poeta Ludwik Eminowicz. Ja sam miałem p wojną dość dokładnie opracowany słownik gwary lwowskiej wraz z wym i pewnego rodzaju ,,gramatyką". Zabrał mi to wszystko sowiecki NKV po moim aresztowaniu. Część tego materiału zdołałem odtworzyć z pam tutaj w Australii. Trzeba by też poszukać po znajomych. Wiele na p kład mógłby na ten temat powiedzieć jeden z moich przyjaciół, który, chłopak, był autentycznym gazeciarzem lwowskim i przez kilka lat sprze wał ,,Wiek Nowy" pod Kawiarnią Wiedeńską. Staczał się on p coraz niżej i tuż przed ostatnią wojną został — docentem Uniwersy Jana Kazimierza. Sądzę że mógłbym go odszukać, o ile jeszcze żyje.

Takie ,,zakonserwowanie" gwary lwowskiej byłoby, w każdym ra niezbyt łatwym przedsięwzięciem. Na terenie Lwowa istniały i wzajem o siebie się zazębiały: zwykłe wulgaryzmy języka polskiego, archaiz polskie, rdzennie lwowski bałak oraz stojąca nieco na uboczu i mająca czej charakter międzynarodowy gwara złodziejska. Pisarze nasi, na o o ile chodzi o Lwów, nie rozróżniają między tymi pojęciami. Nieda spotkałem się z wypadkiem, gdzie czysto polski archaizm językowy ,,ma zaliczono do gwary złodziejskiej.

Należy również wspomnieć o wymowie czyli tak zwanym akcen lwowskim, którym lwowianie zabarwiali nawet język literacki. Wszystko trzeba by zebrać, uporządkować i podzielić suum cuique.

Z góry przewiduję, że między osobami, które się tej pracy podej będą liczne spory. Ja na przykład nie zgodziłbym się z ,,chojrakiem p. Kozłowskiego. O ile mi wiadomo, wyraz ten nie należy do gwary lw skiej. Pochodzi on od złodziejskiego ,,kojdym" i przyszedł do Lwowa po roku 1918 z Kongresówki. Bałak lwowski miał na określenie człowi butnego i zarozumiałego nazwę ,,kozak" (wymawiaj: k(u)ozak) a pytan ,,s kim ty kozak?!" było zawsze ostatnim powiedzeniem, poprzedzając rękoczyn. Synonimem do ,,kozaka" był ,,fifak".

Również ,,chabal" nie oznaczał jakiegokolwiek mężczyzny, tylko p jaciela-kochanka (Mańka ma chabala). Ten ,,chabal", rzecz dziwna, przy na stały pobyt do Lwowa z dalekiego... Meksyku, gdzie się nazywał ,,ca lero". Prof. Kubik, w rozmowie ze mną, postawił taką hipotezę: w pie szych latach byłego stulecia jedna z mniejszych lwowskich firm wyd niczych, bodaj czy nie Landau, drukowała dla ludku lwowskiego pow zeszytową pt. ,,Leśna różyczka czyli tajemnica żebraka". Był to świe interes, gdy się zważy że zeszyt, obejmujący jeden arkusz druku, koszto w owych czasach niezbyt lekceważenia godną kwotę 6 a potem 10 hale A było ich ponad 150. Co tydzień ukazywał się jeden zeszyt. Interes tym bardziej dochodowy że wydawca lwowski ,,z nieznanych powod drukował tę powieść bez podania autora i pod zmienionym tytułem. Pr dziwym, pierwotnym jej tytułem był ,,Ród Rodriganda" a autorem — K May. Zeszyty te pożerała łapczywie i nagminnie cała suteryna lwow Tworzyły się grupki ludzi. Jedno czytało na głos a reszta z nabożeństw słuchała. Nasze Kasie, Marysie i Antoniowe zapłakiwały się. Akcja wieści toczyła się w Meksyku i w dialogach często przychodziło sł ,,caballero". I z tego powstał lwowski ,,chabal".

„Cmaga" (wódka) przywędrowała do Lwowa stosunkowo późno, bo dopiero w roku 1917. Z Legionów Piłsudskiego. Bałak na wódkę miał nazwę „hara" (czyżby od słowa : arak?)...

„...a tam znowu dwa batiary
tak napili si już hary
ży czypili si za bary
kszyk kulo-nich, gwar..."

Złoty wiek bałaku lwowskiego przypada na lata 1900-1914. W niepodległej Polsce nasiąkł on powoli lokalizmami z innych dzielnic, zwłaszcza z Warszawy i — chylił się ku upadkowi.

Tak sobie marzę że jeżeli znalazły się fundusze na wydanie pięknej książki Rosy Bailly, opisującej obronę Lwowa, czy nie dałoby się skąd „wysmytrać barówki" na konserwację takiego cennego zabytku językowego, jakim, bez wątpienia, jest bałak lwowski.

Lwowskie batiary, rozprószone po całym świecie, wymierają szybko.

Dzisiejsze życie polskie stwarza tyle problemów, bez porównania ważniejszych i bardziej naglących niż losy gwary lwowskiej. A ona uśmiecha się do nas blado i zwolna oddala się w krainę zapomnienia.

Chciałoby się czasem pożyczyć sloganu Zygmunta Nowakowskiego i krzyknąć z rozpaczą : *Ratujmy bałak lwowski!*

Z poważaniem

Ludwik KRUSZELNICKI,
14, Hillcrest Str.
Wollongong N.S.W.
Australia

◆

New York, 23 lipca 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

P. Andrzej Vincenz w swoim doskonałym artykule „O tabu językowym" („Kultura", lipiec 1956) wykazuje tak całkowite opanowanie tematu, że chyba w jednym wypadku zostawić musiał pułapkę na pedantów i amatorów szukania dziury w całym. Chodzi mi o to, że p. Vincenz powiada, iż nazwa eufemistyczna niedźwiedzia „misio" jest zdrobnieniem imienia własnego Michał. Rzecz zgoła nieprawdopodobna. Michał jest imieniem hebrajskim (Mi-ka-el — któż jak Bóg) i znalazł się w języku polskim w związku z przyjęciem przez nas chrześcijaństwa w X wieku. Z tego samego źródła przyszły do języka polskiego takie imiona własne jak Tadeusz, Józef, Jan i inne. Trudno przypuścić żeby miś znalazł się w języku polskim dopiero od czasu przyjęcia chrześcijaństwa. Nawiasem powiedziawszy, miś jest bardziej zachodnio-polski niż wschodnio-polski, a kult św. Michała, Archanioła i niebieskiego Hetmana, przyszedł do Polski z Rusi Południowej, to znaczy obecnej Ukrainy. Czy nazwa miś nie ma czasem coś wspólnego z rosyjskim słowem „miech", to znaczy futro? A może z imieniem Mieszko? Wśród pierwotnych plemion imiona często brane są ze świata zwierzęcego. W pogańskiej Polsce na przykład Jastrzębce, Wilczkowie, Wężyki. Może by jeszcze ktoś odezwał się na ten temat, np. prof. St. Westfal?

Z wyrazami prawdziwego poważania

M.E. ROJEK

New York, 8.6.1956.

Szanowny Panie Redaktorze.

W związku z listem niejakiego p. A. Korbuta w „Kulturze", Nr 3/101, o Bierucie w Mińsku podczas okupacji niemieckiej, oświadczam, że żadnej osoby o nazwisku A. Korbut nigdy nie znałem i żadnych rozmów o „poręczycielstwach" za Bieruta ani z nim, ani z kim innym nigdy nie miałem i nie mogłem mieć, bo to są rzeczy całkiem zmyślone.

W ogóle cała treść listu, poza samym faktem przebywania Bieruta w Mińsku i jego akcesu do współpracy z Niemcami, jest najczystszym utworem wyobraźni jego autora.

Łączę wyrazy poważania

W. TUMASZ

◆

15. 6. 1956.

Szanowny Panie Redaktorze !

Do utworu mojego pt. „Mielizny", zamieszczonego w numerze 5/103 br. wkradła się pomyłka. Zamiast „wirują" w drugim wierszu drugiej zwrotki, powinno być „wirujemy". Brzmienie całego drugiego wiersza według poprawnej wersji przesłanego Sz. Redakcji maszynopisu przedstawia się następująco:

„... *I płytko wirujemy w nieboskłon pamięci...*"

Proszę o umieszczenie powyższego sprostowania, ze względu na gramatyczne konsekwencje, które spowodowane zostały wyżej wymienionym odchyleniem od przesłanego oryginału.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego poważania.

Zdzisław MAREK

SPROSTOWANIE

W artykule p. I. Łysiak Rudnickiego pt. „Nowy Perejasław" („Kultura" Nr 6/104, str. 89, wiersz 6-ty od dołu) wypadła część tekstu. Zniekształcone zdanie powinno brzmieć :

„Na przykład bez zachodnich Kresów (Przeszowszczyzny, Łemkowszczyzny albo Ziemi Chełmskiej) można sobie doskonale wyobrazić istnienie niezależnej Ukrainy".

Londyński korespondent „Kultury" : Juliusz MIEROSZEWSKI,
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Cena ogłoszeń : cała strona 20.000 frs., 1/2 *strony* 10.000 frs.
(*w tekście* + 50%; *okładka* + 100%).

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal : 3e *Trimestre* 1956.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, Av. de Poissy Maisons-Laffitte (
Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 1

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumera	
		½-roczna	R
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 s
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polaca", Serrano 2076, Buenos Aires	17 peso	102 peso	204
AUSTRALIA: „Vistula" (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta poczt. 7315-20.	30 frb.	145 frb.	260
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: **Julia Barcińska,** r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia Kietlińska,** Av. Batel 1514, Curitiba, Paranà; **Hanna Lekszycka,** r. Guiarà 139, vila Pompeia, Sao Paulo	40 cruz.	200 cruz	380
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 s
FRANCJA: „Libella", 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)	180 fr.	900 fr.	1.80
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr konta pocztowego: 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24
KANADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **St. L. Lemanski,** 472 Aïkins St., Winnipeg/Man.; **H. R. Radomski,** 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; **St. Zybała,** 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; **„Związkowiec",** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491.	75 cent.	4 dol.	6 dc
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 294, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dc
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomosci", Gendarmerie Kaserne, Mannheim-Schoenau; **St. Mikiciuk,** (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/I.	2,50 DM	13,50 DM	25 D
NORWEGIA: Br. Łubiński, Moss, Kongesgt. 2.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 s
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève. Tel.: 32-32-92. Nr konta p.: I.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25,(
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsgatan 3/IV, Stockholm		18 kor.	33
U.S.A.: Polish Amer. Book C°, 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; **W. Bieńkowski,** „Gryf Publ.", 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **L. Dudarew Ossetyński,** 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; **S. Dziarczykowski,** 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; **M. K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; **T. Konopacki,** 1356 E. 86 St., Cleveland 6, Ohio. Tel. SW-1-2040; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; **A. Pleszczynski.** 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; **K. Trojanowski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y. **The Polish Book Importing Co, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.	75 cent.	4 dol.	6 dc
W. BRYTANIA: „Gryf" Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 s
WŁOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.00

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty port
180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 fr
Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres
Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIII°).

Cena 180 frs.